

IWONA BANACH

UPIÓR W MOHERZE

Będzie się działo! Polecam z oczami mokrymi od śmiechowych łez.

Iwona Mejza, pisarka

KOMEDIA
KRYMINALNA



IWONA BANACH

UPIÓR W MOHERZE



Redakcja: Agnieszka Pietrzak
Korekta: Katarzyna Barcik
Skład: Mariusz Kurkowski
Konwersja do ePub i mobi: mBooks. marcin siwiec
Projekt okładki: Maciej Pieda
Redaktorka prowadząca: Angelika Ogrocka

Wydanie I © Copyright by Wydawnictwo Dragon Sp. z o.o.
Bielsko-Biała 2024

Niniejsza powieść jest fikcją literacką. Odniesienia do realnych osób, wydarzeń i miejsc są zabiegiem czysto literackim. Pozostali bohaterowie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki i jakkolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.



Wydawnictwo Dragon Sp. z o.o.
ul. 11 Listopada 60-62
43-300 Bielsko-Biała
www.wydawnictwo-dragon.pl
ISBN 978-83-8274-401-9

Wyłączny dystrybutor:
TROY-DYSTRYBUCJA Sp. z o.o.
ul. Mazowiecka 11/49
00-052 Warszawa
tel. 795 159 275

Zapraszamy na zakupy: www.fabulo.com.pl
Znajdź nas na Facebooku: www.facebook.com/wydawnictwodragon

- Tak! Ten! To znaczy z tego kawałka, jakiś centymetr... - Kobieta wskazała palcem płat wędzonki. - O tak, tak, z tego. - Podeszła do zakupu połędwicy wędzonej łososiowej (niemającej jednak nic wspólnego z łososiem) w nastroju bojowym i uważnie przyglądała się ekspedientce, gotowa się na nią rzucić z pazurami, na szczęście potencjalna ofiara odseparowana była od niej plastikową osłoną lady.

Po chwili na wadze wylądował odkrojony kawałek.

- No, widzę, że pani ma tępy nóż! - rzuciła kobieta. - Krzywo pani ukroiła!

- To tylko pozostałości skórki.

- To proszę je odkroić. Resztek nie jadam i nie mam zamiaru za nie płacić.

Ekspedientka grzecznie wyjęła wędlinę z opakowania i odkroiła kawałek skórki, którego braku waga nawet nie zarejestrowała. Była to waga sklepowa, a że nie sprzedawano w tym sklepie diamentów, nie wyświetlała mikrogramów nawet połędwicy łososiowej, ze skórką czy bez.

- Ten boczek jeszcze. - Klientka wskazała kawałek mięsa leżący na samej górze mięsnego stosu.

- Ten? - Ekspedientka chciała się upewnić, bo niektórzy klienci potrafią człowieka przeczłogać po zakamarkach lady mięsnej jak po polu bitwy.

- Nie, może ten pod spodem. Albo nie! Wolę szynkę. - Kobieta zawahała się. - A może schab bez kości? Macie?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała dziewczyna z uśmiechem. Ile ją kosztował, wiedziała tylko ona.

- To ja poproszę kilogram łopatki. - Klientka znów zmieniła zdanie. - A nie, może karkówka będzie lepsza? Nie, jednak schab.

Z kością, z kością, co mi pani tu daje?! Przecież ten jest zleżały! To jednak wezmę tę łopatkę.

– Już podaję. Ten kawałek może być? – Ekspedientka wspięła się na Mount Everest cierpliwości.

– Tak, i proszę zmielić – odpowiedziała klientka, patrząc na nią z niechęcią.

Kolejka zaszurała, zaszemrała, postukała koszykami i zaczęła się zagęszczać, bo rozrosła się tak, że zatarasowała przejście do alejki z chlebem i do lodówek z mrożonkami, a nadal rosła.

Po chwili, kiedy już zmielone balaski mięsa wypadały z maszyny, kobieta znów zmieniła zdanie.

– Wie pani, to ja jednak podziękuję – stwierdziła i teraz cała kolejka, wraz z najdalszymi odnogami, miała ochotę ją udusić.

Ekspedientka też.

– Przykro mi, ale niestety to niemożliwe. Mięso zostało zmielone, więc musi je pani wziąć – powiedziała głosem tak zmęczonym i wściekłym, że aż drżała. Wyglądało na to, że jeszcze chwila, a rzuci się albo pod ladę, by się rozplakać, albo na klientkę, aby ją zamordować.

– Co mi tu pani będzie wtykać swoje gówno! Nie biorę i już! Proszę mi tu kierownika wezwać!

– Ja jestem kierowniczką! – odpowiedziała sprzedawczyni.

– Ale ja nie chcę rozmawiać z kierowniczką, tylko z kierownikiem, ty mała gnido! Nic u was już nie kupię... To chamstwo jest naprawdę nie do zniesienia. Czy wy widzicie, jak ona mnie traktuje?! – zwróciła się klientka do kolejki, ale widząc niezbyt przyjazne miny zebranych, zrezygnowała.

– Ale proszę pani... To mięso... Musi je pani wziąć – ekspedientka prawie błagała.

– Gówno muszę! Gówno muszę, ty głupia krowo!

Awantura była w apogeum, a ekspedientka nie miała szans się odgryźć, bo prawdę powiedziawszy, kosztowałyby to ją albo nagane,

albo utratę pracy, a w tej chwili naprawdę nie mogła sobie na to pozwolić.

– Niech się pani nie martwi – powiedział ktoś z kolejki – ja wezmę.

W tym momencie wredna klientka odwróciła się na pięcie i wrzasnęła:

– To jest moje mięso! Niczego pan nie weźmie! Jest moje, proszę mi je oddać! To już przechodzi ludzkie pojęcie! Ja na was kontrolę naśle! Nie licz, że ci to ujdzie na sucho, kretynko! – rzuciła do ekspedientki, patrząc na nią takim wzrokiem, jakby chciała ją zabić. Złapała mięso i wrzuciła je do koszyka. – No, co się gapiacie?! – warknęła do kolejkowiczów. – Dziewucha jest kretynką i powinna zostać zwolniona! Natychmiast.

Kiedy odeszła, a nawet wyszła ze sklepu, narzekając głośno na obsługę, kilka osób odetchnęło z ulgą.

– Co ona do pani ma?

Nastawienie klientki do ekspedientki było wyraźnie bardzo negatywne, a więc musiało wynikać z czegoś więcej niż samej tylko natury tej kobiety, choć z natury na pewno też.

– Nic takiego – westchnęła dziewczyna. Więcej powiedzieć nie mogła.

Niestety na to samo pytanie ze strony przełożonej musiała odpowiedzieć nieco dokładniej. Musiała, bo akcja na mięsny byłaby co prawda pierwszą tego typu, ale nie pierwszym zatargiem z tą właśnie kupującą. Coś podobnego wydarzyło się dwa razy, kiedy dziewczyna siedziała na kasie, i kilka, kiedy spotkały się między półkami.

– To moja na szczęście niedoszła teściowa – odpowiedziała zrezygnowana, mając świadomość, co ją czeka.

– Jest szansa, że to się będzie powtarzać? – zapytała przełożona właściwie tylko po to, żeby o cokolwiek zapytać. I tak wiedziała.

– Szansa, że nie? Nie ma, jest za to pewność, że tak.

Jeszcze tego samego dnia dziewczyna została zwolniona. Nie, że ktoś do niej coś miał, ale ludzie, a zwłaszcza pracodawcy lubią spokój.

To było wtedy.

A teraz było o wiele lepiej.

Niektóre wydarzenia, choć z wierzchu dokuczliwe i przykre, sprawiają, że życie staje się przyjemniejsze.

* * *

Zupełnie inaczej jest z ludźmi – niektórymi, choć z wierzchu mili i sympatyczni, sprawiają, że życie staje się gorsze. O wiele, i to na dużą skalę.

Ta maksyma przyświecała temu, kto właśnie siedział przed laptopem i pisał.

Pisanie było podstawowym zajęciem tej osoby i trzeba przyznać, bawiło ją bardzo. Najpierw chciała naprawiać świat i ludzkość, ale stwierdziła, że taka naprawiona ludzkość mogłaby próbować aspirować do nieba, a przecież to niewskazane. Potem postanowiła tę ludzkość (w zakresie ludzkości okolicznej) psuć, ale to też ostatecznie wydało jej się bez sensu, bo ta była już i tak całkiem porządnie zepsuta. Toteż wspomniana osoba uznała, że będzie ludzkość choć wkurwiać. Tak, to jest właściwie opis każdego trolla, ale ten był gorszy. Dlatego nazywano go „upiorem”, a często też „upiorem w moherze”.

Możliwe, że ze względu na nakrycie głowy, a może i na samą głowę.

Wiadomości, które rozpowszechniał upiór, były co najmniej dziwne. Jak choćby ta: *Chiński balon meteorologiczny przeleciał nad Tęczowem i zgwałcił psa Mateckiej. Pilnujcie, bo będzie propagował psi gender, a potem zabierze się do ludzi.*

Fakt, że nad Tęczowem nie pojawiły się nigdy balony meteorologiczne – żadne, nie tylko chińskie – i że balony w ogóle niezbyt dobrze sobie radzą w dziedzinie gwałcenia, w ogóle się nie liczył. Fakt, że Matecka nie ma psa – też nie, bo ludzie zaczęli się tym przejmować. Oficjalnie nie wierzył nikt. Nieoficjalnie pod drzwiami

domu Mateckiej ktoś zostawił worek kociej karmy, ktoś inny propozycję, że jeżeli jej pies urodzi zmutowane szczeniaki balonowe, to on chętnie odkupi w rozsądnej cenie, oraz wiadomość: *Nie jedz margaryny, bo oślepniesz.*

Matecka nie miała psa, ale i tak była zaszokowana możliwością, że jakiś pies może urodzić dzieci balona meteorologicznego.

No, ale w szkołach o seksie uczą tylko tyle, że jest zły, a o rozmnażaniu, że kapusta, pszczołki i bociany. Trudno się zatem dziwić balonom, że chciały spróbować.

Zwłaszcza że mogły się identyfikować jako bociany. Też są białe.

* * *

Gabi skończyła właśnie polonistykę i postanowiła nie wychodzić za mąż. To znaczy nie wychodzić za mąż teraz, a w szczególności za Piotra, bo w ogóle to nie miała nic przeciwko zamążpójściu, ale Piotr należał do stowarzyszenia szalejących rozporzków i intensywnie się w nim udzielał. Był mężczyzną zdecydowanie męskim i w ogóle takim typem, że w rurkach nie podchodź, z rurką o wiele bezpieczniej.

Rozsiewał wokół siebie bardzo męskie, wręcz maczystowskie miazmaty. Wpisywał się w modny ostatnio wzorzec męskiego mężczyzny z mięśniami zamiast mózgu, czego Gabi początkowo nie była świadoma, bo wszelkie jego tego typu zachowania brała za może nad-, ale wciąż opiekuńczość.

Piotrek rozsiewał nie tylko miazmaty, ale o tym, że rozsiewa również spermę, i to w ilościach hurtowych, Gabi nie wiedziała. Te sprawy partnerkom i żonom umykają, bo choć wśród mężczyzn nie ma solidarności jajników, to jednak jakaś tam zмова milczenia istnieje.

Piotrek, jak mama przykazała, chciał mieć żonę, a właściwie żonę modelową.

Typową tradwife.

Zdobycie takiej żony jest trudne, ale ze wszech miar się opłaca, choć wymaga poświęceń, i to wielu. Najpierw trzeba taką wybrać, potem

oswoić, w końcu wyłożyć kawa na ławę wszelkie oczekiwania. A tych było sporo.

Miała nie pracować, nie uczyć się, bo to naprawdę bez sensu, nie widzieć świata poza mężem i dziećmi.

Piotrek chciał dwa pakiety po dwoje i naprawdę był rozdrażniony, kiedy Gabi mu powiedziała, że przede wszystkim nie da się zamówić pakietu z bliźniakami, a ponadto w takim układzie odpadłaby po pierwszym, bo zaorać się (ani ciężowo, ani pieluchowo) nie zamierza.

– A co ty byś miała do roboty? Kurze zetrzeć? Obiad ugotować? Posiedzieć z mamusią? Jak miałabyś się zaorać?! Czym? Opieka nad dziećmi to przecież sama przyjemność i powołanie...

I w tym momencie Gabi zrezygnowała z zamążpójścia, bo od zawsze śniło jej się jakieś małżeńskie partnerstwo, może i wyimaginowane, ale z marzeń zrezygnować nie zamierzała. Kusilo ją partnerstwo w wymiarze intelektualnym, społecznym, a nawet i tym zwykłym, domowym, w którym facet, wyrzucając śmieci, nie doznaje od tego utraty męskości, a po umyciu naczyń nie wpada w otchłań rozpacz po utraconym szacunku do siebie samego. Gabi chciała pracować, chciała się uczyć, a te ciężowe pakiety bardzo ją zdenerwowały, tym bardziej że Piotrek uważał, że „chcieć to móc” i żeby najpierw chłopaki, bo to lepiej wygląda. Zaczęła podejrzewać, że się intelektualnie rozmijają.

Mężczyźni wychowani przez mamusie mają wobec żon o wiele większe żądania, niżby to mogło z tego wychowania wynikać. Można by się spodziewać, że taka matka wpoi im szacunek do kobiet, nauczy delikatności i zrozumienia, wszak sama jest kobietą, i to samotną – niestety to tylko pozory. Takie matki nie są kobietami. One są matkami, a kobiet nienawidzą z całej siły i uważają, że należy je tresować, ograniczać i strofować.

Teściowość wypiera z ich serc jakąkolwiek matczyność, o ile nie dotyczy własnego potomstwa. I żeby się o tym przekonać, nie trzeba się

zaczytywać w powieściach opartych na historiach ze świata arabskiego, wystarczy tylko dobrze się rozejrzeć po własnym podwórku.

No i istniał seks. To znaczy istniał (dla Piotrka) i nie istniał (dla Gabi), i to na wiele sposobów.

Nie współżyli, co najpierw Gabi zachwyciło, potem wkurzyło, a na koniec ucieszyło. Nie umiała opanować radosnego kwiczenia w duszy, kiedy Piotrek pewnego dnia pochwalił się mamie dziwną wysypką. Była męska (wysypka, nie mama, choć i jej wąsów nie brakowało), gdyż na jego jakże męskim organie wykwitła ona, ta wysypka, dziwnym fioletem. Okazanie odbyło się w łazience, ale Gabi niechcący podsłuchiwała.

Okazanie dotyczyło li tylko mamusi, Gabi nie była godna ran jego całować, czy jakoś tak.

Poszli wtedy po raz ostatni do przyszłej teściowej. Było zwyczajnie, ani miło, ani nie. Dom typowej matki Polki bardzo bolesnej, zostawionej przez męża w wieku lat czterdziestu (dla młodszej) i przelewającej miłość na syna, mężczyznę po wielokroć lepszego, mądrzejszego i wierniejszego od tego bydlaka. Przekonanej, że jej syn to cud-miód, który kiedyś żonę może i porzuci, jak sobie ta żona zasłuży, za to mamuni kochanej nigdy.

Jako małżeństwo doskonale razem, mama i synuś, zaszyli się w kuchni, żeby obgadać przyszlą żonę, bo Gabi była jedyną, która się jakoś tam nadawała, choć nie nadawała się za bardzo.

Żadna się nie nadaje, ale cóż, jak się nie ma, co się lubi, to trzeba brać, co jest.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że potem razem poszli do łazienki i się w niej zamknęli, a właściwie przymknęli.

Takiej komitywy matki z synem Gabi się nie spodziewała i uważała, że to spora przesada.

Podsłuchiwała.

Cóż, to nie było eleganckie, ale okazało się silniejsze od niej. I co ciekawsze, w jakimś sensie uratowało jej życie. No tak, wścibstwo,

takie niby niegrzeczne, niedobre, potępiane, a właśnie ono uratowało jej życie... Przecież gdyby nie to, to... brrr.

Podglądała też trochę. Szpara średnio się do tego nadawała, ale szczerze mówiąc, to, co Gabi zobaczyła, chętnie by natychmiast odwiedziała.

Najpierw usłyszała szur, szur zamkiem błyskawicznym (znała ten dźwięk), stęk, stęk, szelest jakiś taki cielesny i...

W szparze pojawił się penis.

Musiał być Piotrek, jego matka raczej penisa nie posiadała, choć właściwie trzymała go w ręku.

I cmokała... Nie, nie jego, nad nim, na szczęście, ale i tak te trzy rzeczy: synowski penis, przyszła teściowa i cmokanie zalały Gabi falą przerażenia.

– Mamo, co ty o tym sądzisz? – Piotrek zaprezentował klejnot męskości obsypany kwieciami krost swojej rodzicielce, co Gabi wydało się dość niekonwencjonalnym przejawem i tak niekonwencjonalnych stosunków między matką a synem.

– Nic, synku, zwykła sprawa, gdzieś się czymś zaraziłeś, może to syfilis? Nie martw się, każdy prawdziwy facet w końcu to złapie, takie życie. A ona? – Gabi usłyszała pytanie niewątpliwie dotyczące jej samej.

– Nie, no co ty. Czekamy do ślubu!

– O. I tak to powinno wyglądać w porządnym małżeństwie – matka pochwaliła postępowanie syna.

Lubił być chwalony.

Był tym rodzajem faceta, który widząc, jak znajomi z gratulacjami poklepują ciążowy brzuszec jego własnej żony, ma pretensje, że nikt go nie poklepuje po przyrodzeniu i nie krzyczy: „Dobra robota!”.

Zamążpójście zostało zatem wykreślone z planów z powodu wysypki (nie tylko wysypki jako wyprysków, ale wysypki jako objawu zdrady, bo takie rzeczy nie pojawiają się na penisie bez udziału osób trzecich albo drugich, choć w sumie mogą być i szesnaste), pracy (bo Gabi bez

pracy sobie życia nie wyobrażała) i tego, jak to powinno wyglądać w porządnym małżeństwie. Gdyby jednak Gabi lepiej poznała teściową, to niechybnie zostałyby wykluczone właśnie ze względu na nią.

Kiedy chwilę potem usiedli przy herbacie i cieście, Gabi miała cały czas wrażenie, że bez lateksu nie tknie tu niczego, a trudno założyć lateksowe rękawiczki na język, zwłaszcza jeżeli się tych rękawiczek nie posiada.

– No, co tak się dziwnie zachowujesz? – zapytał Piotrek, miętoląc swój, jak sobie wyobrażała, chyba śwędzący organ pod stołem, przez co ją zemdliło.

– Nie, ja? Dziwnie? No coś ty – wydukała niepewnie, nie wiedząc nawet, o co może mu chodzić. Zakładała, że o całokształt, bo czuła się okropnie i pewnie wyglądała do tego poczucia adekwatnie. Było jej niedobrze.

– Już niedługo wejdiesz do rodziny – stwierdziła z dumą przyszła teściowa, przez co Gabi zemdliło jeszcze bardziej. – Będziesz strażniczką ogniska domowego – teściowa dołała oliwy do ognia – urodzisz mi wnuki. Będzie pięknie.

– No cóż, zanim wyjdę za mąż, zamierzam iść najpierw do pracy – wyjaśniła dziewczyna, widząc okazję do przedstawienia im własnej wizji jej (jak się Gabi wydawało) własnego życia. – Chcę zrobić karierę. Zwiedzić świat, a nie zagrzebać się w pieluchach – dodała po chwili, wzbudzając szok i niedowierzanie.

Oboje, i matka, i syn, przystąpili do pacyfikacji niepokornej kobiety. Byli przekonani, że pójdzie im łatwo, więc nie przebierali w słowach.

– O, tak to nie będzie! – zapowiedział Piotrek. – Mowy nie ma!

– Właśnie! – dodała jego matka z zaciętą miną.

– No to w ogóle nie będzie. – Gabi wzruszyła ramionami, starając się ukryć radość, jaka ją opanowała po tym wyznaniu.

– Jak to? – zapytali jednym głosem przyszły mąż i przyszła teściowa, oboje już niedoszli.

– Nijak, po prostu nie wyjdę za Piotrka i już – odpowiedziała Gabi i z ulgą wyszła, ale nie za męża, tylko z domu tej potwornej kobiety.

I tak zyskała sobie wroga numer jeden, zaciętego straszliwie, zawziętego, gotowego na wszystko – czyli niedoszłą teściową.

Czasami niedoszłe teściowe są gorsze od tych doszłych, a nawet przeszłych.

Bo jak można? Jak można jej syna, takie dobro odrzucić? Tak z błotem mieszać, dla jakiejś pracy i kariery Piotrusia spostonować?! Jak można myśleć o zwiedzaniu jakiegoś tam świata wobec takiego szczęścia?

Dlatego teściowa chodziła za Gabi i utrudniała jej życie, licząc, że dziewczyna się opamięta. Straci pracę raz, drugi, naje się wstydu, a wtedy osamotniona i pokonana wróci do Piotrusia.

Tyle że nie z Gabi takie numery.

* * *

Oni chcą was wszystkich zabić. Obudźcie się, gamajdy, bo was złamas kutany weźmie w tany! To wcale nie jest grill, a dym z tego czegoś wysyła chmury. To jest przekaz dla kosmitów, że mogą się wcielić. Burmistrz założył w swoim ogródku antenę 9G po to, żeby utrudniać oddychanie i doprowadzić do wymordowania wszystkich mieszkańców miasteczka, a wtedy zastąpić ich kosmicznymi robotami z balonów!

Burmistrz miał w ogródku grill węglowy i nawet go używał.

I to sprawiło, że ludzie uwierzyli.

W dobie ogromu informacji ludzie czytają wiadomość, a potem zapamiętują z niej wybiórczo coś, co staje się dowodem na to, że cały przekaz jest prawdziwy.

Tego dnia żona burmistrza została porwana, rozebrana i obmacana przez nieznaną sprawców, którzy chcieli sprawdzić, czy nie jest robotem.

Jej teściowa twierdziła, że to była zdrada małżeńska.

Podpalono przystanek autobusowy, bo wyglądał na kosmiczny i doskonale bezbronny.

* * *

Gabi pracowała w kilku miejscach, a market był tylko chwilowym przystankiem, bo za miesiąc miała dostać etat w bibliotece. Dyrektorka biblioteki była dawną narzeczoną nieżyjącego wuja Gabi i zgodziła się, że jej studia polonistyczne wystarczą, by była odpowiednia kandydatką.

Wszystko było dograne, ale miesiąc to trzydzieści dni, a przez trzydzieści dni, nawet jeżeliby zrezygnować z obiadów, to choć kolację trzeba jednak jeść.

Trzydzieści.

A jedzenie nie jest za darmo.

Gabi była praktyczna i rozsądna, brała życie bardzo dosłownie, należała do ludzi, którzy o nic nie proszą dwa razy, ale też dwa razy propozycji nie ponawiają.

Dlatego jak na polskie warunki było jej trudno.

Kiedyś, gdy Piotrek z matką przyszli sprawdzić, jak dziewczyna się prowadzi (choć wtedy jeszcze przyczyny wizyty nie znała), zaproponowała kobiecie herbatę.

– Nie rób sobie kłopotu – powiedziała tamta, więc Gabi stwierdziła, że nie będzie się jej narzucać, co potem zaowocowało dość potężną awanturą w wykonaniu Piotrka.

– Jak ty potraktowałaś moją matkę?! Jak psa! Nawet herbaty jej nie podałaś.

– Bo nie chciała – odparła zgodnie z prawdą. Odmówiła!

– Chciała być kulturalna, kultura wymaga odmawiania! – Piotrek przedstawił jej swoją wiedzę o społeczeństwie.

– Nie wymaga! – stwierdziła Gabi. – Człowiek albo czegoś chce, albo nie chce, a krygowanie się nad herbatą to głupota.

– Więc nazywasz moją matkę głupią? Moją? Matkę? – Piotrek był zdecydowanie bardzo rodzinny, jak wówczas myślała.

Internet twierdzi, że po stosunku mężczyzny do własnej matki możesz ocenić, jaki to człowiek.

Najczęściej widać w nim maminsynka, bezradnego, bezbronego Gucia, który nie szuka żony, a niańki, ale mało która kobieta potrafi to dojrzeć. Najczęściej uważa, że obserwując, jak facet odnosi się do matki, zobaczy, jak ona sama będzie traktowana.

I to jest prawda. Tylko kobiety tej prawdy nie widzą. Jeżeli teściowa wybiera z twoim mężem kafelki do twojej łazienki, a ty nawet nie zostałeś zawiadomiona, że robicie remont, to wiedz, że coś się dzieje.

Dlaczego Gabi była z Piotrkim?

Prawdę powiedziawszy, nie miała pewności. Gdzieś kiedyś się spotkali, zgadali, potrzykali za ręce, zaczęło im być chwilowo po drodze, potem coraz mniej im było po tej drodze, ale Gabi liczyła, że związek sam się rozpadnie i nie będzie zmuszona do nieprzyjemnych rozmów ostatecznych.

Nikt ich nie kocha.

Brak seksu jej nie doskwierał, choć aseksualna nie była.

Uważała, że skoro jemu się nie spieszy, ona też spokojnie może poczekać i jak się okazało, miała sporo szczęścia.

Owszem, uważała to za trochę nienaturalne, bo ich związek trwał już trzy lata i taka wstrzemięźliwość była według Gabi durna, ale Piotrek obiecał matce, że do ołtarza poprowadzi dziewicę.

Z braku prawdziwej, choć przez siebie nienaruszoną.

Już wtedy wydało się Gabi, że jest zdrowo popapraną.

* * *

W miesiąc po zwolnieniu z marketu i przepracowaniu tego czasu w ciucharni, gdzie matka Piotrka przychodziła ją nękać bardzo często, ale bezskutecznie, Gabi dostała obiecany etat w bibliotece.

W lumpeksie niedoszła teściowa nie miała pola do popisu, bo nie było jak robić awantur, kiedy Gabi była tam sama. Nie chodziło przecież o zatrucie dziewczynie życia (które było dla matki Piotrka marnością nad marnościami), a o psucie opinii, a to nie to samo.

W bibliotece też próbowała, ale przełożony Gabi, niewiele starszy od niej Marcin, kobietę pogonił.

Zaczął się od tego, że teściowa wpadła do biblioteki, pokręciła się pomiędzy półkami, po czym wrzasnęła na cały regulator:

– No, to już przechodzi ludzkie pojęcie, co ona mi dała! Toż to Grey! Ona się nie zna na książkach!

– Ważne, że pani się zna – odpowiedział przełożony Gabi, początkowo zgodnie i przyjaźnie. – Wydaje mi się, że sama pani wzięła ten tytuł z półki. Zresztą możemy to sprowadzić, mamy monitoring.

– Ale to jest zboczenie! Wybrałam, wiem, ale powinna mnie była ostrzec. Takie książki? Osobie w moim wieku? To zboczenie! – krzyczała kobieta, licząc na jakąś, choćby małą awanturkę.

– Możliwe, ale niech się pani nie martwi, jakoś sobie damy radę, inteligencja zobowiązuje! – odparł Marcin i zamknął jej gębę, bo znaczyło to, że któraś z nich jest wybitnie inteligentna. Wybrała siebie.

Więcej nie przyszła.

W bibliotekach nie obowiązuje zasada „klient nasz pan”, panuje przekonanie, że owszem, czytelnik ma często rację, ale to dotyczy tylko książek, a nie szeroko rozumianej bibliotecznej obsługi, bo i tak każdy bibliotekarz zawsze stara się być grzeczny, choć ugrzeczniony być nie musi.

Spokój zaczął panoszyć się w życiu Gabi. Ten cudowny, mały spokój, który potrzebuje tylko książek, kocyka i ciepłej herbaty, a czasami ciasteczek, niekoniecznie z cynamonem, ale w dużych ilościach. I wszystko było dobrze.

Aż do dnia, kiedy Marcin zaplanował wniosek o dofinansowanie, a dokładniej: zaplanował go napisać. Czas mijał. Nadszedł ostatni dzień,

bo właśnie nazajutrz miał termin przesłania wniosku i trzeba było coś zrobić.

To znaczy nie tak, że musieli, ale chcieli.

No, a cóż to jest jedna noc wobec cudownej bibliotecznej wieczności? Zresztą noc nie była konieczna, gdyby nie zawalili dnia. Po prostu należało się pospieszyć i tyle.

W dzień nie mieli jakoś czasu. Tłumy kotłowały się w wypożyczalni zgodnie z tradycją. Miasteczko czytało, więc czytelników było sporo, ale chodziło też o coś innego. Otóż zawsze kiedy człowiek się spieszy, czytelnicy dostają książkowego amoku, a zwyczajne pytanie o ten czy inny konkretny tytuł zamieniają w długi wywód na temat czegoś dobrego do czytania, co nie kończyłoby się źle, ale też nie miało happy endu, co zawierałoby w sobie sześć różowych królików i węża boa oraz nie było romansem w stylu *hate to love*, lecz opowieścią o miłości z mgiełką erotycznych doznań. Ludzie lubią komplikować sobie życie i nie wierzą, że istnieją katalogi.

Upiór chyba też był czytelnikiem, bo po ostatnim sprzątnięciu w bibliotece znaleziono kartkę z wydrukiem: *Uwaga, książki zabijają. A te gamajdy w bibliotece jeszcze je ludziom dają. W farbie drukarskiej pod literą „p” znajdują się chipy zniewalające, nie dotykajcie liter rękami, nie ślińcie palców. Dyrektorka jest krową i jeszcze pożałuje tego, co zrobiła.*

Nikt nie wiedział, o jaką dyrektorkę chodziło (ale możliwe, że o dyrektorkę biblioteki) ani czego pożałuje – możliwe, że tych chipów.

– Jezu, i po cholere mi to wszystko? Królowa? Jaka, do cholery, królowa? Chyba tylko zasmarkanych chusteczek!

Marta była zde gustowana, ale nie mówiła prawdy. Kochała bycie królową, ale nie mogła się do tego przecież przyznać. Zresztą nie była

jedyna, to znaczy w nieprzyznawaniu się, ale i w królowaniu. I kochaniu tego królowania.

Jej koleżanka Grażyna, która właśnie podnosiła kieliszek wina (obowiązkowo czerwonego) do ust, też była królową, a siedząca obok niej Gośka również dochrapała się tego tytułu.

Tytuł oficjalny nie był i przyznawało go specyficzne gremium, jakim byli czytelnicy, choć czasami jeszcze wydawcy się w to mieszały i tu i ówdzie w zapowiedziach pojawiała się „królowa romansu”, czyli Marta, „królowa erotyku”, czyli Gośka i „królowa kryminału romantycznego”, czyli Grażyna.

Tylko pozycja Grażyny wydawała się niezachwiana, bo kryminał romantyczny był jej wynalazkiem i w tej dziedzinie nie miała sobie równych, jak również konkurencji.

Czytelników wielu też nie miała, bo mordercy o pięknych oczach całujący ofiary w świetle księżyca, a potem mordujący pod wpływem impulsu (na przykład amoku) i doznający wyrzutów sumienia tak wielkich, że popadają w szaleństwo albo mają jakieś inne pomysły, choćby samobójcze, nie każdemu odpowiadali. Tu było jasne, kto i kogo zamordował, akcja polegała na śledzeniu rozterek moralnych mordercy...

I na zaglądaniu mu w oczy.

I na onanizowaniu się atmosferą. No, nie dosłownie, choć kto wie?

Tak czy tak, wszystkie trzy nazywano przynajmniej od czasu do czasu królową czegoś tam, a potem wylewało się na nie morze hejtu, bo jak wiadomo, królowa jest tylko jedna, a przecież to żadna z nich, bo nie były jedyne.

Wszelkie „królewskie” awantury obserwowały z zadowoleniem, bo niektóre pisarki same sobie robiły krzywdę, ośmieszając się nawzajem, często napuszczając jedne na drugie hordy czytelników, ale przynajmniej coś się działo.

Teraz siedziały w salonie domu Grażyny i popijały czerwone wino.

Choć właściwie nie do końca. Owszem, siedziały, owszem, piły, ale tak naprawdę planowały coś zrobić. Nie, nie chodziło o napisanie razem książki, to by się nie udało, za to wspólna promocja byłaby do zrobienia. Wcale nie wiedziały, jak się do tego wziąć, ale nie musiały. Był jeszcze ktoś, kto miał się w to zaangażować.

Ten ktoś właśnie zapukał do drzwi, a po chwili wszedł do salonu.

Wszystkie trzy popatrzyły na niego z pewnym niedowierzaniem. Pomysły na promocję zazwyczaj obgadywało się w mailach, a czasami w rozmowach telefonicznych, więc ściąganie trzech pisarek na to zadupie... No dobra, Grażyny nikt nie ściągał, ale to tylko dlatego, że tu mieszkała, w każdym razie żądanie osobistego stawiennictwa wydawało się durne... albo on naprawdę miał coś ciekawego do zaproponowania.

Patrzyły na niego, siorbiąc wino. W końcu jedna z nich westchnęła.

– No, dawaj, mów, co tam wymyśliłeś takiego genialnego.

– I po co nas tu w ogóle ściągnąłeś? – rzuciła zaczepnie Marta.

Teraz on popatrzył na nie i wzruszył ramionami.

– Ściągnąłem was z powodu morderstwa.

– Czyli? – zapytała Grażyna niepewnym głosem, robiąc minę tak żalną, że aż się zdenerwował.

– To proste – burknął. – Wy mnie zabijecie. Ja dostanę kupę rozgłosu, wy też. Sprzedamy całe pieprzone nakłady jak nic! Pójdzie bajerancka fama. Będzie wilk syty i trzy owce całe, choć wszyscy trochę potarmoszeni – powiedział po chwili pewnym tonem.

Dziewczyny zdrętwiały, choć wino zaczęło już nimi odrobinę chwiać. Przez chwilę gapiły się na niego dosłownie jakby zamurwane, aż w końcu jęknęły przerażone.

– Oszalałeś?! – pisnęła Gośka.

– Po jaką mendę potrzebny mi rozgłos w więzieniu? – Grażyna się skrzywiła. – Oglupiałeś? I dlaczego mamy zabijać akurat ciebie?

Ich rozmówca był w podobnym wieku i wydał już kilka powieści, w tym jedną, dwutomową, tak rozchwytywaną, że prawie każdy ją znał. Opowieść o detektywie amatorze Samuelu Kaszaku, który był równie dobry co Herkules Poirot, ale za to przystojny jak Matt Damon, biła rekordy popularności.

Mówimy oczywiście o literackim bohaterze, bo autor przystojny był tak sobie i wcale nie powalał intelektem. Daniel Adach był bardzo zwyczajnym człowiekiem. Na plus można mu policzyć, że miał włosy, na minus – to samo. Te na głowie wyglądały okej, gęste, ciemne i kręcone, te na reszcie ciała były takie same i robiły z niego nieco nieokrzesanego małpoluda. I nie wydawały się ani kuszące, ani seksi, było w nich coś (poza resztkami jedzenia), co sprawiało, że budziły raczej obrzydzenie niż zachwyt. Na jego łydkach i ramionach dało się pleść warkocze. Poza tym nie wyróżniał się niczym, może trochę talentem, choć jego książki były nierówne.

– A co? Wolisz siebie? Znaczy, że ciebie? Nie przejdzie!

– W ogóle nie wolę. To jest durny pomysł. Po co kogoś zabijać?! – Grażyna wzruszyła ramionami.

– Nie, pomysł nie jest durny, tylko ty jesteś debilką! – odparował autor. – Przecież mnie nie zabijecie! Nie naprawdę! To tylko zwykły przekręt, happening czy jakoś tak... W sumie jak zwał, tak zwał! Zrobimy tak: ja zniknę. Rozleje się trochę krwi, znajdzie się jakiś ładny nóż. Wy się tą krwią wymażecie. Ktoś wezwie policję. Będzie takie branie, że ho, ho! Moje książki pójdą na topki natychmiast, wasze zresztą też. Wywiady będą się sypać jak z rękawa, wasze nazwiska zdobędą rozgłos na świecie. Policja pobierze próbki, okaże się, że to świńska krew. Zwolnią was z aresztu. Zaczną mnie szukać, wy pozostaniecie podejrzane, ale trochę mniej. Dostaniecie szansę, by zaistnieć. Proste? Wystarczy, że będziecie opowiadać, co tylko wam ślina na język przyniesie, na przykład o męce twórczej albo o miłości do zwierząt. I jak wam się to podoba?

Dziewczyny natychmiast otrzeźwiały i z wina, i z marazmu.

– To jest genialne! – zawołała Marta.

– Karalne chyba też? – mruknęła Gośka. – I nie wolno kusić losu!

– Oj, przestań! – westchnęła Marta. – To jest wręcz babciowe, te gadki o kuszeniu losu! Jesteśmy młode! Coś nam się od życia należy!

– No ale to nielegalne. – Gośka nie dawała za wygraną.

– Nie, wcale nie! On ma prawo się ukrywać, jeżeli chce. Nikt go przecież nie porwie, to będzie jego wola. Własny wybór. Świńska krew też jest dozwolona – przekonywała Grażyna.

– Jezu, ale jesteśmy durne, że same na to nie wpadłyśmy! – Marta aż jęknęła. – Przecież to jest genialne! To jest wspaniałe!

– Nie, nie, nie! Boję się takich durnot, bo potem ktoś kogoś naprawdę zabije, a my pójdziemy siedzieć – odezwała się Gośka niepewna. – Zawsze tak jest w filmach i w książkach. Zawsze.

– W filmach, w książkach tak, ale nie w życiu. Kto by chciał go zamordować? Co on, złoto w materacu trzyma? Ludzie nie mordują się tak o... Poza tym my go będziemy pilnować. To będzie tylko taki myk! Może się nawet ukryć tutaj! – Marta zadysponowała mieszkaniem, które do niej nie należało.

– Nie, tu nie mogę, na pewno będą sprawdzać, ale coś wymyślę. Rozumiem, że wchodzicie w ten interes?

Ogólne sprawa wyglądała tak: Daniel Adach, poczytny autor, znika w dziwnych okolicznościach, ale ciała brak, jest za to krew i domniemane narzędzie zbrodni. Śledczy podejrzewają morderstwo, biorą na celownik mieszkające tuż obok znajome pisarki, one kłuczą, myślą tropy, do niczego się nie przyznają. Nie mówią prawdy. Zostają uznane za podejrzane. Pisarza szukają wszyscy, on ma rozgłos – fakt, największy – i one też stają się morderczo sławne, szum wokół niego jednak szybciej minie, zaś ich sytuacja, jeżeli dobrze nią pokierują, może dać im sporo korzyści. Najpierw oburzenie, że jak to, ktoś śmie je podejrzewać, potem radość, że wszystko się wyjaśniło, a na końcu trauma (na tym się wyrasta najbardziej): o Boże, co myśmy przeżyły! Jak ktokolwiek mógł nas podejrzewać...

Dlatego najlepiej by było, żeby zostały aresztowane i spędziły choć jedną noc w celi. Powinny dziwnie się zachowywać, zrzucić na siebie nawzajem odpowiedzialność i podejrzenia, co chwila zmieniać zeznania. Powinny też notorycznie kłamać i w ogóle robić, co się da.

– Teraz określenie „królowa kryminału” będzie miało zupełnie wyjątkowe znaczenie – roześmiała się Marta, patrząc złośliwie na Grażynę.

– Królowa romansu też, bo zaraz ktoś powie, że poszło o zdradę albo coś.

– Z królową erotyki też się da w to wejść.

– Z nożem? Nóż jest mało erotyczny – odburknęła zawiedziona Gośka, bo jednak sprawa zaczynała wyglądać obiecująco, a to, co wygląda obiecująco, owszem, może wypalić, ale też może nie wypalić wcale, i to akurat nie musi być najgorsze.

– Oj tam, to trochę lateksu się rzuci w tę krew i zaraz dziennikarskie hieny wyczują, o co chodzi. Albo sztuczny biust się gdzieś położy. No wiesz... Zawsze można też podrzucić jakiś wibrator. Przecież to proste jak sto metrów żyłki w kieszeni.

Każdy chciał skorzystać na dziennikarzach, choć szanować ich nikt nie zamierzał.

Marta, Grażyna i Gośka właśnie po to tu się znalazły. Razem. Zazwyczaj nie było im za bardzo po drodze, bo istnieje przekonanie, że czytelnik to gatunek na wymarcium, więc autorzy są zmuszeni zębami i pazurami go sobie z gardeł, a właściwie z kieszeni wydzierać, bo jak taki kupi romans, to mu forsy zabraknie i ominie kryminał, a jak się skusi na erotykę, to już romansu nie tknie. A tu nakłady takie sobie i trzeba walczyć do upadłego.

* * *

Samuel Kaszak ubrał się w to, w co mógł się ubrać, a nie miał wielkiego wyboru, i postanowił działać.

Było to działanie dla niego całkiem nowe i w zupełnie obcym mu środowisku, ale czuł, że musi to zrobić. Inaczej czekała go cała pieprzona wieczność bez pieprzenia.

* * *

Ludziom się wydaje, że pisanie książek to miłe, domowe, nawet „herbatkowe” zajęcie, a to jest walka gorsza niż potyczki z dzikimi dinozaurami. Najpierw autor musi wklepać kilkaset tysięcy znaków, pamiętając, żeby te znaki ułożyły się w coś, co nie będzie podobne do niczego innego – do żadnej innej książki, do dzieła żadnego innego autora – a ponadto nikogo nie wkurzy, nie zdenerwuje, nie zawiedzie. W paranoicznym widzie trzeba przebrnąć przez wszystkie: „O Boże, nie dam rady”, „O matko, ja się do niczego nie nadaję” albo „Dlaczego ta kretynka zachowuje się jak dziwka?” (bo jakaś bohaterka ma ochotę na seks, ale nie wtedy, kiedy autor jej to zaplanował – to częste). Potem taki autor musi znaleźć wydawcę, a to nie jest bułka z masłem. Najczęściej to jakby gryźć żwir posypany solą (gospodarczą). A jak już znajdzie i wyda książkę, musi szerokim łukiem omijać niektóre portale internetowe, bo „od nich się płacze”, ewentualnie dostaje się paranoi, a potem biega po klatce schodowej z egzemplarzami własnych książek, żeby nimi sobie żyły podciąć albo pozabijać sąsiadów.

To nie jest łatwe życie, o nie!

A są jeszcze prawie zawodowi hejterzy, lubiący znęcać się nad pisarzami. Szczególnie nad tymi, którzy się wzajemnie wspierają.

Dlatego Marta, Grażyna i Gośka, choć nie tworzyły w jednym gatunku, to się za bardzo nie wspierały, ale pomysł na promocję Daniel zaproponował właśnie im. Im trzem.

– Tylko dlaczego akurat my? – zapytała Marta nie bez ciekawości. I nie bez podejrzeń.

Pisarzom zdarza się inteligencja, a ta mówi, że nie ma tak, by dostać coś za nic i w ogóle, za darmo nic się nie kupi. No a promocja kosztuje.

- Ależ to proste. Po pierwsze, żadna z was nie pisze prawdziwych kryminałów, więc mnie nie przyćmi. Wybaczcie, ale te kryminały romantyczne to takie gówienko, że nie można tego nawet brać na poważnie. Po drugie, ponieważ nie możecie zazdrościć mi sławy i chwały (no, możecie, ale to nic wam nie da, jestem o wiele lepszy) na polu kryminału, nie będą was za bardzo podejrzewać. Przecież nie o to chodzi, żebyście ucierpiały, nie?

Wszystkie pomyślały, że powinny mu przywalić.

- A dlaczego trzy? - drążyła Grażyna.

Daniel lekko się splonił i już wiedziały.

Cham, bydlak skończony.

- Bo przy układzie jeden na jeden, ta, która zostałaby uznana za morderczynię, nawet chwilowo zyskałaby za dużo? Prawda? - zapytała złośliwie Gośka. - A tak to się rozmyje? Jasne, że tak. Chcesz z nas skorzystać, ale zapłacić za dużo nie zamierzasz? Boisz się, że cię przyćmimy? Że któraś za bardzo się wysforuje, że urośnie na większą od ciebie?!

Daniel się zaczerwienił i odrobinę wściekł.

- Gówno prawda! Wybrałem was, bo jesteście inteligentne! Ja w was wierzę! - To zagranie w stylu domokrażnego sprzedawcy chemii gospodarczej jednak mu się udało. - Nie są mi potrzebne jakieś podrzędne pisarki, żeby się tu plątały. Dałem wam szansę, bo jestem porządnym człowiekiem. Bo wspieram polskich autorów. - Tu bardzo ładnie posłużył się hipokryzją. - Bo wiem, jak trudno się przebić z pisaniem... Ale oczywiście wy o tym nie pomyślałyście! Mogę sam to zorganizować. Mogę! - obiecał, ale wyszło to jakoś groźnie.

Wyraźnie się zdenerwował i zaczął krążyć po pomieszczeniu jak ranny lew - tak się przecież mówi, choć właściwie nie wiadomo, jak zachowuje się ranny lew w salonie pełnym pożywnej ludziny.

- Nie kłam! Nie możesz! - roześmiała się Grażyna. - Gdyby nas w tym nie było, zbrodnia poszłaby w innym kierunku i nikt by się nie interesował wątkami książkowymi, raczej jakimiś zdradami czy

machlojami. A tak zaraz buchnie, że to pisarska zbrodnia! Policja zaczęłaby sprawdzać ci rozporek i konto bankowe, a to nie wywołuje żadnych ciekawych reperkusji, bo nawet pisarz ma prawo do pięciu kochanek i debetu. Zresztą ten temat jest już wyeksploatowany, to już wręcz nudne. Kogo by to obeszło?

– No, nikogo, na Pudelka byś nie trafił, a tak to może wszyscy czworo w artykule na Lubimy Czytać wylądujemy? „Trzy pisarki zamordowały kolegę po fachu”. O co poszło? Zazdrość zawodowa? Policja zacznie nam grzebać w dorobku, to każdemu coś skapnie, no i wywiady... – rozmarzyła się Gośka.

Grzebanie w dorobku zawsze jest lepsze niż grzebanie w rozporoku czy pościeli, choć są też tacy, którzy z braku innych możliwości i tym się cieszą.

Przez chwilę wszystkie trzy trwały w obłoku fantazji.

– A ty kiedy oddajesz kolejny tom Samuela? Podobno ludzie czekają, więc ty to tak profilaktycznie przed zapowiedziami? – zapytała Marta.

– Nie, no piszę, piszę – zapewnił Daniel – ale to jeszcze chwilę potrwa. Nie ukrywam, liczę na rozruszanie internetu, bo mi się jakoś pisanie dłuży. Chciałbym, wiecie, trochę zachęty, trochę... sławy!

Biblioteka była zamknięta, światła pogaszone. Przy dwóch laptopach siedzieli Gabi i Marcin, zastanawiając się, co wpisać we wniosku, ale za bardzo jeszcze nie ruszyli z miejsca.

Najpierw musieli przeczytać regulamin.

Był koszmarny. Regulaminy i ulotki od lekarstw to wymysł szatana oraz próba depopulacji, bo jak kto tylko przeczyta ulotkę jakiegoś leku, natychmiast stwierdza, że o nie, on tego nie weźmie. Trudno się dziwić. Po zapoznaniu się ze wszelkimi możliwymi efektami ubocznymi, takimi jak duszności, zatrzymanie akcji serca czy nagłe zgony, każdy się boi. Takie zapisy istnieją we wszystkich ulotkach wyrobów medycznych.

Dobrze poinformowani twierdzą, że to jest celowe i ma za zadanie wymordowanie chorych ludzi oraz oszczędzenie leków.

Regulaminy biblioteczne efektów ubocznych w postaci zgonów nie zapowiadają, ale szaleństwo jest niewykluczone.

Zaczęli czytać.

W ramach projektu można ubiegać się o dofinansowanie zakupów nowości wydawniczych do bibliotek publicznych, w tym w formie dofinansowań na zakup usługi zdalnego dostępu do książek w formatach e-booków i/lub audiobooków i/lub synchronobooków.

Gabi jęknęła, bo jakimś cudem wszystko zroszczyła. To źle wróżyło.

– Idę zaparzyć kawę – zaproponował Marcin. – Dobrze nam to zrobi.

Wstał od laptopa i poszedł do pomieszczenia obok, gdzie nie zapalając nawet światła, nastawił ekspres do kawy. Potem wyjął z szafek dwie szklanki, mleczko do kawy i cukier, żeby wszystko było gotowe. Wcale mu się nie chciało wracać, więc stał tak w ciemnej kuchni w prostokącie światła padającego z biura i patrzył na Gabi męczącą się z kolejnymi stronami regulaminu.

– Gabi? – odezwał się w końcu, wskazując ręką na faceta stojącego koło jej biurka. – Co ten pan tu robi?

Słowo „pan” ledwie przeszło mu przez usta, bo człowiek ów wyglądał dość niekonwencjonalnie. I zdecydowanie nie powinno go tam być. W żadnym razie. Nie o tej porze.

Przede wszystkim był rozczochrany, ubrany w żółty szalik, włożoną na gołe ciało kamizelkę od garnituru i spodnie od piżamy oraz bosy.

Gabi podniosła wzrok i też się zdziwiła.

– O Boże, przepraszam, zamknęliśmy pana? – zapytała grzecznie, choć nie pamiętała, żeby ktoś tak ubrany w ogóle się w bibliotece kręcił, a była pewna, że takiego przebierańca na pewno by zauważyła.

– A nie, nie, przyszedłem dopiero teraz. Potrzebuję waszej pomocy – odpowiedział mężczyzna szeleszczącym głosem.

To, że facet potrzebował pomocy, możliwe, że w postaci karetki z jakiegoś oddziału psychiatrycznego, zamkniętego na cztery spusty, było pewne. Gorsze było pytanie, że skoro wszedł, to jak?

– Włamał się pan? – zapytał Marcin niewinnie, mając z tyłu głowy myśl o szufladzie ze sztućcami, bo choć nie było tam żadnych noży do ewentualnej obrony własnej, tylko łyżeczki, to jednak łyżeczka lepsza niż nic. No i włamanie to jednak sprawa dla policji.

– Nie, no co wy? Nie poznajecie mnie? – zdziwił się intruz szelestliwie i tak bardzo, jakby był ich ukochanym wujkiem zaginionym przed laty gdzieś w odległej galaktyce.

Ani Gabi, albo Marcin nie rozpoznali go, ba, daliby sobie kilka części ciała uciąć, że nie widzieli go jeszcze nigdy w życiu.

W bibliotekach, owszem, ludzie się trochę między sobą znają, choć już nie tak jak kiedyś, kiedy karty biblioteczne wyciągało się z szuflady, a do grzebania pomiędzy regałami wypożyczających nikt nie dopuszczał. Bibliotekarka dawniej nie tylko знаła imię i nazwisko delikwenta, lecz także go widziała. Patrząc na niego, od razu rozpoznawała, czy zagina rogi, czy je pomidorową na szesnastej stronie, czy myje ręce po wyjściu z toalety. Od czasu do czasu wymieniała z nim kilka zdań, i to wcale nie zdawkowych.

Nikt w bibliotece nie gawędził o pogodzie, zawsze były to rozmowy o preferencjach czytelniczych.

– Macie nową Tokarczuk? Albo Nurowską?

– Chmielewska jakaś zesła?

Czytelnicy zadawali pytania i wtedy bibliotekarka udzielała im rad, odpowiedzi, a nawet książek.

I nigdy nie były to tak obecnie modne erotyki. Ze względu na wstyd, jaki musiałyby temu towarzyszyć, nikt ich nie wypożyczał, bo jak tu zapytać o coś takiego, patrząc komuś w oczy, kiedy ma się swoje lata, a jak na złość dziś za ladą pracuje nie bibliotekarka, a bibliotekarz?

Ten wstyd ratował czytelnictwo i podnosił poziom literatury, no ale cóż, czasy się zmieniły.

Czytelnicy, jak ogary w las, poszli pomiędzy półki i zaczęli wybierać, co się trafi, a trafiali na wszystko. Zamiast papierowych kart bibliotecznych z nazwiskami pojawiły się plastikowe karty z kodem kreskowym, a i przez grzebanie w komputerze człowiek rzadko miał czas zerknąć na osobę, która się znajduje po drugiej stronie lady.

Gabi była jednak pewna, że albo ona, albo Marcin kogoś tak dziwnego na pewno by zapamiętali.

– Proszę pana, biblioteka jest już nieczynna, muszę prosić, żeby pan nas opuścił – powiedział Marcin z oddali. – Zejdę z panem i pana wypuszczę – zaproponował.

Facet w kamizelce i żółtym szaliku, o spodniach od piżamy litościwie nie wspominając, był bardzo ugodowy i nie przejawiał żadnych symptomów agresji.

– Jasne, zaraz znikam – odpowiedział niemal wesoło. – Przecież nie będę tu siedział przez całą noc. Ja tylko chciałem was prosić o pomoc. To naprawdę ważne. Pani pozwoli, że się przedstawię? – Tu skłonił się nisko, kładąc rękę na sercu, jakoś tak literacko. – Jestem Samuel Kaszak. Pieprzone nazwisko, chętnie bym tego idiotę za nie zabił, szkoda, że jeszcze mnie nie nazwał Wagier... No, ale imię jest w porządku.

Po raz kolejny lekko skłonił się przed Gabi.

Dziewczyna, usiłując rozgryźć kolejne zdanie w regulaminie, nie zareagowała natychmiast.

Składając wniosek w ramach Priorytetu, wnioskodawca przyjmuje do wiadomości, że złożona przez niego dokumentacja stanowi informację publiczną i podlega udostępnianiu przez Bibliotekę Narodową podmiotom trzecim zgodnie z przepisami ustawy.

Przeczytała, potem spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę.

– Samuel Kaszak? No naprawdę, niech pan nie robi sobie żartów! Pan się tak nazywa? Poważnie?

– Właśnie – burknął Marcin. – Też coś. Samuel Kaszak. Nie sądziłem, że taki ktoś istnieje. Ale nie, no nie wiem, Samuel? Dziwne,

a do tego... Udaje pan Samuela Kaszaka? Ale po co, dlaczego?

– Nie udaję, do cholery, nikogo nie udaję! To ja! – zawołał nieco podenerwowanym tonem obcy.

Oboje bibliotekarze się skrzywili. I Gabi, i Marcin pomyśleli, że czeka ich długa przeprawa z wariatem albo narkomanem.

– To nie może być pan! – roześmiał się nerwowo Marcin, szukając czegoś do obrony, bo jednak czy to narkoman, czy wariat, może być niebezpieczny.

I nie chodzi o jakieś piętnowanie czy coś, wiadomo, choroba to choroba, ale nie każdy wariat jest chory, za to każdy pozostaje groźny dla otoczenia.

– A to niby dlaczego?

– To znaczy może się pan nazywać, jak pan tam chce, nawet Samuel Kaszak, ale nie może pan być nim, tym nim. On nie istnieje.

– A Herkules Poirot? – Mężczyzna rzucił tym nazwiskiem jak wyzwaniem.

– Co z nim? – Gabi westchnęła znad laptopa, zastanawiając się, czy już wzywać policję, czy może jeszcze zaczekać.

Mogła, owszem, zrobić to natychmiast, ale co miała powiedzieć? Przecież nawet ich nie zaatakował, a policja działa na takiej właśnie zasadzie. Zamordowali cię? Możesz liczyć na pomoc. Grożą, że zamordują? Mowy nie ma. Interwencja następuje dopiero po ataku, choć dla niektórych jest już za późno.

– Może i on nie istnieje? – zapytał intruz zaczepnie. I z jakąś dziwną zgrozą na twarzy.

– No oczywiście, że nie istnieje! – odparł Marcin spokojnie, choć spokoju było w nim coraz mniej.

– To dlaczego wszyscy wiedzą, kto to jest? Ha? No? Niech mi pan powie, skoro pan taki mądry? No?! – Przybysz zaczynał się denerwować.

– Oj... – jęknęła Gabi, czując, że denerwowanie przybysza nie jest najlepszym pomysłem. – No dobra, istnieje, jasne, że istnieje –

usiłowała go udobruchać. W tej chwili przytaknęłaby mu we wszystkim.

– No właśnie! – zatriumfował. – W przestrzeni literackiej istnieje, tak jak ja, choć owszem, on bardziej. I właśnie o to chodzi. Jestem tu, bo tylko wy możecie mi pomóc! – dokończył z mocą.

– Aż takimi debilami nie jesteśmy – oznajmił Marcin, pewien, że ktoś go wkręca.

– Nie, nie jesteście, ale wiecie, o co chodzi! Czytaliście moje przygody po kilka razy, a ty to nawet w łóżku! – Mężczyzna wskazał Gabi palcem.

– O, co to, to... – Zacerwieniła się po uszy ze zgrozy, że ktoś powiedział coś takiego, ale też z niepokoju. Bo rzeczywiście czytała w łóżku. Skąd wiedział? Podglądał ją? Przez okno? Na czwartym piętrze?!

Sytuacja zaczynała być coraz dziwniejsza.

– Nie o to chodzi. Chodzi mi o to, że ktoś chce mi zabić autora! Nie rozumiecie? Autora! Zabić! – wrzasnął jęklwym, ale wciąż szeleszczącym głosem.

Zabijanie autorów, którzy są jak najbardziej prawdziwi, realni i fizycznie istnieją w realnym, prawdziwym świecie jest karalne, ale też taką gadkę, i to z ust osoby wyglądającej na ponarkotyczny wykwit albo uciekiniera z izby wytrzeźwień, trudno było brać na poważnie.

Bibliotekarze nie wiedzieli, co zrobić. Postanowili odrobinę spuścić z tonu.

– A pan go kocha? O to chodzi? Dlatego pan nas tu nachodzi?!

– Nie, oczywiście, że nie! Nie Kocham go, to debil, ale co mam zrobić? Człowiek sobie sam autora nie wybiera! Patrzcie, jak ja wyglądam! No? I jak? Podoba się wam?

Gabi i Marcin jeszcze raz zlustrowali ubiór przybysza.

– Fakt, paskudnie. Nie możesz się przebrać? – zapytała Gabi, przechodząc na ty, bo wydawało jej się, że tak będzie łatwiej się dogadać, a może i zapanować nad intruzem.

– Właśnie nie mogę. On prawie nigdy nie pisze o moim ubraniu ani butach, czasami wspomina tylko o kamizelce i spodniach od piżamy. A jak śmierdzą?! W żadnej z powieści nawet pod prysznic mnie nie wysłał. Tylko chlam i chlam, bo to modne. Jestem bohaterem po przejściach z mroczną duszą. Wciąż na kacu. Zabiłbym go sam, ale nie mogę. A, mam jeszcze to. Zapomniałem.

Mężczyzna przedstawiający się jako Samuel Kaszak przez chwilę jakby zamigotał, a potem znowu stał się wyraźniejszy. Zamiast piżamy miał różowe szorty.

Bibliotekarze wybałuszyli oczy z wrażenia.

I trochę też z przerażenia.

– Co to była za kawa, Marcin? Co? Może był w niej jakiś narkotyk?

– To nie od kawy. Jeszcze nawet jej nie piliśmy.

– No to nie rozumiem.

– Ja też nie, nic a nic – jęknął Marcin bardziej do siebie niż do niego, ale gość się tym nie przejął.

– Chodzi o seks – powiedział, wzdychając uroczyście.

Zazwyczaj w takich przypadkach zaraz po tym oświadczeniu, gdy w sprawie udział bierze niezrównoważony facet w piżamie, wszystko zaczyna się obnażaniem, a kończy wezwaniem policji. Możliwe są też rany cięte. Nie odnotowano jeszcze, żeby bibliotekarka obcięła komuś penisa, ale Gabi właśnie rozważała taką możliwość z użyciem myszy komputerowej i nożyka do papieru. Myszą mogła jednak intruza co najwyżej zatłuc, a nóż do papieru był tak tępy, że nadawał się chyba tylko do wydłubywania oczu. Sobie. Co też brała pod uwagę – naprawdę nie chciała na niego patrzeć.

– Chce pan... – Znowu zaczęła mówić do niego per pan, tym razem żeby go nie zachęcać do czynów lubieżnych.

– Nie pan, tylko Samuel – obruszył się. – I nie, nie chcę uprawiać z nim seksu, bo widzę, że twoje pytanie zmierza właśnie w tym kierunku – odparował domniemany atak na swoją cześć. – Ani z nim, ani z wami!

To ostatnie bardzo ich ucieszyło. Wręcz odetchnęli z ulgą.

– No to o co chodzi? Bo nie rozumiem – rzuciła zaczepnie Gabi.

– Właśnie o seks, nie o autora, nie o was, ale o sam seks! Bo ja nigdy jeszcze nie uprawiałem seksu! Ani razu! Mam czterdzieści lat! Przecież to tragedia!

Bibliotekarze popatrzyli na dziwadło i oboje pomyśleli, że trudno się dziwić, że ktoś, kto tak wygląda, nie uprawiał jeszcze seksu. Nie powiedzieli jednak tego na głos.

– Ale co to wszystko ma do rzeczy? I do pana, tfu, twojej obecności tutaj i teraz?

Wszystko było psychodeliczne. Gdyby nie fakt, że oboje mieli gościa przed oczami, to chyba już dawno wpadliby w panikę, a tak, owszem, czuli, że jest dziwnie, ale jeszcze się ludzili, że to jakiś sen. Zwid? Omam? Halucynacja zbiorowa? Wszystko byłoby lepsze niż to, co widzieli i czuli. Zwyczajni ludzie nie są gotowi na takie wykwyty przenikalności życiowo-literackiej.

– Bo autor zaczął pisać dla mnie scenę łóżkową – wyjaśnił Samuel. – Już jest kilka draftów, czyli idzie w dobrym kierunku, a tu dowiaduję się, że ktoś chce go zabić! Przecież to będzie koniec! Jeżeli on zginie, to ja nigdy nie zaznam seksualnej ekstazy, nie dowiem się, jak to jest, jak smakuje kobieta...

– Wariat! – oświadczył Marcin. – Sam z siebie nie możesz? Robisz tylko to, co on ci każe?

– Nie, no nie, mam szeroko pojętą autonomię. Napisał, że lubię herbatę, to już mogę pić, jaką dusza zapragnie, napisał, że oglądam Netfliksa, to choć mi się nie nudzi. Aczkolwiek nie mam radia, nigdzie o radiu nie wspomniał, więc nie ma na to szans. Ogólnie w naszym świecie jesteśmy zależni od naszych twórców, ale nie całkowicie.

– O jesuuuu... On jest chory – szepnęła Marcin do Gabi.

– Ale gada frazesami jak z taniego romansu, więc może mówić prawdę. Jego wypowiedzi są żywcem wyjęte z powieści – stwierdziła

Gabi, chcąc trochę udobruchać dziwadło. – Żaden normalny człowiek tak nie mówi.

– I co mamy zrobić?

– Ratować go? – podsunął Samuel ze skrzywioną nieco miną, jakby odpowiedź narzucała się sama.

– Ale jak? Kogo? Gdzie? – Marcin jeszcze bardziej spanikował.

– A skąd ja mam wiedzieć? Siedzę w książkach, nie w realnym życiu. Wiem tylko, że to ma się odbyć w jego domu, no, może koło domu... Czy ja wiem? Gdzieś tam. Ale wiem, że coś się stanie.

– A dokładniej?

– Dokładniej to nie wiem, bo nie za bardzo mam jak się dowiedzieć. Tu czasami bywam, to specyficznie zakrzywiony wszechświat, mnóstwo książek, pełno opowieści, a na dodatek wy dwoje czytacie jak porąbani, no i mnie kochacie, ale tam jest gorzej. Czasami trudno zajrzeć. Wiem tylko, że krew, dużo krwi ma być i jakiś nóż, więc ktoś chce go zabić. To chyba logiczne.

– Ale kogo dokładnie?!

– Mówiłem! Mojego autora! – Samuel zdenerwował się, aż zaczął blaknąć.

– Mówimy o Danielu Adachu?

– No a o kim? Tak jest wydrukowane na książkach, ale ja go osobiście nie znam. Nie zdarzyło mi się jeszcze go spotkać. To znaczy wiedzieć, to go jakoś jakby widywałem, ale spotkać – nie.

– O ja pierdołę – jęknął Marcin. – Jaka jest szansa, że się czymś oboje podtruliśmy i mamy halucynacje albo że śni nam się ten sam sen?

– Spora i żadna zarazem. W życiu nie uwierzę w bohatera literackiego, który lata po bibliotekach i chce ratować swojego autora.

– U Pirandella tak było.

– No tak, *Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora*.

– To była sztuka! Dobra, dość tych wygłupów.

– Kiedy to żadne wygłupy – jęknął Samuel.

– No, nawet jeżeli masz rację, to dlaczego ktoś chciałby go zabić? I jakim cudem tu jesteś? Autor ci scenę w bibliotece napisał? Bo jak rozumiem, sam niewiele możesz...

* * *

Daniel Adach był pisarzem. I był tutejszy. I to bardzo źle wyglądało. Ponieważ napisał kilka książek i był nawet w Wikipedii, ludzie się na niego wściekli. Tu się urodził, tu wychował, tu mieszkał. To było wręcz wredne! Zazdrościli mu, ale to by jakoś przeszło. Niestety było coś gorszego. Daniel im pokazywał, że się da. Kolegom z podstawówki, liceum, przedszkola i podwórka, tym siedzącym pod klatkami albo przed telewizorem pokazywał, że można coś osiągnąć, nawet będąc tutejszym, a to boli.

Grażyna Matera też była pisarką i też była tutejsza, ale z nią wyglądało to inaczej – źle, ale nie tak samo. Po pierwsze, była tutejsza, ale napływowa, a po drugie, pisała jakieś erotyki czy romanse kryminalne, więc można było wszystko złożyć na karb niedojebania i wcale jej sukcesami się nie przejmować. Jej książki nie były takie, jak trzeba. Kto by tam chciał pisać coś takiego? Wstyd, normalnie wstyd i moralna degrengolada.

Dzięki tej degrengoladzie siedemnaście mieszkańek miasteczka zaczęło zamieszczać swoje opowieści mocno zabarwione erotycznie (bo kryminały im nie wychodziły i źle się je publikowało w odcinkach) na Wattpadzie, ale pod pseudonimami, skrycie marząc o karierach pisarskich. Grażynę potępiały przy tym całkowicie, odwracały od niej zde gustowane oblicza i pluły jej pod nogi.

– Kurewka! – mówiły o niej zadowolone, że ich nie słyszy, a jeśli nawet, to i tak nie poda do sądu, bo pluły bez nazwiska.

* * *

Grażyna poszła do sypialni, podeszła do swojego wielkiego lustra i zapytała:

– Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy...?

Zrezygnowała, widząc podkrążone oczy, drugi podbródek i zmarszczkę. Włączyła Facebooka i zalogowała się na swoje konto, na którym była naprawdę piękna, miła oraz prawie genialna. Facebook działał jak lustro, pokazywał jednak tylko to, co chciała widzieć i wiedzieć, dlatego tak go kochała.

Te głupie pindy, które ją wyzywały, nigdy nie osiągną tego, co ona, bo ona jest kimś, a one tylko małomiasteczkowymi zdzirami.

Koleżanki też nigdy jej nie dorównają.

Przyjrzała się swoim osiągnięciom i pomyślała, że odrobina promocji dobrze jej zrobi. Odrobina szalonej, morderczej promocji, nie jakieś serduszka i lajki, ale rozgłos, coś, co wyniesie ją na ścianki. I pod niebiosa, a nawet na te lepsze portale internetowe.

Zrobiła sobie selfie z jedną ze swoich książek i napisała: *Dziwnie się dziś czuję. Ciekawe, co z tego wyniknie.*

To był podkład. Podkłady też są dobre.

Oczywiście natychmiast dostała wiadomość od kogoś, kto bez wstępów stwierdził, że powinna się leczyć, bo jest nienormalna, bo każdy, kto pisze takie bzdety, to jakby po dopalaczach pisał, a to się nie godzi, bo narkomani i prostytutki nie powinni mieć prawa głosu. Oraz prawa do pisania i rozmnażania się.

Zablokowała go.

Lubiła takie oznaki chwały, zazdrości, wściekłości na swoją wielkość, ale nie lubiła wariatów.

* * *

– Nie musiał mi pisać scen w bibliotece. Po co? Biblioteki to miejsca o specjalnym znaczeniu i atmosferze. Są literackie.

– Ale jak w ogóle...?

– Pewnie chcecie wiedzieć, jak i dlaczego mogę tu być?

- Oj tam. - Gabi machnęła ręką, bojąc się wykładu z filozofii literatury.

- No więc jak ktoś napisze książkę, to...

- Weź skróć do minimum, co? - westchnął Marcin, bo go też jakoś ten wykład nie kusił.

- No więc jak ktoś napisze książkę, to tam jest bohater i ludzie czytają, a on zaczyna żyć. - Samuel streścił swoje (i nie tylko swoje) istnienie w jednym zdaniu, które było niestety aż za bardzo przewidywalne.

- A jeżeli autor napisze ją do szuflady? - rzucił złośliwie Marcin.

- A, to wtedy nie - westchnął Samuel. - My rodzimy się... no, bardziej tak... Inaczej: nas stwarzają oczy czytelników! Im więcej osób o nas czyta, tym jesteśmy silniejsi i wyrazistsi! O, był kiedyś taki ten, mały czarodziej, pamiętam, jak na początku ledwie łąził, błąd, przezroczyści, zupełnie wręcz wyblakły. A potem? Szaleństwo! A ten pies taki, Elf, z tym Dużym? Normalnie na początku chucherko, a teraz tyle dzieciaków o nim czyta, że sierść mu aż błyszczczy, a ten jego Duży to normalnie jak gigant jakiś się zrobił! Im więcej czytelników, tym wyraźniej wygląda i bardziej żyje! O!

- I dlatego nam się unaocznilesz? - burknął Marcin złośliwie.

- A nie, to nie to, jestem ostatnio mało poczytny. Unaocznilem się, bo mam do was sprawę. Przecież wam mówiłem, chodzi o pieprzenie!

- A może ci tego i owego nie napisał? - Marcin znów poszedł w złośliwość.

Samuel się obraził.

- Wszystko mam, jak należy! Wiem, bo sprawdzałem, poważnie! Mogę pokazać. - Chciał się obnażyć.

Bibliotekarze aż się wzdrygnęli.

- Nieee!!! - wrzasnęli oboje. Nie mieli ochoty oglądać jego literackiego penisa z przyległościami.

– Jak to jest, że nie masz butów, bo autor ci ich nie napisał, a napisał ci przyrodzenie, choć nawet nie uprawiasz seksu? – zapytał jednak Marcin z powodów czysto literaturoznawczych. Uważał, że wszystko, o czym się pisze, powinno być jakoś potrzebne w fabule, jak ta słynna strzelba Czechowa.

– Często wysyła mnie sikać, więc muszę mieć czym. Wiadomo, wlewa we mnie hektolitry piwa!

Pieprzenie, czyli seks, bardzo Samuela interesowało, ale dotychczas w całym swoim życiu jeszcze nie było mu dane sprawdzić, jak to wygląda ani co to jest. Niestety, po tym, czego się dowiedział, czuł, że jeżeli czegoś nie zrobi, nigdy nie będzie w stanie się przekonać, jak ten seks działa. Bardzo go to martwiło. Niestety nie zależał sam od siebie. Nie był jednym z tych mężczyzn, którzy sami decydują o sobie, a już najmniej w takich sprawach.

* * *

Marta zajmowała pokój na parterze tuż obok pokoju Goški. Grażyna spała oczywiście u siebie w sypialni na górze, choć chyba raczej nie spała, dzięki tej odległości jednak – w sumie złudnej – Marta i Goška mogły pogadać na osobności.

Cały ten pomysł je zaintrygował.

– Bo wiesz, że to będzie totalne przegięcie? – stwierdziła Marta, podając Goście skręta z mocnej marihuany, którego palili razem przy oknie, żeby Grażyna ich nie wyczuła.

– Wiem, ale wiem też, jak działa sieć. Zaraz się zacnie, zobaczysz. I Adach ma rację. Będzie totalne przebicie w klikach. Naprawdę. Choć on zyska najwięcej.

– A ja to nie wiem. Bo to mi się wydaje tak piękne, że aż niemożliwe. Sama przyznasz, że tak blisko z nim nie jesteśmy, żeby akurat nas miał w to wtajemniczać. To mnie dziwi. Dlaczego akurat my? Nie jesteś ciekawa?

– Nie, to mnie akurat nie dziwi, bo kogo miał wziąć? Kogoś z wielkich? Toby przepadł. Zamiast pisać o śmierci Adacha, skupialiby się na tamtym. Potrzebny był ktoś mało widoczny, ale jednak wyrazisty, ktoś taki jak my. A kobiety są zawsze lepsze jako potencjalne morderczynie, bo każdy się doszuka podtekstu. Przy facecie to by nie przeszło. Nie, nie... Pewnie chciał Grażynę, bo ona tu mieszka. To akurat jest konieczne. Nie mogłyśmy ot tak przyjechać i wynająć pokoju w hotelu, to byłoby nienaturalne. A tu patrz: odwiedzamy koleżankę pisarkę, przypadkiem wpadamy na miejsce zbrodni, wszystko się trzyma kupy. Ta... Z hotelem od razu by było widać, że to jest naciągane. Że to ustawka. Bo przecież on przeżyje. A jak już się wszystko wyjaśni, to nie może wyjść, że on to nagrał, tylko że to było albo przeoczenie, albo panika dziennikarzy, albo zbieg okoliczności.

– Jaki zbieg? Jakich okoliczności?

– Świniobicia, naszego potknięcia się o nóż i jego wyjazdu. To policja i pismaki nakręca dramat. My będziemy tylko przypadkowymi pionkami.

Właściwie to miało sens.

– Ale skąd świniobicie wzięłaś?

– A krew? To skąd?

Ileż to razy, widząc jakąś celebrytkę kupującą spirytus, dziennikarze donosili o imprezie, a ona tylko odkażała ściany w łazience? A jak jedna aktorka kupiła test na Covid, to zaraz poszło, że ma raka prostaty, podczas gdy ona tylko w ciąży była.

Taka pochoptność w pisaniu jest teraz i częsta, i konieczna, ponieważ przepływ informacji to mgnienie, a jak nie jesteś pierwszy, to cię nie ma. Dziennikarze wolą więc napisać klikalną bzdurę niż nic, bo nic się nie klika, a bzdura – jak najbardziej. Co ważne, bzdura generuje komentarze i reakcje! Więc z czym problem?

Bzdura może być nawet pouczająca, bo ludzie się od razu rzucają z wyjaśnieniami, a to bywa pedagogiczne, nawet jeżeli jednocześnie jest hejtem.

A ty, debilko, skąd wzięłaś raka prostaty u tej aktorki? Przecież ona prostatę wycięła sobie trzy lata temu! Taka prostata paskudnie wygląda na zdjęciach, musiała! Przecież nawet makijaż tego nie zamaskuje. Wiem, próbowałam, podkład się nie trzymał! I nie odzywaj się, jak się nie znasz! Ludzie! Wróćcie do szkoły, a nie pieprzycie takie farmazony!

Marta jako królowa romansu zaczynała się już odrobinę nudzić w swoim gatunku. To znaczy nie ona gatunkiem, tylko ona czytelnikom. Nie była medialna. Nie miała kota, nie miała psa, a małpę posiadała jedynie w adresie mailowym. Nie była cudną nastolatką z biustem na sztorc. Należała do kobiet tak zwyczajnych, że aż trudno było cokolwiek zrobić, by ją wypromować. W jej sytuacji nawet zez byłby pożądany.

A przecież każdy potrzebuje promocji. Pomysł Daniela Adacha wydał jej się karkołomny, ale do wzięcia. Marta nie była idiotką. Taka okazja nie trafia się dwa razy, a nawet gdyby, to drugi raz po prostu nie przejdzie, nie w takim samym składzie osobowym, zresztą możliwe, że w żadnym innym też. Niektóre pomysły szybko się „opatrują”, więc postanowiła skorzystać, jak najbardziej się da.

Już widziała szybowanie zasięgów. Już śniła złoty sen o dodrukach i tantiemach, a w dalszej kolejności – o sfilmowaniu swoich dzieł.

Nie były to jakieś wielkie dzieła, a ona była na tyle inteligentna, że doskonale zdawała sobie z tego sprawę, choć gdy tę opinię wyrażał ktoś inny niż ona sama, natychmiast gryzła i kopała. Zazwyczaj wirtualnie, ale jednak.

Obie z Goską siedziały teraz w oknie, dzieląc skręta i buchając coraz głośniejszym śmiechem.

Nagle zobaczyły, że ktoś przechodzi drogą, a właściwie leci truchtem.

– Hej, panienczki kochane! Nie palcie tak! Toż to wstyd i choroba! – zawołała od płotu jakaś kobieta, a one na chwilę oderwały się od własnych myśli i roześmiały nieszczerze.

- Nie jesteśmy żadnymi panienczkami! - odrzyknęła Marta, bo zioło zaczynało działać i znów chciało jej się śmiać.

- To co, już mężatki? Takie młodziutki? To jeszcze większy wstyd, dzieci się od palenia głupie robią!

- Sama pani jest głupia - warknęła Gośka. - Możemy robić, co chcemy. Nie babci sprawa!

Kobieta, a może nawet kobiecina, podchodząca wręcz pod babulinę, bo mała i skulona, chyba w szlafroku, popatrzyła na nie z dezaprobatą i podreptała przed siebie, taszcząc pod pachą coś, co przypominało zdechłe zwierzę.

Minęła furtkę, przeszła obok żaby, czyli obrzydliwej i nieużywanej skrzynki na listy, i poszła dalej.

* * *

- Marcin, słuchaj, już wiem! - krzyknęła Gabi, nie rezygnując z nadziei, że Samuela nie ma. - To musi być gaz! Zatruliśmy się! Hurra! Trzeba otworzyć okna! Zaraz wywieje nam Samuela z głowy i z biura. No, rusz się!

Marcin pokręcił głową niechętnie i skrzywił się malowniczo. Ta mina oddawała i jego nastrój, i podejście do sytuacji.

- Okna są otwarte, a w budynku nie ma instalacji gazowej - powiedział z przekąsem.

- Czyli co? On jest? Istnieje? - Wskazała głową delikwenta w żółtym szaliku i różowych spodenkach.

Nie umiała tego jakoś do siebie dopuścić. Była realistką, twardo stąpającą po ziemi realistką, a to podawało w wątpliwość wszystko - nie tylko jej zdrowe zmysły, ale też wszechświat, jaki znała, bo jeżeli ktoś taki istnieje i może się przemieszczać między światami, tym realnym i tym literackim, to co z Hannibalem Lecterem albo Cthulhu?

- Na to wygląda, że jednak istnieje. Ale może po prostu ktoś robi sobie z nas jaja, a my daliśmy się nabrać, bo siedzimy ze łbami w literaturze?

To nie było wykluczone, bo praktycznie od zawsze ludzi czytających, czyli chodzących z głową w chmurach, uważa się za dziwaków i często im się to dobitnie wytyka.

– Uszczypnijmy go! Na trzy! – zaproponowała szeptem Gabi i cichutko zaczęła odliczać: – Raaaz... dwa....

Na trzy bibliotekarze rzucili się na Samuela z dwóch stron, Gabi zza biurka, Marcin od drzwi kuchennych, on długim susem, ona podstępny wyskokiem.

– Aaaaa!!! – wrzasnęli, żeby dodać sobie animuszu.

On ślizgiem wpadł na środek biura, po czym potknął się o dywanik i machając rękoma, runął pod nogi zjawy, która nie bardzo się nawet poruszyła. Gabi też nie miała lekko – szybko odsuwając krzesło, zahaczyła nogą o kosz na śmieci, który poszybował na środek, przeleciał przez zjawę i wywalił zawartość pod wieszakiem. Oboje dopadli miejsca, gdzie stał Samuel, zderzyli się z jękiem i hukiem, Gabi złapała coś w palce i wykręciła z wielką satysfakcją.

– Au, przestań! Jego miałaś szczypać, a nie mnie! – Marcin roztań sobie pośladek.

– Jego szczypałam – oświadczyła Gabi, całkowicie wierząc w to, co powiedziała.

Samuel patrzył na nich jak mysz z kawału o serze, kręcił głową i powtarzał sobie pod nosem kwestię myszy: „Jak dzieci, kurwa, jak dzieci”.

– To nic nie da – oświadczył w końcu, wzruszając ramionami. – Mam pewne właściwości nawet w sumie niekiedy fizyczne, ale nie uszczypiesz mnie. Trzeba było zapytać, tobym wam wytłumaczył.

Z tymi słowami przeszedł przez biurko. Właśnie tak, jakby biurka tam nie było.

To ich jeszcze bardziej zaszokowało.

– Czyli jesteś duchem?

– Gdzie duchem! Jakim duchem? Kto w dwudziestym pierwszym wieku wierzy w duchy?! – Samuel się skrzywił. – Jestem bytem literackim! Czysto literackim.

Takie byty albo raczej istoty literackie istnieją, nawet na wiele sposobów. Sami czytelnicy je tworzą. Zakochują się w bohaterach książek (choć to raczej czytelniczki), czczą ich, śnią o nich po nocach i marzą, wzdychają, a czasami nawet odprawiają pielgrzymki ich śladami, odwiedzają miejsca, w których mieszkał lub czasowo przebywał ten czy inny bohater. Nie widują ich jednak w świecie realnym, no chyba że przedawkują jakiegoś autora i nie daj Boże jest to Coelho.

Tego trzymał się Marcin, zdecydowany realista, tego trzymała się też Gabi. Zeznań nie uzgadniali, ale większość czytelników tak właśnie czuje.

– Mamy zwidy? – zapytała Gabi, licząc na odpowiedź pozytywną, która byłaby może początkiem długiego leczenia, ale nie rujnowałaby jej świata.

– A cholera wie – westchnął Marcin, poddając się całkowicie. – Dobra, czyli co mamy zrobić? – Nie sprecyzował, do kogo skierowane było to pytanie.

– Nie wiem jeszcze dokładnie – odparł Samuel – ale chyba musicie tam iść i go ratować.

* * *

Grażyna też oczywiście nie spała – z zaciekawieniem, otworzywszy okno, chłonęła zapach dymu i słowa koleżanek.

Nie była idiotką, za jaką często chciała uchodzić. Należała do osób, które mają swoje zdanie i lubią coś z tego mieć. Nie ze swojego zdania, ale ze wszystkiego, co oferuje świat. Lubiała podskubywać cudze torty – tak jak zresztą większość ludzi, bo zanim ktokolwiek opatentuje swój pomysł (a przecież trudno na przykład opatentować morderstwo), już

się znajdzie ktoś, kto nawet nie starając się udawać, że sam na to wpadł, zaczyna robić to samo. Stąd wszelkie mody.

Ona tylko patrzyła i podkradała pomysły.

Teraz też pomyślała, że ta sprawa nie może się skończyć tak zwyczajnie, wręcz banalnie. Szkoda by było. Taki potencjał powinno się jakoś wykorzystać.

To znaczy ona powinna go wykorzystać.

Bo co by było, gdyby to ona, a nie Daniel, została zamordowana? Gdyby zadziałała wcześniej, nie miałyby wyjścia, musiałyby zagrać w grę, którą by poprowadziła.

Niewątpliwie ofiara czy tam, jak się później okaże, zaledwie domniemana albo potencjalna ofiara zyska najwięcej. Dlaczego miały to być Daniel?

Dwie koleżanki kretynki (Grażyna nigdy przed sobą nie udawała, że je lubi, choć przed nimi zawsze) były jej potrzebne, musiały przecież zagrać w to razem z nią. To oczywiste.

Ludzie czasami patrzą na życie w kategoriach: ma – nie ma, lubi – nie lubi, ale to nie takie proste.

Ktoś musiał znaleźć ciało. Jej, oczywiście. Nie można było pozwolić na to, żeby na przykład leżało przez całą noc, zanim ktoś je odnajdzie, albo żeby zaczęło chrapać.

Potrzebna była krew w stanie płynnym, nóż i jakiś przechodzień. Przechodzień, który zrobi show, a nie rozsądny człowiek, który cichutko wezwie pogotowie i nie narobi rabanu.

I oby to nie był upiór w moherze.

Koleżanki zawsze można poinstruować, na przykład: „Piszcz, ile tchu w piersiach” albo „Wyj, jakby cię ktoś ze skóry obdzierał”, a przechodnia nie.

One też na tym skorzystają.

Cała intryga musiała być nieco inna niż to, co zaplanował Daniel. Grażyna nie mogła po prostu zaginać – ona jako ofiara musiałaby zostać

odnaleziona i uratowana, może jakoś poturbowana, ale zdecydowanie wolała zostać na miejscu. Miała w domu dwie koleżanki, a na dodatek nie lubiła się ukrywać. Wymyśliła więc coś innego. Daniel zostawi krew i nóż, a potem zniknie, a ona z tego skorzysta.

Nieco pokryje jego trupa swoim. Jakoś. W każdym razie coś zrobi, żeby być nie tyle podejrzaną, ile ofiarą. Ofiary mimo wszystko są lepsze od morderców. To znaczy domniemanych morderców.

I ta lepszość nie jest kwestią moralną, bo to nie ulega wątpliwości, ofiary są lepsze w sensie ogólnym, ponieważ zyskują lepszy rozgłos. No chyba że morderca jest przystojny, wtedy... cóż. Mordercy niekiedy, owszem, też święcą triumfy, niestety za kratami.

– No to jak? Przemysłałeś całą sprawę? – Zadzwoiła do Daniela na wszelki wypadek, żeby wszystkiego się dokładnie dowiedzieć.

– Już dawno – prychnął Daniel. Był irytująco pewny siebie. Zawsze uważał się za nie wiadomo kogo.

– A kiedy to zrobimy?

– Nie zrobimy! Ja to zrobię – wypalił. – Wy tylko znajdziecie ślady zabójstwa. Nie musisz wiedzieć nic więcej, zresztą nawet nie możesz. Wszystko byś mi jeszcze, kurwa, zepsuła, z tym twoim pieprzonym romantyzmem...

– Ale to jak? – Grażyna poczuła się odrzucona. Nie tak miało być, to znaczy może i tak, ale ona chciała inaczej.

– Zwyczajnie. Wyślę ci SMS-a.

– Ale mniej więcej kiedy?

– Mniej więcej za jakiś czas, ale raczej dziś w nocy, najprawdopodobniej dziś w nocy. Bo jak nie, to dopiero jutro wieczorem. Nie mogę przecież tego zrobić w dzień, jeszcze by się ktoś zorientował.

– No tak, upiór w moherze...

– Właśnie.

Upiór w moherze istniał naprawdę i terroryzował miasto, choć nikt nie wiedział, kim on jest. Zważywszy jednak na jego działalność, uważano, że to kobieta w dość podeszłym wieku, nosząca moherowy beret – stąd określenie.

Nikt nigdy upiora na niczym nie przyłapał, a choć działał on też, i to całkiem sprawnie, w sieci, nie znano nawet jego IP. Choć trzeba też przyznać, że nikt za bardzo nie sprawdzał, a na policji, jeżeli już, to wzbudzają prędzej śmiech niż zainteresowanie.

Początkowo ta działalność internetowa powodowała, że część mieszkańców chciała obniżyć wiek domniemanego upiora choć o kilka lat, ale szybko sobie przypomniano, że w bibliotece organizowano ostatnio kursy pod tytułem „Internet przyjazny seniorom” oraz „Komputer twój brat”, więc nadal szukano go pośród osób określanych zwyczajowym mianem babci.

A szukano zawzięcie, i to wcale nie po to, żeby mu wręczyć dyplom za „aktywność”. Kilka osób miało co do niego zdecydowanie inne zamiary. Niektóre z tych zamiarów były, powiedzmy, fizyczne (czyli ograniczały się do obicia ryja), inne zakładały pozwody sądowe. Choćby o zniesławienie.

A zaczęło się niewinnie.

Do miejskiej gazety wpłynął list polecony (z nieistniejącym adresem zwrotnym) z żądaniem zmiany nazwy miejscowości. Otóż Tęczów za bardzo kojarzy się z genderem i zбочzeniami. Nazwa odnosiła się do tęczy, a więc do czegoś haniebnego, stanowiła seksualizację przestrzeni publicznej oraz demoralizowała młodzież, więc żeby coś z tym zrobić, należy nazwę miasta zmienić. Tęczów można przemianować na Kraków, bo ta nazwa też kończy się na „ów” i ma tyle samo liter, a poza tym jest bardzo ładna.

Nikt wtedy listu nie wziął na poważnie, ale okazało się potem, że były to pierwsze wyraźne symptomy... choroby? Ataku? A może po prostu upiora?

Daniel i Grażyna bali się go bardzo, szczególnie w tym momencie. Był to ten rodzaj człowieka (chyba jednak był to człowiek), który mógł im rzeczywiście zaszkodzić.

I stanowiło to problem o wiele większy, niżby się wydawało, bo całe miasto w upiора wierzyło, ale nie każdy tak samo.

Otóż niestety część mieszkańców była przekonana, że upiór nie jest li tylko człowiekiem o upiornym charakterze, ale po prostu upiorem, żądnym krwi, szpiczastozębnym, a może i szablozębnym stworem o pysku jak Huggy Wuggy.

O jego istnieniu w Tęczowie rozpisywały się kiedyś gazety, a towarzystwo spirytualistów wpisało go na listę zagrożonych zagrożeń. Gdyż był niebezpieczny oraz groziło mu wyginięcie. Zagrożenia też należy szanować.

Straszono nim dzieci, ale dzieci w tej chwili mają w internecie tyle ciekawszych niebezpieczeństw, że upiór tylko je śmieszył. Straszono nim żony, ale tym w zasadzie było wszystko jedno, kto im dowali słownie – upiór czy mąż.

To znaczy przemoc w Tęczowie, jak wszędzie, była zakazana, a przestrzegania prawa bardzo tu przestrzegano, toteż jak tylko żona wyszła z domu z podbitym okiem, policja natychmiast zaczynała się nią interesować. Pytaniom: „A jak? A co? A dlaczego?” nie było końca. W sumie rzadko dostawały kary więzienia za nieposłuszeństwo wobec mężów (a ślady pobicia świadczyły o wielkim nieposłuszeństwie), ale i to się zdarzało.

Gorzej, że czasami znajdowano krwawe strzępy rozwleczone po ulicach albo jakieś zwłoki (niehumanne, znaczy nie ludzkie) to tu, to tam. Niby wszędzie tak jest, ale w Tęczowie to musiał być upiór.

Policja była w kropce – wiedziała, że to on, ale nigdzie tego wpisać nie mogła.

Wiedziała też, że lepiej sprawy nie tykać. Lepiej nie zadzierać z upiorem. Tym ludzkim, bo obgada i dokopie się do starannie skrywanych tajemnic, i tym niehumannym, bo kto by chciał mieć

do czynienia z taką pradawną formą zła? Oraz ryzykować ośmieszeniem u przełożonych spoza Tęczowa.

Oba upiory (albo obie upiorne formy istnienia) spełniały ważne funkcje społeczne. Terroryzowały miasteczko, a wiadomo, to zawsze dobrze robi. Sterroryzowani ludzie są na ogół spokojniejsi, jeżeli nie liczyć nocnych wrzasków.

* * *

– Teraz mamy tam iść? – zapytał zdziwiony Marcin, podnosząc się z podłogi i rozmasowując sobie uszczyknięcie na półdupku.

– Nie wiem, ale co wam szkodzi? To niedaleko stąd. W pojęciu nieliterackim oczywiście, bo w literackim toby był ledwie akapit. Nie zajmie wam to więcej niż przeczytanie trzech stron. Możecie iść – odpowiedział Samuel z nieodgadnioną miną, tak jakby miotał się między zachętą a niepewnością. – Ja też bym poszedł, ale to nie takie proste. Na nic się nie przydam, jako istoty ze świata literackiego nie możemy za bardzo oddziaływać na ten wasz.

– Już oddziałujesz! – odburknęła Gabi, bo jego wpływ na jej poczucie własnej wartości był zdumiewająco duży.

– Słowem, słowem możemy oddziaływać, ale nie zawsze fizycznie, choć czasem też. Jeżeli to jest związane z książkami, to tak. One są takimi, powiedzmy, portalami.

– Bredzisz! – westchnął Marcin.

– Dobra, nawet jeżeli tam pójdziemy, to po co? – zapytała Gabi zniechęconym głosem, bo jeżeli tam ktoś kogoś będzie mordował, to w grę wchodzi jakaś przemoc, broń, krew i w ogóle rzeczy, które jej wcale nie kusily.

– Nie wiem, naprawdę, nie możecie zrozumieć, że nie wiem? To nie jest tak, że mam dostęp do jakiejś wiedzy tajemnej! Po prostu są miejsca, gdzie mogę bywać, i jak tam jestem, nie zawsze oficjalnie, mogę też coś usłyszeć. A wy możecie uratować ludzkie życie. Czy to do was nie przemawia?!

Przemówiło.

Powiało grozą, bo zawsze gdy ktoś używa tego argumentu, należy się dwa razy zastanowić i najlepiej wycofać.

Marcin spojrzął na Gabi i oboje zdecydowali się wyjść z biblioteki. Wcale nie chodziło im o morderstwo jako takie ani o ludzkie życie, tylko o własne i o to, że w ten sposób mogli się pozbyć namolnego gościa.

Zresztą była już trzecia w nocy.

Szybko skończyli to, co zaczęli, nie za bardzo wiedząc, czy wszystko jest jak należy, i zostawili wniosek do sprawdzenia dyrektorce, która tej nocy nie mogła z nimi pracować z powodu spraw rodzinnych. Jak przyjdzie z samego rana, pchnie to dalej. Dostaną dofinansowanie, nie dostaną – to już w tej chwili nie miało dla Marcina i Gabi najmniejszego znaczenia. O wiele większe miało to, czy zwariowali, czy się czymś podtruli, czy może oboje mają jakieś halucynacje.

Mówi się, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia i to jest najszczęsza prawda. W zwyczajnej sytuacji halucynacje czy objawy szaleństwa byłyby czymś tragicznym, w tej nienormalnej wydawały się maleńkim pryszczem na rzeczywistości, która rozpadała się na ich oczach.

* * *

Wiersz pojawił się na portalu miejskim i wzbudził szal komentarzy.

||1Zosiu droga, rzekła ciotka,

||nie obgryzaj mi nagniotka.

||Zosia ciotki nie słuchała,

||2zgryzła i zwymiotowała.

Kanibalizm w natarciu, wy gamajdy! – krzyczał podpis. Już nas do tego przyzwyczajają, będą nam o tym mówić i mówić, aż zaczniemy jeść robaki, psy, świerszcze, a w końcu ludzinę!

Upiór kochał pławić się w odmętach wąsatego zabobonu. Jak tylko wyczuł, że może, natychmiast pokazywał straszne rzeczy.

Jeżeli ktoś nie wie, co to jest wąsaty zabobon, powinien iść na najbliższe wesele i usiąść koło porządnie napitego wąsatego wuja, nauczy się wielu dziwnych rzeczy. Dlaczego? Bo ludzie myślą, że są odporni, ale nie są. Opowieści, żarty, memy – wszystko to na nich wpływa i jeżeli się chce, można wmówić im wszystko.

Przywołajmy taką sytuację: jakiś nieogarnięty w żadnej materii, za to obdarzony męskimi genitaliami random z internetu twierdzi, że kobiety nie mają zdolności do nauki. Kiedy ktoś mu postawi za przykład Marię Skłodowską-Curie, po chwili zastanowienia odpowie: „No, czegoś tam się nauczyła, ale lepiej by było, gdyby zajęła się rodzeniem dzieci”. A kiedy ktoś mu wytłumaczy, że i to jej się udało, stwierdza: „Miałem na myśli dzieci, nie dziewczynki”. Wąsaty zabobon to właśnie ten rodzaj podejścia do życia.

Tęczowanie portal miejski odwiedzali często. Zawsze powodował wśród nich sporo zamieszania i dreszcze.

* * *

Gośka poszła do siebie i położyła się na jeszcze nierozłożonej wersalce, która za wygodna nie była, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi cokolwiek. Nie zamierzała spać. To, co się działo, było zdecydowanie niebezpieczne. Wiedziała, że coś się stanie, a jeżeli się stanie, może zrobić jej krzywdę. Gdyby ktoś na przykład zabił Daniela, to cokolwiek by się nie wydarzyło, one będą miały przechłapanie.

Chodzi oczywiście o prawdziwe zabójstwo, a nie o to sfingowane. Gośka wiedziała, że pewne zachowania się na ludziach mszczą. Nie należy fingować śmierci, bo coś albo ktoś może z tego skorzystać. Coś, czyli los, a bywa wredny, ktoś, czyli prawdziwy morderca, który skorzysta z okazji nie tylko do mordowania, ale i do zwaleni winy na niewinne osoby, takie jak one.

A przecież żadna nie chciałaby iść do więzienia. Ona tym bardziej. Bała się o wiele bardziej niż jej koleżanki. I nie chodziło o to, co planowali, ale o zwykłą złośliwość losu.

Dobra, Daniel zostawi krew i nóż, one to znajdują, on się ukryje. Gdzie? Jak? Nie wiadomo. A jeżeli tam gdzieś, gdzie będzie się ukrywał, coś mu się stanie? Nawet zwykły wypadek samochodowy?

Miała ochotę się przejść, ale samotny spacer z jednej strony ją kusił, z drugiej przerażał. Nie była pewna, co powinna zrobić.

Nie będąc mieszkanką Tęczowa, o upiorze nie wiedziała. Choć nie była to tajemnica, nikt się nim nie chwalił.

Gośka postanowiła się przejść, zobaczyć, poczuć, posłuchać. Czuła, że to obce miasteczko niewiele jej powie.

Miała nadzieję, że nie spotka babulinki ze zdechłym zwierzakiem pod pachą. Nienawidziła takich ludzi. Od dawna już nikt nie nazywał Gośki panienczką i choć to określenie nie wydawało się obraźliwe, to bardzo ją wkurzyło. Była świadomą, dorosłą kobietą! A nie jakąś podfruwajką... Owszem, była młoda, ale nie tak, żeby ją zaraz wyzywać od panienczek i jeszcze zakazywać jej palenia!

Roześmiała się na samą myśl o tym, co babulina by powiedziała, gdyby wiedziała, co paliły.

Trochę okolicy już widziały. Zaraz po wyjściu Daniela Grażyna oprowadziła je po swoich włościach. Zahaczyły o kawałek lasu, nieco wybebeszoną połąć łąki i kałużowe jeziorko. Po drugiej stronie drogi, bo ulicą trudno byłoby to nazwać, znajdowały się włości Daniela: tak samo nieduży, dość stary dom z ogródkiem (przy czym słowo „stary” należało tu rozumieć dosłownie, stary, czyli zużyty, nieco odrapany i dość marny, a nie zabytkowy czy elegancki).

Całe miasteczko wyglądało niezbyt urokliwie, ale ta jego część, tak zwana dzielnica willowa, była jakby dawną wsią wcieloną żywcem, a może nawet przemocą do miasta. Domy nie stały jedne obok drugich, były oddzielone połączeniami ogrodów, co mogło stanowić atrakcję dla dzieciaków, ale dzieci było tu mało, a tereny były dzikie, zarosnięte i co tu dużo mówić, niebezpieczne. Od czasu do czasu ktoś znajdował w okolicy jakiś niewypał albo zdezelowaną lodówkę. Mieszkańcy myli tutaj samochody, wyrzucali śmieci i zostawiali stare elektrograty, bo nie

chciało im się jechać z nimi na złom. No i paliwo kosztuje, a tu było blisko.

– I to ma być gdzieś tutaj? – zapytała Marta podczas tego pierwszego spaceru, niezbyt przekonana do miejsca przyszłych działań.

– Co ci tu przeszkadza?

– Wszystko! To jest śmietnisko. Jak to będzie wyglądać? Pisarz? Na śmietniku? – Zatoczyła ręką dookoła z wyrazem niedowierzania czy wręcz pogardy na twarzy.

A jednak Gośka miała odmienne zdanie.

– Tu jest realistycznie. Czworo pisarzy spotkało się i o coś poprztykało. Jeden nie przeżył. Krew wsiąkała w ziemię... Ha! Czy to nie brzmi dobrze? Przecież to idealny pomysł na kryminał! Każdy! Zwyczajny albo taki z elementami thrillera, bo zabiły go z powodu na przykład trudnego dzieciństwa, komediowy, bo zabiły z powodu ocen na Lubimy Czytać, romantyczny, bo go kochały... To jest cudne!

– Nie, no weź, oceny na Lubimy Czytać to raczej pod horror podchodzą, a nie kryminał komediowy – warknęła Marta.

– Nie jest dobrze i wcale nie jest realistycznie – mruknęła Gośka. – Pisarze to nie kibole, żeby się spotykać w krzakach i w tych krzakach mordować! Pisarze powinni się zabijać w bibliotekach, salach konferencyjnych, ewentualnie restauracjach, takich elegantszych. Wiesz dlaczego? Bo tam bywają! A po co pisarz miałby iść w krzaki?

– Żeby się wysrać? – odezwała się skulona postać srająca w krzakach.

Grażyna aż podskoczyła.

– Pani Matecka! Co pani tu robi?!

– Sram, a co? Nie wolno mi? – odfuknęła kobieta wcale nieprzejęta tym, że konwersacja odbywa się w dziwnych okolicznościach. Przyrody też.

– Dlaczego tutaj? – Grażyna się wściekła. Wiedziała z doświadczenia, że wszyscy mieszkańcy mają łazienki, sedesy i kanalizację.

– Bo taniej!

Teren dookoła, upstrzony białym kwieciami zużytych chusteczek higienicznych w roli papieru toaletowego, sugerował, że często odwiedzano go w tych, a nie innych celach.

Jednak sugestia, że pisarz Daniel Adach srał po krzakach, była nie do przyjęcia.

Owszem, pisarze też srają (a raczej chyba jednak wydalają, bo to elegantsze), ale nie w krzakach. Wszystkie trzy oczywiście wiedziały, że są sytuacje, które zmuszają ludzi do takich nietypowych zachowań, nawet jeżeli ci ludzie są pisarzami, choćby sraczką albo inna nagła potrzeba. Mimo to pisarze wiedzą, że w miastach istnieją ubikacje, a nawet toalety publiczne.

Odeszły dalej.

– Przecież nikt nie zostanie zabity! – warknęła Grażyna. – Nie rozumiesz, kretynko? Nikt! Zabity! Nikt! Nie zostanie!

To jakoś nie przemówiło do jej koleżanek.

– Nie lepiej miejsce zbrodni zainscenizować u niego w domu? W bibliotece, o ile jakąś ma?

– Nie wiem, czy ma, ale wtedy by mu dom zamknęli, a on pewnie będzie się ukrywał w pobliżu, może potrzebować czystych skarpetek czy coś. Tu mamy teren idealnie neutralny, ani jego, ani nasz, ani w sumie miasteczka... To znaczy miasteczka pewnie jakoś tak, ale wiadomo.

– Ale to jest śmietnisko! Sralnia! Czy wy wyobrażacie sobie te nagłówki? Autor na śmietniku? Poniżające.

Wszystkie przez chwilę przeglądały w głowach to, co danego dnia przeczytały w mediach, i było tam tyle makabry, zbrodni, tragedii, że pisarz, zabity czy nie, tego nie przebiję, no chyba że rzeczywiście na śmietniku.

– Za to promocja nie będzie już taka poniżająca. Bo żeby im się kalkulowała, pewnie napiszą, że świetny autor albo doskonały pisarz, a to już coś. I wcale niewykluczony jest przymiotnik „utalentowany”.

Gośka to przetrawiła i wzięła do siebie, a właściwie wzięła to sobie do serca. Nie ma autora, który nie kochałby tych określeń, nawet jeżeli się do tego nie przyznaje.

Teraz wpatrzona w okno delektowała się możliwościami.

Wymyśliła coś, co jakoś jej się zaczęło kalkulować. Jeżeli Daniel specjalnie je tu ściągnął, coś w tym musiało być. Nie należał do ludzi, którzy pomagali innym, a już na pewno nie za friko.

Do tego było to dość blisko. Gośka, która po czerwonym winie bardzo często nie mogła spać, doczekała do trzeciej i postanowiła jednak iść na ten spacer. Chciała zwizualizować sobie (przyszłe) miejsce znalezienia zwłok. Wiedzieć, gdzie się to odbędzie i jak to będzie wyglądało.

Las opadał, kałuża, to znaczy jezioro wielkości kałuży o pięknych tęczyowych smugach z resztek paliwa z mytych tam samochodów – też. Najlepsza wydawała się wybebeszona łąka. Była obrośnięta trawą i usłana papierzyškami.

Tylko tutaj to mogło się wydarzyć. Tylko gdzie? Pewnie w miejscu, dzięki któremu łąka zyskała nazwę wybebeszonej. Tak, była tam spora, dość płytka, obrośnięta trawą dziura. I ta dziura nadawała się idealnie na miejsce inscenizacji, szczególnie teraz, kiedy ten pieprzony łysy księżyc świecił i nie dawał ludziom spać.

Gośka o swoją bezsenność obwiniała wino, marychę i pełnię, ale w sumie albo była to kombinacja tych trzech czynników, albo podekscytowanie pomysłem, na który wpadła. Wiedziała tylko, że nie wolno jej go wyjawic nikomu zbyt szybko. Dlatego postanowiła wszystko dokładnie sobie obejrzeć, a potem niepostrzeżenie wrócić do domu Grażyny.

* * *

– Idziesz z nami! – zarządziła Gabi przy drzwiach, widząc, że Samuel w ogóle się nie zbiera do wyjścia.

Ten się tylko nastroszył.

- Czy ty w ogóle nie słuchasz, co się do ciebie mówi? Nie mogę być w takich miejscach! Tam nie ma książek! Nie dam rady się tam dostać. Jestem bytem literackim, tworem umysłu, a nie jakimś duchem czy coś. Czaisz?

- I jeszcze może chcesz powiedzieć, że jesteś wyjątkowy? Bo jakoś nikt inny się nikomu nie objawił.

- Oj tam, zaraz nie objawił. Objawiają się, ale nikt nie widzi. Zwaliała ci się kiedyś piramida książek? Zamknął się samoistnie jakiś tom? Zaginęła właśnie czytana powieść? - zapytał Samuel i nie czekając na odpowiedź Marcina, dodał: - A widzisz!

Nawet nie próbowali z nim na ten temat dyskutować.

- A gdybym wzięła książkę ze sobą? Tę twoją na przykład? - zasugerowała niepewnie.

- Może tak, może nie, ale lepiej nie brać kryminału na ewentualne miejsce zbrodni, i to kryminału zamordowanego autora! To mogłoby być podejrzanę, a już kto jak kto, ale wy podejrzeni być nie powinniście!

To miało cechy rozsądnego rozumowania, choć nieco trąciło literaturą. Co policjanta może obchodzić książka w plecaku przechodnia? Nawet taka? Marcin i Gabi przeczuwali jednak, że był to cwany wykręt.

Zostawili więc Samuela, byt literacki odrobinę objawiony i bardzo wkurzający, w bibliotece, gdzie w zasadzie było chyba jego miejsce, choć zastanawiali się, czym to się skończy.

- Daliśmy się wkrećić - stwierdził Marcin - na pewno daliśmy się wkrećić. Ktoś nam czegoś dolał, dodał, dosypał i coś zasugerował, a teraz lezie za nami i będzie się potem z nas śmiał.

- I żeby tylko! Na pewno filmuje, a potem filmiki wrzuci do internetu. Skompromituje nas jak nic - biadoliła Gabi.

Oboje niepewnie wyszli na zewnątrz i zaczęli przyglądać się wszystkiemu w zupełnie inny sposób niż dotychczas. Chcieli się przekonać, czy jest tak, jak dawniej. Problem w tym, że uważność nie należała do cech ich charakterów, zazwyczaj mijali znaki drogowe,

barierki, szyldy (te nowe i te stare) przelotem, nie zastanawiając się, co to jest. Teraz patrzyli na to samo w świetle wyłupiastego księżycy i niczego nie byli już pewni.

– Wiesz, bardzo bym chciała, żeby to był jakiś żart – powiedziała w końcu Gabi. – Jestem niezmiernie przywiązana do swojego zdrowia psychicznego. Tak czy tak, pójdziemy tam i zobaczymy. To rzeczywiście nie jest daleko. Ale żeby... Bo wiesz... Przecież tak naprawdę – nie była w stanie się wysłowić – on nas wkręcił. Wcale mu nie chodzi o ludzkie życie, tylko o seks!

– Ale wiesz, ja w sumie go rozumiem. O ile bierzemy go choć trochę na poważnie. To facet! Dla facetów seks jest ważny.

– Dla każdego jest ważny, ale to już jest debilizm. Jakieś opętane pożądaniem widmo wysyła nas w ciemną noc, a my jak te barany idziemy, gdzie nam każe. Oby nie na rzeź!

– Nie kusi cię przygoda? – zapytał Marcin, bo w jego męskim mózgu seks zawsze miał coś wspólnego z przygodą.

– Rzeź nazywasz przygodą?

– Nie rzeź, jaka rzeź? Przestań wymyślać. To po prostu spacer. Nocny, może nawet romantyczny, ale tylko spacer. Patrz, nawet deszcz nie pada.

No cóż, przygoda jej nie kusila, ale spacer z Marcinem aż za bardzo.

Ten popatrzył na Gabi z niejakim zdziwieniem.

– Ty chyba nie boisz się upiora? – zapytał, bo nagle przyszło mu do głowy, że dziewczyna reaguje trochę zbyt lekko na to, co ich spotkało.

– Nie, no co ty! Zdurniałeś? – powiedziała, krzyżując palce.

Do dobrego tonu należało pokazywanie, że upiór się nie liczy, że człowiek się go nie obawia, bo nie ma powodu, ale zdecydowanie każdy się trochę bał. Upiór był nieobliczalny, a plotki i pomówienia, które generował, niejednemu spaskudziły życie.

Marta postanowiła wyjść przez okno, nie chcąc budzić ani podejrzeń, ani Grażyny. Na szczęście jej pokój znajdował się na parterze. Nieco podpiła weszła na parapet. Zakręciło jej się w głowie, więc na nim usiadła, a nogi zwiesiła za okno i przez chwilę delektowała się tą w sumie zabawną sytuacją i swoim świetnym pomysłem. Stęknęła, przekręciła się odrobinę na bok, potem na brzuch, tak żeby się na nim położyć, złapała się mocno za drewniany parapet wewnętrzny. Parter nie był wysoki. Zaczęła powoli spuszczać się z okna. Śliski, drewniany, malowany farbą olejną na biało parapet był jej jedynym wsparciem.

Tyle że stare parapety w starych domach... tak, są niestety stare. A stare drewno pęka. Trochę wzdłuż, trochę wszerz, a najbardziej to po prostu odrywa się od ścian.

Chwilę potem parapet został Marcie w ręku. Z jej ust wyrwał się wrzask.

– O kurwa, o kurwa, o kurrrwa!!! – zawyła, czując, że chwilowo zaklinowany w oknie parapet długo nie wytrzyma.

Nie miała daleko, ledwie ze dwa metry, więc nie musiała się obawiać, a jednak... Parapet ześliznął się ze zgrzytem po szybie i pękł, a Marta wylądowała w trawniku. Właśnie w, nie na, bo coś się chyba zarwało i spora część jej nóg znalazła się w jakiejś dziurze. Marta liczyła, że nie jest to piwnica, bo gdyby tak, bardzo źle by to świadczyło o stanie domu. W tym momencie było to jednak nieco mniej ważne niż wrzask Grażyny.

Ta ostatnia nie musiała wysilać wyobraźni, żeby spodziewać się kataklizmu, ale liczyła, że może nie nastąpi on od razu.

– Coś ty narobiła, kretynko?!

Tętent jej stóp i cała Grażyna w piżamie zbiegająca ze schodów zapowiadały najgorsze. Co prawda Marta ze swojego miejsca w trawniku nie widziała koleżanki, ale mogła ją sobie wyobrazić, od czegoś była przecież pisarką. Inaczej niż Gośka, która z posterunku przy drzwiach do swojej sypialni, gdzie właśnie się udała, wróciwszy ze spaceru, zobaczyła różowy huragan na schodach.

– O szlag! – wrzasnęła właścicielka domostwa i zleciała z półpiętra pod same drzwi, po czym walnęła w nie plecami tak mocno, że poczuła, jakby sobie coś w środku odbiła.

Katastrofa nie oszczędziła też Gośki, która nieco chwiejnym krokiem ruszyła na pomoc. Potknęła się o głowę Grażyny i wyrznęła własną o drzwi wejściowe.

– Mówiłam – jęknęła, wstając.

– Co znów mówiłaś, debilko? – warknęła Grażyna.

Bardzo lubiła swoje przyjaciółki, ale miała nieco porywczy charakter.

– Że nie wolno kusić losu. Co tu robisz? Miałś spać.

– A ty co robisz? Ja przynajmniej jestem w piżamie, a ty?

Gośka rzeczywiście była całkiem ubrana, tylko bez butów, które po spacerze zostawiła w przedpokoju.

– Nie zdążyłam się rozebrać – skłamała.

– Ej, wy tam! – zawołała Marta prawie z wnętrzości trawnika. – Chodźcie tu szybciej, coś mnie wsysa! Wyciągnijcie mnie. Ratunku!

Grażyna i Gośka zebrały się z podłogi i wyszły na zewnątrz. Pod oknem – całkiem, całkiem pod oknem – tkwiła połowa Marty.

– Wbiła mi się kretynka do składziku na węgiel – stwierdziła Grażyna. – No szlag! Po coś w ogóle tutaj wlaźła i skąd tu ten parapet, w dodatku połamany? Wychodziłaś oknem? Ocipiałaś? Ja cię chyba zabiję!

W oddali przechodziła babulinka.

– Co ona tu robi? – jęknęła Gośka. – Jak w jej wieku można tak latać po nocach, czy nikt jej nie pilnuje? I co to za zwierzę, co się tak targa w tę i z powrotem?

– Matecka? Matecka to wariatka – odpowiedziała Grażyna. – Nikt jej nie pilnuje, ale i tak by nie upilnował. Mieszka trzy domy dalej. Chodzi srać na łąkę, bo jej się kibel zapchał.

– A to zwierzę?

- To nie jest zwierzę, to laptop w pokrowcu z wypchanego bobra.
- Co ona robi z laptopem?
- Nie wiem, chyba używa go, jak w reklamie pokazali.
- Czyli? - Marta jęknęła, kuląc się w sobie.
- Jako deski do krojenia warzyw. - Grażyna zachichotała złośliwie, choć krojenie warzyw w krzakach, i to na wypchanym bobrze, nie jawiło się jako zbyt higieniczne zajęcie.

W tym momencie Matecka przystanąła. Była jedną z tych kobiet, które miały prawo czepiać się wszystkich o wszystko, ale nikt nie miał prawa komentować jej samej ani jej zachowań.

- Po pierwsze, jesteście głupie, po drugie, co was to obchodzi, a po trzecie, chyba wam się we łbach poprzewracało, że tak zasadziłyście koleżankę w ziemi. Żeby wam przypadkiem nie zakwitła!

Roześmiała się paskudnie i poszła dalej.

W oczach Grażyny awansowała o jeden stopień w rankingu upiorowości.

* * *

- Czy to może być to? - zapytała Gabi, wyglądając z krzaków, w których się z Marcinem profilaktycznie ukryli, widząc zamieszanie pod domem Grażyny.

Schować się musieli, i to wcale nie dlatego, że nie chcieli, żeby kobiety ich zobaczyły. Było coś o wiele gorszego: domniemane morderstwo. Oczywiście nie uwierzyli Samuelowi na sto procent, jasne, że nie, ale w człowieku jest takie miejsce, w którym gnieździ się niby nieważne, małe „A jeżeli? ”. I to sprawia, że wielu ludzi wierzy w przeróżne dziwne rzeczy, w które wierzyć nie powinni.

Dodatkowo teraz, w dobie klikbajtyzacji dziennikarstwa, gdy nie ma już dnia bez nagłówków: *Kobieta zjadła dziecko*, *Szanowany obywatel okazał się orangutanem* albo *Kosmita mnie przeleciał*, coraz częściej wydawało się, że świat oszalał i dosłownie wszystko jest możliwe.

Na razie jednak młodzi bibliotekarze usiłovali jakoś ogarnąć rozumem sytuację, na jaką się natknęli pod domem pisarki.

– Nie, no weź, facet jest... to znaczy Daniel jest facetem, a tu masz dwie baby. To nie tu, a nawet jeśli tu, to nie to – ocenił Marcin.

– Ale coś wystaje z ziemi. Może go już zakopują? – Gabi była o wiele kreatywniejsza.

– Na żywca? To coś się rusza. I wrzeszczy. – Marcin pokręcił głową z niedowierzaniem.

– No wiesz, zanim kogoś się zabije, to on nawet powinien wrzeszczeć. Taka jest kolej rzeczy, dlatego zazwyczaj ludzie mordują się nocami, żeby ofiary były mniej słyszalne.

– No ale to wrzeszczy babskim piskiem! – zaproponował Marcin, również piskiem, tyle że nieco grubszym.

– Bo wiesz, jakby co, można by wezwać policję – zaproponowała niepewnie.

– Do czego?

– Do usiłowania zabójstwa? Przecież nie zakopują jej ot tak, chcą ją zabić! Chyba że widzisz jakiś inny powód?

Wrzaski trwały w najlepsze, a wśród nich najwięcej było wyzwisk, choć i wyrazy bólu się pojawiały.

Nagle Gabi skuliła się jeszcze bardziej.

– Uważaj – powiedziała do Marcina – łeb ci widać.

– Co ty tak się chowasz? Przecież możemy tam podejść. Nic się nie dzieje, przechodzimy tylko, mamy prawo. Spacer to spacer! Masz jakieś zaburzenia czy coś? Jesteś paranoiczką?

Gabi postanowiła, że się nie obrazi, choć była tego bliska.

– Nie, paranoiczką nie, ale za nic w świecie teraz stąd nie wyjdę. Widzisz tam? Ta baba, widzisz? Ta w szlafroku, pamiętasz ją?

– Upiór w moherze?

– A gdzie tam, o wiele gorzej! To moja niedoszła teściowa!

Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że to właśnie tu mieszka matka Piotrka, w domku po drugiej stronie uliczki. Nie tuż obok Grażyny, dwa domy dalej, ale blisko. Gabi zresztą nawet bywała u niedosłej teściowej, ale teraz jakoś nie skojarzyła, że znajduje się w okolicy. Teraz teściowa gnała z rozwianymi połami szlafroka w kierunku miejsca zamieszania.

Jakimś cudem ta dzielnica tak oddziaływała na mieszkanki, że wszystkie nocą latały po ulicy w różowych szlafrokach. Że latały w szlafrokach nocą – no cóż, to raczej normalne, że w różowych – też w sumie dałoby się zrozumieć, były kobietami, a kobiety lubią róż (wcale nie brąz jak w piosence i słońce nie ma o tym pojęcia, bo latają przy księżycu), najgorsze, że nie po domu, a raczej po własnych domach, a po ulicy. Może chodziło o pełnię?

* * *

Wyciąganie Marty z komórki nie było proste, bo obie jej koleżanki, a i ona sama też, były podpite i zmęczone.

– Kurwa, weź się jakoś nastap czy co – warknęła Grażyna do Goški.

– Ty nie mów do mnie jak do krowy! – Koleżanka się obraziła.

– Jesteś krową! Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Nastap się, podejźmy do niej od ściany, zaprzemy się, to się ją jakoś wydyga.

– „Wydyga”? Co to za słownictwo?!

– Oj, przestań. Po kurwę ona tam wlaźła?! Całą akcję szlag trafi, jak się nie postaramy. Przecież ta debilka wszystko spaskudzi...

I to była w jakimś sensie prawda.

– Przecież to chyba nie dzisiaj? – zapytała obrażonym tonem Marta.

Nikt właściwie nie wiedział, kiedy ich plan wejdzie w życie, to znaczy Daniel może tak, ale one nie. Grażyna do niego dzwoniła, więc miała odrobinę pojęcia, że może to nastąpić dzisiaj, ale tamte nie wiedziały nawet tyle. Były w tej akcji jedynie dodatkiem – niezbędnym, ale wciąż dodatkiem.

– Dzisiaj, nie dzisiaj, a co ja mam do tego? – obruszyła się Grażyna. – Przecież to nie może być wiadome na sto procent, bo byśmy wypadły mało wiarygodnie... – Zamilkła, po czym rozdarła się wcale nie miłym tonem: – Czego pani tu chce, do kurwy nędzy, pani Pazurek?! Najpierw Matecka lata jak potłuczona, teraz pani? I dlaczego pani tak wrzeszczy?

Grażyna wyraźnie umiała sobie radzić z sąsiadką, co z zaciekawieniem zauważyła Gabi. Aż nie mogła uwierzyć, jak szybko i pięknie pisarka usadziła tę potworną babę.

– Matecka? Jaka Matecka? – zapytała bardziej samą siebie niż Marcina, ale on popukał się w czoło.

– Babulina Matecka. Nie wiesz? Ona tu gdzieś mieszka.

Gabi oczywiście znała babulinę Matecką, tak jak znało ją całe miasto. Staruszka była folklorem, a folklor też czasami zagląda do biblioteki.

* * *

Upiór w moherze upodobał sobie moralność i ogłoszenia na słupach, gównoburze pod internetowymi postami rozpętywał pod nickiem „Upiór” i sprawiał wrażenie dobrze poinformowanego. Jego awatarem były zakrwawione zęby, ale to jeszcze nie było najgorsze. Problem polegał na tym, że upiór lubił się awanturować. Nie znosił, jak ktoś się do niego czepiał. Potrafił wtedy rzucić komentarzem, od którego cierpła skóra – i pozornie wcale nie był to tekst agresywny.

Kiedyś pod jednym z jego postów ktoś się o coś obruszył. Coś tam upiowski napisał, nic konkretnego, raczej takiego w stylu „nie zesraj się”, kończącego każdą dyskusję, w której nikt właściwie nie ma racji, ale każdy chce mieć choć ostatnie słowo. Upiór mu odpowiedział: *Pieniądże w wychodku, nawet nieczynnym, to tylko złamas trzyma i jakaś gamajda.*

Znaczenia chyba to nie miało żadnego, ale ludzie wiedzą swoje i wierzą, że upiór też swoje wie.

Wychodki wiele lat temu wyszły z użytkowania, ale stały. Prawie połowa mieszkańców Tęczowa gdzieś jakiś miała – a to za domem, a to w sadku, a to w krzakach. Był to był, jak to się mówi, jeść nie wołał, więc nikt za bardzo się tematem nie interesował.

Aż do tej pory.

Niby nic się nie stało, ale jednemu chłopu ciemną nocą ktoś wychodek rozebrał na części pierwsze i szambo wysadził. Kto? Może sam zainteresowany, może sąsiad, w każdym razie ktoś, kto upirowi uwierzył.

Czy ten ktoś coś znalazł? A jeżeli...?

Skąd upiór wiedział? I czy wiedział, czy tylko strzelił? Raczej jednak to pierwsze.

Upiór bardzo interesował się życiem mieszkańców miasteczka, tym intymnym chyba najbardziej.

Jak codziennie, tak tego dnia rano pojawiły się oczywiście „upiorne” wieści. Nazywano to kroniką występku. Tak więc wszyscy się dowiedzieli, że fryzjerka Baśka zdradza męża, co sprawiło, że do pracy przyszła z podbitym okiem, że dyrektor szkoły sypia z woźnym, przez co woźny przyszedł do szkoły z okiem podbitym przez żonę, oraz że Kowalska to suka i sypia z każdym, po czym siedemnaście Kowalskich stawiało się w pracy z podbitym okiem. Wszystkich było sześćdziesiąt sześć, ale niektóre miały po osiemdziesiąt, inne po dziesięć lat i im nikt niczego nie podbił. Pozostałym dwudziestu jeden jakimś cudem trafili się inteligentni mężowie.

Tak bardzo ludzie wierzyli upirowi. Nie żonom, matkom, mężom czy policji, ale upirowi. Bo był bezinteresowny, a przynajmniej tak się wszystkim wydawało.

Zresztą interesowność miewa różne oblicza. Jedni chcą pieniędzy, inni dojsć albo układów, jeszcze innym wystarczy atencja, a są i tacy, którym chodzi jedynie o zamęt. Nie na darmo zamęt się sieje... Nie na darmo mówi się, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

A co zbierze ktoś, kto sieje zamęt?

* * *

Burmistrz miał dość.

Ostatnio upiór trochę go wkurzył, bo opublikował zdjęcia z krzaków, w których ktoś tak jakby uprawiał seks. Tak jakby, bo mógłby tak samo uprawiać tam jogę albo nawet topinambur, trudno było powiedzieć, ale upiór napisał, że to burmistrz Tęczowa z kochanką. I w zasadzie niewykluczone, że miał rację, choć ani po tyłku nie można było rozpoznać, ani po twarzy nikogo się nie dało zidentyfikować.

Tyle że wszyscy uwierzyli upiorowi.

Ludzie coraz bardziej kochają fake newsy i coraz bardziej im wierzą, bo wydaje im się, że jak coś jest durne, to musi być prawdziwe. Przecież inaczej nikt by sobie głowy nie zawracał publikowaniem czegoś takiego. No i mainstream kłamie, więc inne źródła na pewno, ale to na pewno mówią prawdę.

No, tyle że burmistrz się wściekł. Tym bardziej że żona nie przebierała w słowach – padło coś na temat rozwodu i puszczenia męża z torbami.

Nie przebierała też w narzędziach kuchennych... choć w sumie przebierała, bo tasak jednak odłożyła, wygrzebała za to szuflady kilka chochli, wśród których na jej uwagę zasłużyła jedna, żeliwna.

No i to jeszcze bardziej skłoniło burmistrza do zemsty na upiorze. Wstawienie trzech przednich zębów sporo kosztuje.

* * *

– Nie, ja nie... Nic nie robię, spaceruję sobie – powiedziała kobieta, wyraźnie niegotowa na agresję. Była tym rodzajem człowieka, który lubi atakować, ale tylko wtedy, kiedy nie spodziewa się kontrataku.

– No to już, niech pani stąd idzie! – rozkazała Grażyna władczym tonem.

– Hałasujecie! – burknęła Pazurkowa.

– No i co z tego, a pani lata goła po ulicy!

Sąsiadka szybko poprawiła poły szlafroka, choć pod nimi wcale nie była naga.

– I krew ma pani... Na tym ło, ło. – Grażyna gestem wskazała przód jej szlafroka.

– A, to z nosa – odpowiedziała kobieta i bardzo szybko ruszyła w kierunku domu.

* * *

Nie mogąc, a właściwie nie chcąc w tej sytuacji wydostać się z krzaków, Marcin i Gabi siedzieli skuleni w bardzo niewygodnych pozycjach i czekali, aż wszystko się uspokoï.

* * *

Wyciąganie kobiety z trawnika zaowocowało jeszcze większą katastrofą, bo naruszony strop składziku, który był jakąś dawną lepianką, zapadł się jeszcze bardziej. W końcu dwie nieznanym, paskudnie upaprane, zdołały wydostać się z dziury na leżąco, a Grażyna (tę kojarzyli, bo miewała w bibliotece spotkania autorskie) wciąż na nie pokrzykiwała.

W pewnej chwili złapała się za kieszeń piżamy. Odeszła trochę dalej, wyciągnęła telefon i spojrzała na ekran.

– Szlag, no szlag! – powiedziała do siebie, po czym zawołała do koleżanek: – Umyjcie się, ja tylko tu wszystko ogarnę i też idę spać. Jakbym nie wróciła za pół godziny, to wiecie, co macie robić.

Ruszyła zdecydowanym krokiem na łąkę za domem.

Poczuły, że coś kręci.

– Suka! – warknęła jedna z upapranych. – Zostawiła nas. Idzie na miejsce zbrodni!

– Niedoczekanie! Chce nas załatwić. Idziemy za nią!

– W takim stanie?

Popatrzyły na siebie, wzruszyły ramionami i pobiegły tą samą drogą, którą odeszła Grażyna.

Marcin był cały zdrętwiały, ale do tej pory było to uczucie ściśle fizyczne – miał zdrętwiałe nogi, plecy i tyłek. Teraz zdrętwiał bardziej emocjonalnie.

– Ty też to słyszałaś?

Gabi, która jeszcze przeżywała ewentualne spotkanie z matką Piotrka, od dawna była zdrętwiała emocjonalnie, a nawet duchowo.

– Znaczy co?

– Jedna z nich powiedziała, że ta Grażyna „idzie na miejsce zbrodni”. Czyli jest jakieś miejsce zbrodni! Rozumiesz? – aż pisnął. – A więc jest i zbrodnia, a jeżeli zbrodnia, to i ofiara, Samuel miał rację! On wiedział! – wykrzyknął chyba nawet zadowolony.

– Grażyna jest pisarką, pewnie te dwie też, pisarze chodzą stadami. – Gabi wzruszyła ramionami. – To może być research czy coś? Idą sprawdzić, jak by to wyglądało, do książki. Oni tak robią, ci pisarze. Czytałam o tym.

O ile pomysł Gabi był rozsądny, o tyle nie wpisywał się w wyobrażenia Marcina. On pragnął, żeby Gabi nie miała racji. Pragnął całym sobą i wszystkimi swoimi zmysłami, które, zdrętwiałe czy nie, były zmysłami młodego, znużonego pracą w bibliotece młodego mężczyzny.

– Gabi, ona pisze romanse! Po co jej miejsce zbrodni do książki?

– Takie gadanie! Kryminały romantyczne pisze! Może to chodzi o miejsce pocałunku? Wiesz... – Sama nie była przekonana, lecz uwierzyć w tym momencie Marcinowi to uwierzyć i Samuelowi, a kto jest gotów na coś takiego?

Oczywiście są tysiące, a może nawet setki tysięcy ludzi, którzy wierzą w bzdury, przede wszystkim takie internetowe, które na podstawie układu brwi celebrytek wieszczą koniec świata, a zagładę widzą w dziurawych dżinsach zastępujących kobiece spódniczki. Gabi jednak nie należała do tej grupy. Nie uważała też, że każdy, kto kupuje folię aluminiową, jest foliarzem.

– Dobra, zawsze możemy tam pójść – zgodziła się niechętnie – albo raczej się przeczłogać. Przecież nie pójdziemy za nimi tak, o...

* * *

Grażyna dostała SMS-a od Daniela. Przechytrzył ją, nie była gotowa, ale postanowiła choć przechytrzyć tamte. Dlatego szybkim krokiem podążyła na miejsce, gdzie spodziewała się znaleźć krew i nóż.

Swojego niestety nie miała.

Początkowo planowała lepiej się przygotować, choćby ubrać ciepiej, wziąć jakieś narzędzie zbrodni i się odrobinę skaleczyć. Chciała na miejscu domniemanego morderstwa odegrać rolę kolejnej domniemanej ofiary. Ofiar nigdy dość, a makabra się klika.

W ogóle żyjemy w czasach makabry, żadne słodkie obrazki ludzi nie fascynują (no, chyba że na Facebooku, i to ludzi po siedemdziesiątce z okładem oraz z okładami na oczach).

Niestety głównie z tego wyszło przez te dwie kretynki.

Teraz Grażyna nie mogła już wrócić do domu, bo po tym, co wymyśliły, spodziewała się po nich najgorszego.

Szła po ciemku, bez latarki, nawet tej telefonicznej. Niby było jasno, bo księżyc świecił jak wielkie srebrne jajo na niebie, ale była tak zaaferowana, że nie patrzyła pod nogi.

– Suki, wredne, niewdzięczne suczyska! – mruknęła pod nosem, wywinęła orła, poleciała z półobrotem w górę, potem w dół, a następnie wrzasnęła: – O szlag!

Marcin i Gabi przekradali się skrajem łączki przez krzaki. Słyszeli wszystko, bo noc to taka specyficzna pora, kiedy głosy niosą się daleko i czasami naprawdę słychać aż za dużo.

Teraz ich uszu dobiegał wrzask, bo po wściekłym „szlag” Grażyna się nie zamknęła, tylko wrzeszczała, jakby ktoś jej coś urywał – ciągiem.

Dwie koleżanki pędziły w jej kierunku, też powrzaskując.

– Grażka? Co jest? – krzyczała jedna.

- Czego wrzeszczysz? Jeszcze nie ma ludzi! - wołała druga. - Siły zachowaj... Nie marnuj potencjału!

Dobiegły do niej, po czym obie wskoczyły do dołu, w którym leżała, i zaczęły się układać obok jako kolejne potencjalne ofiary. Gdyby tylko odrobinę pomyślały, powinny były z tego zrezygnować, bo zabójstwo pisarza to jedno, a krwawa hekatomba - drugie. Owszem, hekatomby medialnie są super, ale wtedy nikt się nie skupia na przynależności zawodowej zwłok, bo ważniejsza jest ich liczba. W tym momencie temat profesji zamordowanych nieco umyka, a tym samym i promocję diabli biorą.

- O nie! Tak to nie będzie! Chcesz nas, kurwa, załatwić? Niedoczekanie twoje, miało być razem! - zawołała Marta.

- Ja też będę ofiarą! Nie dam się oszukać! - wrzasnęła Gośka.

- Przestańcie! Nogie, kretynki, złamałam o tego debila! Ratunkuuuu!

- O jakiego debila?

- Kurwa, o jakiego? O jakiego? To patrz! Na chuja pana, nie widzisz?

W dole, pod nimi, a właściwie najbardziej pod Grażyną, ktoś leżał. I nie wyglądał na żywego. Zresztą wyglądał czy nie, on nawet nie zachowywał się tak, jakby żył. Mało który mężczyzna jest w stanie zachować pion czy nawet w skrajnej sytuacji poziom, kiedy przywała go trzy kobiety.

Gabi nie wytrzymała napięcia i wyskoczyła z krzaków.

- Trzeba je ratować! - krzyknęła, wywołując tym Marcina z kryjówek.

Pojawienie się tych dwojga było dla pisarek czymś zdecydowanie korzystnym, choć nieco przedwczesnym, bo nie zdążyły jeszcze uzgodnić zeznań.

- Pomocy - zaczęły jęczeć. - Tu są jakies... Tu jest jakiś... Tu ktoś jest! Możliwe, że nie żyje!

Ich próby wydostania się z zakrwawionej, acz niedużej dziury były żalosalne. Chyba po prostu za nic w świecie nie chciały z niej wyjść.

– Wzywam policję – oznajmił Marcin, bojąc się, że pomoc w takiej sytuacji może bardzo zaszkodzić, i to nie tylko tym kobietom, ale także jemu samemu.

– Dobra, niech pan wzywa – westchnęła Grażyna ugodowo. – Ja pierdziele, ale się urządziłam! Moja noga... Nie wiem, co tu się stało.

– Ale mówi pani, że tam ktoś jest? Pod wami? Nie trzeba go wyciągnąć?

Grażyna z koleżankami już zdołały się trochę ogarnąć i siedziały teraz w kucki dookoła człowieka leżącego na dnie, twarzą do dołu. Był utaplany we krwi, jak zresztą i cała reszta, ale się nie ruszał. Tak bardzo się nie ruszał, że to aż mroziło wszystkim krew w żyłach i na ubraniach.

Leżący chyba miał na głowie beret.

Moherowy. Też chyba.

– Wiecie, kto to jest? – zapytała niepewnie Gabi.

– Jasne. To upiór w moherze – odburknęła Grażyna.

– A tam, żaden upiór, przecież to Daniel. Adach. Ten pisarz! – stwierdziła Marta. – To wy tutaj w upiory wierzycie?

Grażyna poczuła, że z powodu tych dwóch kretynek świat stanął przed nią otworem. Tym otworem.

Może i ktoś by coś odpowiedział, gdyby nie syrena samochodu policyjnego, który zbliżał się do nich od strony miasteczka.

* * *

Adela Knot, posterunkowa w Tęczowie, przeglądała maile. Nie miała co robić, była noc, służba. Maile ją nudziły, ale i tak musiała je sprawdzić. Połowa była tak durna, że je kasowała, nawet nie pokazawszy ich szefowi.

Jeden ją jednak zainteresował.

Morderstwo ma zostać popełnione dzisiaj. W podstępny i makabryczny sposób zabity zostanie wielki pisarz mieszkający w tym mieście, wielki

i zdecydowanie niedoceniany. To Daniel Adach, autor genialny i ponadczasowy.

Z jednej strony wiadomość była niepokojąca, z drugiej jej forma wydała się policjantce nietypowa.

– Znasz jakiegoś Adacha? – zapytała przełożonego, podsuwając mu pod nos laptopa. – Bo chyba nie chodzi o tego naszego?

– Tego pisarza? Znam. To wariat. Nie ma co się nim przejmować. Sam to pewnie napisał, żeby zwrócić na siebie uwagę. On ciągle coś wymyśla. Ciągle czuje się niedowartościowany. Pamiętasz aferę z pobiciem w knajpie u Pietrzyka?

Pamiętała.

– No właśnie. To taki typ.

Afera knajpowa była z jednej strony śmieszna, z drugiej żalсна. Inna sprawa, że skończyła się kilkoma złamaniami i wybitymi zębami, ale to była dla pisarza kwestia poboczna.

Na spotkanie do biblioteki przyjechał inny, i to bardzo znany pisarz. Tak znany, że mu Adach do pięt nie dorastał. To znaczy teraz, bo kiedyś szli łeb w łeb, przynajmniej na portalu *Lubimy Czytać*, a potem tamten coś wykombinował i stał się tak wielki, że bez kija nie podchodzi.

Adach nie był w stanie tego znieść. Jak rasowy samiec nie mógł pozwolić na to, żeby ktoś podpisywał książki w „jego” bibliotece, w „jego” mieście i nie nazywał się Adach. Daniel poszedł więc do knajpy Pietrzyka i naopowiadał, że tamten w książkach propaguje zdrowe żywienie.

Prawdziwi mężczyźni bardzo źle znoszą zdrowe żywienie, a najgorzej – wizję braku schabowego z golonką.

Niby nic, ale w umysłach podpitych (anty) czytelników miało to znaczenie, zwłaszcza w obliczu wygłoszonej ostatnio w telewizji tezy, jakoby mąka ze świerszczy miała zastąpić tę zwyczajną, a ludzie – zostali zmuszeni do jedzenia robali.

Książka rywala Adacha była powieścią kryminalną, ale nikt nie zamierzał tego sprawdzać, za to każdy zamierzał mu przyłożyć. No

bo jak to? Promowanie zdrowej żywności w Tęczowie? To powinno być zakazane.

Tyle że tamten okazał się mistrzem karate i dał napastnikom porządnie w kość. Nieco poturbowani, pewni, że Adach celowo wystawił ich na wpierdol, wrócili do knajpy i wpieprzyli jemu.

Bo robale robalami, mąka ze świerszczy może nie jest w porządku, ale pisarz nie powinien znać karate. Pisarze w rozumieniu ogółu to wymoczki i tak ma pozostać.

* * *

Wycie syren, migotanie niebieskich świateł radiowozu, wrzaski – wszystko to sprawiło, że na ulicy zaczęli zbierać się ludzie. Nie było ich wielu, bo domów też było tu niewiele, ale kilka rozespanych osób zaczęło iść, potem biec, w końcu człapać za radiowozem. Najbardziej człapała babulina Matecka, na końcu i już za karetką, która też po chwili przyjechała, ale zaklinowała się na wjeździe na łąkę pomiędzy domami i ratownicy musieli dojść kawałek na piechotę.

– Co tu się stało? – Posterunkowa Adela Knot wysiadła z radiowozu i zobaczyła kłębowisko kobiecych, zakrwawionych, ale zdecydowanie żywych ciał w dziurze.

Co ciekawe, co najmniej dwie z kobiet – poza Grażyną, możliwe, że połamana – mogły spokojnie dziurę opuścić, nie była głęboka, stroma ani ciasna, ale żadna nie chciała tego zrobić.

– Kto nas wzywał? – zapytała policjantka raczej pro forma. – Była mowa o zwłokach, a ja tu widzę tylko jakieś rozwrzeszczane baby. Co jest grane?!

Chyba jedynie policjanci nie cieszą się, widząc żywych ludzi zamiast zwłok.

Marcin zgłosił się niezbyt chętnie, ale co miał robić? Musiał się ujawnić, bo i tak dzwoniąc, podał swoje imię i nazwisko.

– To ja dzwoniłem. Szliśmy na spacer z koleżanką, to znaczy wracaliśmy z biblioteki i tak jakoś wyszło, że usłyszeliśmy... No i wie

pani, to jest tak, że człowiek chciałby pomóc, ale ja się bałem zaszkodzić, chyba dobrze zrobiłem, nie?

Słowotok nigdy nie jest dobrym pomysłem.

– Szliście? Z biblioteki? – powtórzyła policjantka. Była jedną z tych wredniejszych, dlatego ten zawód bardzo do niej pasował i jej też pasował.

– Właśnie.

– Czy o tej porze biblioteka nie powinna być zamknięta? – Skrzywiła się nieprzyjemnie, bo była już prawie czwarta. Rano.

– I jest. Wracaliśmy z niej, bo tam pracujemy – odpowiedziała Gabi.

– No, nie kłamcie, że pracujecie po nocach. Co tam możecie mieć do roboty? Czytacie książki? I jeszcze wam za to płacą? Bez sensu. – Jak większość czytelników nie miała pojęcia, jak naprawdę wygląda praca bibliotekarza. – I co? Tak po prostu doszliście tutaj? Wracając z pracy? Nocą? Niech pan nie pieprzy głupot, bo mam zajady, śmiać się nie mogę! Dowód poproszę – warknęła w końcu i wyciągnęła rękę do Marcina. – Pani też – dodała, przyglądając się Gabi z zainteresowaniem.

– Nie, to znaczy tak, to znaczy, hmmm, no, tak wyszło – jękał się Marcin. Logiczna odpowiedź na ten potok pytań była niemożliwa.

Posterunkowa Adela Knot miała chyba ochotę trochę się nad nim jeszcze poznęcać, ale Grażyna nie dała sobie odebrać palmy pierwszeństwa w ważności.

– Ktoś mnie zaatakował! – przerwała im z wrzaskiem. – Zaatakował! Ktoś! Czy wy sobie zdajecie sprawę? Ja tu umieram, a pani sobie konwersacje prowadzi?

Policjantka nie lubiła, jak się jej przerywa, ale ofiary mają swoje prawa.

– Jakie znowu kurwensacje? Co pani? Proszę liczyć się ze słowami! Czy to oni? – Wskazała Marcina i Gabi, którzy stali wyraźnie z dala od innych.

– A skąd ja mam wiedzieć? Pani ich zapyta! – odwarknęła Grażyna.

– Czy to wy zaatakowaliście tę panią? – Adela skrzywiła się, wiedząc, że nie uzyska odpowiedzi, a jeżeli nawet, to nie będzie to odpowiedź twierdząca. Kto by się przyznał? Bez sensu, nikt nigdy się nie przyznaje.

– A gdzie tam, nikogo nie atakowaliśmy. Byliśmy tam, o – Marcin machnął ręką w stronę krzaków za sobą – niedaleko i zobaczyliśmy coś... to znaczy usłyszeliśmy.

Policjantka uciszyła go gestem.

– Proszę, niech pani mówi dokładnie, jak to było – zwróciła się do Grażyny, która skrzętnie wykorzystała swoją szansę.

– Szłam, dostałam w głowę i wpadłam. Bo widzi pani, ja jestem pisarką. Szłam sobie, poszukiwałam inspiracji... I o...

– I ooo? Co i o? – dopytywała znużonym głosem posterunkowa.

– No ktoś tam leży. – Grażyna skinęła głową trochę w dół i w bok.

– Ten ktoś panią zaatakował?

– Nie, on już tam leżał. A mnie ktoś chciał zabić, tak jak jego. Naprawdę, to straszne, ale nasz świat jest...

Jej tekst nie przebił się jednak do świadomości policjantki.

– Czyli tam... Zaraz.

Adela poszła do wozu, wzięła reflektor oraz aparat, żeby porobić zdjęcia.

– Wiecie, kto to jest?

– No chyba! Przecież to Daniel! – burknęła Gośka.

Marta pokiwała głową.

Strumień światła z reflektora skierowany w dziurę rzeczywiście wyłuskał z ciemności jakąś postać.

– Co on ma na głowie?

– Beret?

– Dobra. Proszę tu poczekać. Panią – policjantka skinęła na Grażynę – zajmą się ratownicy, a ja zadzwonię po techników. Nie za bardzo chcę go dotykać, ale nie wygląda na żywego. Czy może ktoś

coś widział? Któraś z pań? – zwróciła się do wyłażących z dziury pisarek, choć o tym, że są pisarkami, nie miała zielonego pojęcia. – Albo wy?

– Ja widziałam! Ja widziałam! – wrzasnęła skrzekliwie tuż za nimi, wyłoniwszy się z tłumu, Genowefa Pazurek.

– A pani co? Przecież pani tu nie było. Sama widziałam, dopiero pani przyszła.

– Byłam.

– Jak to „byłam”? – zdziwiła się Adela.

– No byłam wcześniej i widziałam, jak ona, o, ta dziewczucha – tu Pazurkowa wskazała Gabi – jak ona go łomem wali i zabija, i ucieklam. I to było straszne, a taką minę miała, jakby chciała krew z niego wyssać, tak o, pyskiem, jak upiór jakiś!

Gabi prawie zemdląła, bo nie spodziewała się tego oskarżenia. Oczywiście wiedziała, że jej niedoszła teściowa jest wredną babą, ale żeby aż tak zmyślać?

– Kurwa – jęknęła do Marcina – kłamie jak z nut. I to wszystko, żeby się zemścić? Pojebane babsko!

– Tak? – Posterunkowa Pazurkową kojarzyła, bo istniało duże prawdopodobieństwo, że to właśnie ona była upiorem w moherze, nawet robiono o to zakłady i plasowała się na samej górze notowań. Jedyne, co nie pasowało, to fakt, że Pazurkowa kochała rozgłos, a upiór go unikał. – A co pani tu robiła?

– No nic... Ja tu mieszkam.

– Na ulicy? To znaczy w krzakach? Na łące? – Policjantka była złośliwa i nawet nie próbowała tego ukrywać.

– No co pani?! Spacerowałam, nie wolno?

– Jakoś szybko pani spacerowała, biegiem chyba, i tak jakoś na wpół goła, a, no i była cała pani umazana krwią – wtrąciła Grażyna, która Pazurkową znała, jak to się mówi, aż za dobrze.

Nie dało się mieszkać w takiej odległości od Pazurkowej i nie mieć z nią do czynienia. To nie znaczy, że mieszkały blisko, to znaczy,

że Pazurkowa czepiała się wszystkiego.

– Bo mi krew z nosa poleciała ze strachu! No toż przecież! Ona była narzeczoną Piotrka, przecież jego też by zabiła! Mojego synusia... Może nawet to jego chciała zamordować, a temu tam się dostało przypadkiem. Łomem w łeb! Łomem w łeb, jakie to potworne! Ludzie, czy wy nie widzicie, że ten świat jest coraz gorszy?

W tym momencie podjechał drugi radiowóz, samochód z technikami, a nawet jakiś dodatkowy lekarz i ktoś z prokuratury.

Wtedy dopiero wszyscy podeszli do dołu i zajrzeli.

Posterunkowa nieco się może i pospieszyła, bo najpierw powinna była ustalić, czy ten osobnik na pewno nie żyje, ale bała się, że w ciemnościach zaneczyści miejsce zbrodni. Nie tak jak każdy myśli, na widok zwłok wcale nie robiło jej się słabo ani nie dostawała mdłości. Po prostu miała świadomość, że ślady butów czy inne rzeczy, które można niechcący w ciemności przenieść, zostawić albo na przykład usunąć, to naprawdę poważna sprawa.

– Czyli, jak rozumiem, ktoś panią zaatakował. Czy widziała pani...

– Nikt jej nie atakował – prychnęła Gabi w złości – widziałam to z daleka! Nikogo tu nie było, sama wpadła, musiała się o coś potknąć.

– Co ty wiesz? Co ty wiesz, kretynko?! – warknęła Grażyna. – Zaatakowano mnie, miałam zostać zamordowana!

– Tak! – wrzasnęła Gośka. – Wszystkie trzy miałyśmy zostać zamordowane. Tak, właśnie we trzy, bo my jesteśmy pisarkami...

– Skąd panie wysnuwają te przypuszczenia? – zapytała posterunkowa dla porządku i z nieco sceptyczną miną.

– No, przecież chyba wiemy, czy jesteśmy pisarkami, czy nie? – Gośka aż się zakrztusiła ze złości, jakby policjantka podała w wątpliwość coś bardzo, bardzo istotnego.

To zaszokowało Adelę Knot. Nie pisarstwo, którego się chyba spodziewała, lecz to ewentualne morderstwo, bo dotąd była przekonana, że mieszka w Tęczowie, a nie w Nowym Jorku, a tu takich

szalonych zabójców jakoś dotąd nie było. Trzy ofiary? Naraz? Albo cztery? Nie do pomyslenia.

– Myślałam raczej o tym morderstwie. Skąd panie...

Nagle zamilkły, bo tego nie przemyślały. Za szybko zabrały się do dzieła. O Danielu opowiedzieć nie mogły. O swoich planach – tym bardziej nie.

– No, bo...

– Tak nam się wydaje. Bo ludzie nienawidzą... No i... No po prostu my to wiemy! – oznajmiła Marta, która dotąd najmniej się wypowiadała.

– Ktoś paniom groził?

– A co to ma za znaczenie?! Zajmijcie się swoją robotą, a nie będziecie porządnych ludzi molestować! – warknęła Grażyna, bo odpowiedzieć „tak” nie mogła, a odpowiedź „nie” bardzo jej nie pasowała. Nie chciała kłamać, więc postanowiła wrzeszczeć. To często załatwia sprawę.

Niestety źle dobrała słowa.

– Molestować? Molestować? To pani jest zboczona! – wrzasnęła Pazurkowa. – O, co tam ma! Przecież to nie długopis! – Wskazała ręką przepastną kieszeń piżamy sąsiadki, z której wystawało coś, co trudno by uznać nawet za latarkę, o długopisie nie mówiąc.

Wielu ludzi, słysząc o molestowaniu, natychmiast wyobraża sobie, że ma ono podłoże seksualne, w każdym razie Pazurkowa tak miała, dlatego sępiim wzrokiem wyczaiła w kieszeni piżamy, obok telefonu coś, co bardzo podnieciło jej wyobraźnię.

– No i co z tego? Wibrator, też mi problem. Co, pani wibratora nigdy nie używała? Pewnie dlatego jest pani taką wredną suką – odgryzła się Grażyna.

– Oczywiście, że nie używałam! – pisnęła Pazurkowa. – Przecież ja jestem normalna, a nie zboczona! Ja książek nie piszę!

Pisanie książek w oczach tych, którzy tego nie robią, ma wiele obliczy i panuje na jego temat bardzo dużo stereotypów. Jednym z nich

jest przekonanie, że pisarze są nienormalni, bo komu by się chciało siedzieć miesiącami przed komputerem i wymyślać coś, co ktoś inny zaraz opluje albo zwyzywa w internecie.

Według innego stereotypu jeżeli pisarz w swojej książce pisze o mordercy, to tym mordercą na pewno jest, a jeżeli nie jest, to choć pragnie nim zostać, ale się boi przyznać.

Najgorzej mają jednak kobiety pisarki, szczególnie te piszące o seksie. Tu istnieje cały wachlarz stereotypów chętnie używanych i powielanych. Od chorobliwej chuci i nimfomanii, przez niedojebanie, po męża impotentą, jeżeli w ogóle jakiś istnieje.

Policjantka ścisnęła w rękę dowody osobiste bibliotekarzy, tak nimi wymachując przy pokazywaniu czegoś technikom, że jeszcze chwila, a poleciałyby w siną dal, umazały się krwią, zaginęły albo cokolwiek.

– Odda nam pani dokumenty czy jeszcze pani potrzebne? – Marcin złapał ją za rękaw.

– Zaraz, zaraz. – Strząsnęła jego rękę.

Nie mogła przecież oddać zdobyczy aż tak łatwo, musiała nad nią odprawić policyjne rytuały, żeby zastraszyć przeciwnika.

– No tak, co my tu mamy... No, Marcin, no tak, no... tutejszy... A pani... Tak. – Zamilkła, po chwili spojrzała w dół, w górę, potem aż jęknęła. – Gabryśka? To ty?

– To my się znamy? – Gabi otworzyła szeroko oczy z zaskoczenia.

Wiadomo, mundur zmienia, ale w ogóle jakoś tej kobiety nie kojarzyła i nikomu, ale to absolutnie nikomu nie pozwalała nazywać się Gabryśką.

– No a jak? Nie pamiętasz? Szkoła społeczno-prywatna na Zarzeczcu?

Gabi rzeczywiście chodziła do tej szkoły i pamiętała ją bardzo, bardzo dobrze, to znaczy bardzo źle.

W tamtych czasach panował boom na szkoły prywatne. Wszyscy rodzice, którzy chcieli swoim dzieciom okazać zainteresowanie, zapisywali je za ciężkie pieniądze do modnych szkół tak zwanych

społecznych. Placówka, do której uczęszczała Gabi, była mała, zarządców miała wielu, chętnych do umieszczenia tam swoich pociech też, tak więc klasy liczyły po sześćdziesięcioro dzieciaków, nauczyciele – dopóki nie zaostrozono przepisów – byli z łapanki, a woźny podobno mordował koty, co bardzo źle się skończyło... dla woźnego. Ktoś go wsadził do pieca w kotłowni. Kiedy go tam wkładano, jeszcze żył. Kiedy wyjmowano – już nie.

I Gabi miała tam koleżankę.

– Adelka? – Nagle przypomniała sobie małe, rude, chude, pryszczate i pyskate dziecko, które siedziało z nią w ławce.

– Ano, Adelka. Teraz Knot.

– Za mąż wyszłaś?

– No, tak w sumie... Wyszłam, wróciłam...

– Czy pani przestanie wreszcie zajmować się pierdołami?! – warknęła Grażyna. – Ja tu cierpię!

Trzeba powiedzieć, że cierpieli wszyscy.

Technicy, bo bardzo starannie oddzielając wszystko od wszystkiego, już kolejną godzinę babrali się w dole. Gapie, bo zaczęli się nudzić. Pisarki, bo nic nie działało się tak, jak zaplanowały.

Słońce weszło i wreszcie dawało nieco światła. Wszyscy dookoła czekali tylko na jedno: chcieli zobaczyć zwłoki.

– Proszę państwa, proszę się rozejść! – nawoływała co jakiś czas policjantka, a jej przełożony aspirant Mroczek wtórował jej z zapalem.

Tyle że ludzie mieli to całkowicie gdzieś. Nikt nie zamierzał przegapić trupa.

Dodatkowo pisarki robiły mnóstwo zamieszania.

– Czy ten Daniel wam groził?

– Nie, a dlaczego?

– Wysnuwam naprędce pochopne wnioski – warknęła posterunkowa Knot. – Bo mogło być tak: on wam groził, wy się broniliście, doszło

do bójk? Nie byłoby fajnie? Nieumyślne spowodowanie śmierci?
Obrona własna? Afekt i te rzeczy?

Trzy zakrwawione kobiety zdębiały.

– Ale... że my? – wydukała Goska. – Nieumyślne? To niemożliwe...

Policjantka natychmiast złapała się tej myśli, nie dając pisarce dokończyć.

– To może być z premedytacją, jak tam sobie chcecie. Ja jestem za, i to bardzo!

– Ale to nie my! – jęknęła Marta.

Grażyna chwilowo milczała. Przeżuwała w myślach sytuację, która nie wyglądała różowo.

Były w miejscu znalezienia zwłok, a może i na miejscu zbrodni, utyłane we krwi. Podrapane i potłuczone z powodu wypadku ze składzikiem. W porze, o której nie tylko ich, ale i nikogo innego nie powinno tu być. To nie wróżyło dobrze.

– Dobra, skończyliśmy – zawołał któryś z techników i zaczęli wreszcie zajmować się ciałem.

Odwrócili je. Co prawda nikt z postronnych nie miał dojścia do miejsca, gdzie się znajdowały, bo teren został ogrodzony taśmą policyjną i funkcjonariusze robili wszystko, żeby nikogo nie dopuścić, ale policjantów było dwoje, a ludzi tłum. Poza tym znajdowali się tam jeszcze sanitariusze, lekarz, który popalał z przedstawicielem prokuratora w krzakach za dziurą, kilkoro techników i oczywiście podejrzane, toteż w całym zamieszaniu paru osobom udało się dojrzeć twarz zamordowanego.

Ci, którym się to udało, pobiegli natychmiast w krzaki, bo widok był tak paskudny, że nie byli w stanie wytrzymać.

Denat dosłownie nie miał twarzy.

Ktoś go tak zmasakrował, że nikt nie byłby w stanie go rozpoznać.

– To Adach? – zapytała policjantka swojego kolegi.

– A ja wiem? Może i on, nie sposób stwierdzić.

– Dokumenty?

– Nie podniecaj się. Jeżeli to on, to facet mieszka tuż obok, jak sądzisz, wychodzi w pole z dowodem? Ma przy sobie wizytówkę na nazwisko Filip Kopydło, prywatny detektyw.

– O, to może denat jest tym detektywem?

– Wizytówka nie musi być jego, mógł ją dostać. Nie wiem, na wizytówkach nie ma zdjęć, a gdyby nawet, to i tak nic by to nie dało.

Kiedy wynoszono zwłoki, ludzie niechętnie zaczęli się rozchodzić. Gośka i Marta pojechały do szpitala z Grażyną, bo jednak coś z tą jej nogą było nie tak, a zaraz potem na posterunek – policja tak łatwo nie odpuszcza ewentualnym mordercom. Ewentualny morderca jest lepszy niż żaden, bo owszem, może nie być w końcu tym ostatecznym, ale przez jakiś czas da się go podsuwać przełożonym, kiedy pytają: „Jak tam te zwłoki z ujebanym ryjem?”.

I „ujebany” w tym wypadku nie znaczy „brudny”.

Owszem, wszyscy się na takie wyrażenia denerwują, bo szacunek i te sprawy, ale to właśnie tak jest, szacunek i tego typu drobnostki tak naprawdę są zastrzeżone tylko dla tych, co na zewnątrz. W środku język może nieco szorstki, ale za to praca wre.

– O ja pierdole – jęknęła Adela, kiedy wraz z Gabi i Marcinem wylądowali pod domem tego ostatniego już rano.

Policjantka skończyła służbę, a bibliotekarze wyprosilili u dyrektorki zastępstwo ze względu na uraz psychiczny. Znaleźli się pod domem Marcina z wielu względów – do najistotniejszych należał fakt, że nie było jeszcze szóstej, sklepy pozamykane, a on miał w domu alkohol. On jeden.

– Co ty nie powiesz? – mruknął Marcin, ale przerwała mu Gabi:

– Przecież to miał być Adach, ten pisarz, a teraz nie wiadomo, kto to jest!

– Jak to miał być? – zdziwiła się Adela, choć i ona to tak postrzegała.

– No, każdy mówił, że to on – wtrącił szybko Marcin. – Nawet te wariatki...

– To nadal może być on – westchnęła Gabi.

– Nie może. – Marcin też westchnął, wszyscy wzdychali, zmęczenie jakoś ich do tego skłaniało. – Nie może, to nie on!

– Ale pewności nie masz.

Policjantka całkiem dobrze się z nimi czuła, choć Marcina nie znała, a Gabi była szkolną koleżanką sprzed lat, z czasów bardzo uczniowskich. Wszyscy troje jakoś do siebie pasowali.

Są takie osoby, które zna się od wieków, choć te wieki trwają zaledwie kilka minut czy godzin. Kiedyś nazywano to pokrewieństwem dusz, ale chodzi raczej o spojrzenie na świat. Płaskoziemca (a może płaskoziemiec) natychmiast poczuje sympatię do kogoś wyznającego podobne teorie, a foliarz do foliarza. Świr do świra, hydraulik do hydraulika... Tylko z pisarzami to nie działa, bo są straszliwie o siebie zazdrośni.

U nich to nie było ani jedno, ani drugie, tylko coś o wiele bardziej podskórnego. No i Adela, mimo że była policjantką, czytała książki. Zadawała kłam stereotypowi, według którego policjant ma obowiązek być idiotą. Jej szefowie nie byli z tego zadowoleni, ale mimo wszystko się przy tym upierała. Choć miła nie była, co to, to nie. Ludzie inteligentni rzadko są mili, bo wiedzą, że idioci grzeczność biorą za słabość, no a policjant (a już zwłaszcza policjantka) być słaby nie ma prawa.

– Mam.

– Co masz?

– Rację – odburknął Marcin.

– To powiedz, skąd wiesz. Dawaj!

– Sylwetka? Wiek? Tamten wyglądał na starszego.

– No ale to nie dowody! – Adela się zezłościła, ale Marcin wcale się tym nie przejął.

- Wiesz, ja mam w dupie dowody, cała ta wasza pieprzona biurokracja mi zwisa, po prostu wiem, że to nie jest on!

* * *

Samuel Kaszak zdecydowanie był dobrym bohaterem literackim. Taki bohater wcale nie jest dobry dlatego, że ma dobre serce czy jest ideałem – taki byłby nudny, wręcz dziwacznie nierealistyczny. Samuel był dobry, bo nie był ideałem. Miał sporo wad. Zresztą gdyby go obejrzeć dokładnie pod słońce, pewnie okazałyby się, że ma same wady, ale to właśnie czyniło go wyrazistą i zapadającą w pamięć postacią.

Był zapatrzony w siebie, marudny i skupiony na własnych potrzebach. To, że żył w świecie literackim, a nie rzeczywistym, wcale nie zmieniało faktu, że był upierdliwy i dla swojej wygody chętnie uprzykrzał życie innym, nawet swoim czytelnikom.

Miał też trochę wolności osobistej, ale tylko takiej, na jaką pozwolił mu autor. Najchętniej jednak wyrwałby się spod autorskiej kontroli, bo niechętnie poddawał się fabularnym pomysłom, które mu nie pasowały.

* * *

- O ja pierdolę – powiedziała Grażyna, jakby nic innego nie przychodziło jej do głowy, bo powtarzała to już po raz kolejny. – Ten chuj nas w to wpakował! Wrobił nas!

- Ale w co?

Kobiety zdążyły już zaliczyć szpital, gdzie okazało się, że Grażyna przeżyje, a nawet nie straci nogi, najwyżej będzie kulała przez dzień czy dwa, a w ogóle to jest panikarą i hipochondryczką.

- Zabił jakiegoś debila, a nam dał cynk, żebyśmy tam poszły, i teraz jesteśmy podejrzane o zabójstwo! – zawołała. – Masakra, normalnie masakra!

– No przecież to właśnie tak miało wyglądać! – oburzyła się Gośka, która jakoś się w tym wszystkim nie mogła połapać. Według niej wszystko wyszło mniej więcej tak, jak planowali.

– Wcale nie!

– Wcale tak! Miałyśmy być podejrzane o zabójstwo – zauważyła – i jesteśmy! Czego dupę strzepisz? Jest tak, jak miało być!

Grażyna pokręciła głową ze zniechęceniem.

– Miałyśmy być podejrzane o domniemane zabójstwo, a nie takie ze zwłokami. Poza tym ten facet jest nie taki... Nie jest pisarzem! Przecież całą promocję chuj strzeli! Nie rozumiecie? Pisarki zabiły pisarza – promocja jest, pisarki zabiły... kogoś tam, nie wiem, detektywa – to nie gwarantuje promocji. Zamiast jako pisarki jesteśmy traktowane jak zwykli ludzie! Nie rozumiesz?

Była to niewątpliwie prawda. Chyba tylko Grażyna zdawała sobie sprawę, że to wcale nie jest takie proste i że promocja lub jej brak w tej chwili jest, gdy znaleziono zwłoki, a nawet zdecydowanie powinna być małym pryszczem i nie zaprzętać niczyjej uwagi.

Tak czy tak, zostały wplątane w zabójstwo.

Było jeszcze coś, a właściwie było dużo innych cosiów. Należał do nich na przykład fakt, że ona wiedziała, kim jest ten facet, a nawet ostatnio go widziała w okolicy. Rozpoznała go po ciuchach, po twarzy nie dałaby rady. Nie mogła tego jednak nikomu powiedzieć.

Marta i Gośka raczej nie miały o niczym pojęcia, ale z nimi był inny problem. W trakcie tych swoich pieprzonych wykopków tak się podrapały, że uznanie ich za morderczynie wcale nie było takie nieprawdopodobne, na zwłokach policja na pewno znajdzie ślady ich krwi, no a cóż, o układzie z Adachem nikomu powiedzieć nie mogły.

To znaczy mogły i nawet powinny, ale nikt by im nie uwierzył. Może jakiś pisarz, ale przyznać się pisarzowi do takiego naginania rzeczywistości dla promocji? Wstyd. Pisarzowi się mówi, że książka jest tak dobra, że sprzedaje się mimo braku promocji, a nie takie coś. Ma zazdrościć i już.

Chyba że...

No, bo jeżeli by jakoś tę sprawę przedstawić i sprawić, że ktoś weźmie ją pod uwagę, mogłoby to być dla nich korzystne, natomiast zdecydowanie niekorzystne dla Daniela Adacha, który na tysiąc procent był mordercą.

No, ale one mordercy chronić nie powinny, tyle że ich wiarygodność...

Grażyna nie wierzyła w cuda. Wszystko było ukartowane, a Daniel je bezczelnie wykorzystał. Wyglądało to podejrzanie. Detektyw kręcił się koło Adacha, ten zorganizował tę niby mistyfikację z udziałem koleżanek. Potem okazało się, że zamiast tego, co wspólnie planowali, odnaleziono zwłoki tego detektywa. Kto go zabił? To było tak oczywiste, że aż niemożliwe do przeoczenia. Gdyby nie one, Adach już by siedział, ale tak pięknie to załatwił, że nie miały najmniejszych szans na obronę.

– Myślicie, że to Daniel? – zapytała niepewnie Marta.

– Nie, to nie Daniel, przecież było widać, że to nie on – odparła Gośka wściekła, że znów wracają do tego samego, czyli tożsamości ofiary, jeszcze nieznaney i może dlatego ciekawej.

– Nie mówię o zwłokach, ale o tym, kto zamordował!

– Tak – przytaknęła Grażyna.

– Tak – westchnęła Gośka.

– Czyli mamy przejebane – stwierdziła Marta. – Jeżeli to on, to ma takie alibi, że zgnijemy w pierdlu.

I miała rację.

Dotarło to do nich z ogromną siłą w tym właśnie momencie i zdążyły sobie sprawę, że coś muszą zrobić. Komuś trzeba powiedzieć o całym układzie, ale komu? Zostaną wyśmiane. Policja z zasady nie wierzy w bajki, a opowieść o trzech inteligentnych (choć co do dwóch z tych trzech Grażyna pewnie by się nie zgodziła) i rozsądnych kobietach powyżej lat pięciu, które zgodziły się udawać morderczynie, a potem dobrowolnie wytarzały się w zwłokach i teraz twierdzą, że to miała być

akcja promocyjna, była świetną bajką dla spragnionych sensacji internautów, ale nie dla śledczych.

– Cholera, że też ta gówniara się wtrąciła! Gdyby nie ona, mogłabym podtrzymywać, że zostałam zaatakowana... – westchnęła Grażyna. – Pieprzona idiotka! – dodała już bez westchnienia.

– Toby było źle, bo wyszłoby, że on cię zaatakował, a ty go zmasakrowałaś... Ale... – Gośka nagle urwała. Zaczęła układać sobie w głowie pewne wydarzenia, co zabrało jej chwilę czasu.

– No co dukasz? – Grażyna szybko wróciła do formy. – Co dukasz?

– No... bo ona mogła widzieć, że go nie zabiłaś. Może zaświadczyć.

Ta myśl wydała się pocieszająca, bo skoro młoda widziała, że Grażyna się potknęła, to widziała też, że pisarka nikogo nie mordowała, i mogła również widzieć, że pozostałe przyszły za, a nie przed Grażyną. W ten sposób wszystkie trzy miałyby alibi, może niezbyt mocne, ale zawsze alibi, a teraz tego właśnie im najbardziej brakowało.

– Jasne! Ta gówniara... Zaraz, ona pracuje w bibliotece, po tym chłopaku ją poznałam. Musimy do niej dotrzeć! – zawołała Grażyna pełna entuzjazmu.

– O ile damy radę – powiedziała Gośka grobowym głosem, jakby wieszczyła koniec świata.

To oczywiście nie wpisało się w ich nieco zamerykanizowane podejście do świata, zgodnie z którym chce to móc.

– Dlaczego miałybyśmy nie dać? W bibliotece ją spotkamy, jak nie dziś, to jutro, a jak nie jutro...

– Daniel nas zabije! – wrzasnęła Gośka tym razem nieco histerycznie.

– Za co? Przecież w umowie nie było zwłok. Nic nam nie może zrobić!

– Jak to nie może? Może! Jeżeli jest mordercą, to nas wyeliminuje! Będzie musiał nas zabić, to nie ulega wątpliwości – Marta poparła Gośkę z satysfakcją nieprzystającą do tematu.

– Przecież nie może zabić tylu osób? – rzuciła niepewnie Grażyna.

* * *

– Może, może! – powiedział Samuel Kaszak, który w tej zakrzywionej rzeczywistości pisarskiej znalazł się nie całkiem przypadkowo.

Właśnie przeczytał artykuł o tym, jak pewien osadzony za morderstwo autor kryminałów napisał kilka tomów, i aż zadrżał z zachwytu.

To mu bardzo przypasowało.

Pisarska rzeczywistość jest zawsze inna od tej znanej zwykłym ludziom. Istnieją pisarze, którzy rozmawiają z bohaterami swoich powieści, a nawet tacy, którzy piszą dokładnie to, co te postaci im każą. Jakby tego było mało, wszędzie tam, gdzie pojawia się większa liczba pisarzy, zapanowuje specyficzna atmosfera, która zakrzywia czasoprzestrzeń i sprawia, że na przykład na targach książki ludzie tracą fortuny, a nawet kradną, do tego biją się w kolejkach po autografy, rozszarpują fanty i obdzierają pisarzy ze wszystkiego, czasami nawet z godności osobistej. Znany jest przypadek popularnego autora, który po takiej imprezie został w samych slipkach, a i tak miał szczęście.

Istniał oczywiście konflikt interesów pomiędzy bohaterami literackimi. Zazwyczaj jednak ci bohaterowie byli o wiele mniej wyraziści niż Samuel Kaszak i mimo to seksu mieli pod dostatkiem. Dlatego postaci z książek trzech domniemanych morderczyń planom kolegi się nie przeciwstawiły.

– A rób sobie, co chcesz – powiedzieli wszyscy, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia, w tym jedna z bohaterek książek Gośki, piękna botoksiara, która co tom łapała nowego księcia z nowej bajki.

* * *

– Ja tam nie mam w dupie dowodów, choć cała ta wasza pieprzona biurokracja mi zwisa. Ale i ja wiem, że to nie jest on! – stwierdziła Gabi. – Posłuchajcie. Sprawa, pomijawszy te policyjne kawałki czy tam

inne sranie, wygląda tak, że Daniel Adach zabił tego detektywa, o ile denat jest detektywem.

– Tak, macie rację, procedury czasami wszystko utrudniają. Z policyjnego punktu widzenia Adach nie ma z tym nic wspólnego, nic a nic, ale też czuję, że to jego sprawka.

– Mieszka obok, powinno się go przesłuchać.

– Pewnie w końcu się go przesłucha – westchnęła Adela. – Jak będzie polecenie z góry, to znaczy od szefa.

– No i jest jeszcze Pazurkowa – mruknęła Gabi – a jeżeli ona, to i Piotrek.

To, że Genowefę Pazurek powinno się przesłuchać, było pewne. I już ją przesłuchiowano.

– Z nią to jeszcze inaczej. Była zakrwawiona, więc robią przeszukanie u niej w domu i u syna. Chcą sprawdzić, czy to rzeczywiście była krew z nosa.

– Z dupy, a nie z nosa – warknęła Gabi. – Ona mogła tego faceta zabić.

– Dlaczego?

W takich momentach zawsze pojawia się to denerwujące pytanie. Dlaczego? I są tysiące odpowiedzi: bo może miała ochotę? Bo jej się naraził? Bo odezwał się do niej niegrzecznie, bo...

– I co ona w nocy robiła na dworze? – zapytał mimochodem Marcin.

– Właśnie.

– Umówiła się z facetem, doszło do przepychanki? – zaproponowała Adela.

– Tylko po co by się z nim umawiała? To nie nastolatka, żeby miała ochotę na przygody, a i seks chyba już jej nie interesuje, a jeżeli nawet, to raczej nie nadworny, zaciszno-domowy bardziej. Więc ja myślę, że ten facet ją szantażował.

Po chwili mieli już pierwszą hipotezę. Detektyw śledził Piotrką, bo wynajęła go jakaś jego dziewczyna, Pazurkowa się o tym dowiedziała

i chciała się zorientować, co i dla kogo znalazł.

Niestety nie dopracowali tematu, bo odezwał się telefon Adeli. Dzwonił aspirant Mroczek.

– Ty słuchaj, Delka, dzwoni do ciebie jakaś babka z wczoraj, podobno chce ci się wypowiedzieć.

– A co ja, ksiądz?

– Nie marudź. Chce ciebie, to i ciebie dostanie. Wpadnij do tej pisarki do domu, podobno wszystkie tam na ciebie czekają.

– Nigdzie nie idę. Napiłam się, mam wolne, więc mam prawo, ale prowadzić nie mogę. Niech one do mnie przyjdą.

– Do domu?

– Nie, do mnie nie – westchnęła posterunkowa i na migi zapytała Marcina, czy może podać jego adres pisarkom.

Zgodził się od razu.

Nie było to z jej strony bardzo ortodoksyjne podejście, ale wszyscy włącznie z jej przełożonym wiedzieli, że takie prywatne spowiedzi bywają niezwykle cenne w sprawach o morderstwo. W murach komisariatów ludzie sączyli władzom wiedzę okrojona o wszystko: własne „zasługi”, domniemania, domysły, a i plotek często skąpili, żeby potem nie było, że nagadali na znajomego czy sąsiada, a ten z zemsty nasrał im na wycieraczkę. (I żeby tylko). Dlatego wejście w taką quasi-prywatną zażyłość z podejrzanymi było korzystne. Nawet Amerykanie z FBI to stosowali, co prawda w filmach, ale zawsze.

– No, to czegoś się wreszcie dowiemy! – Gabi zacierała ręce.

Ucieszyła się w dwójnasób, bo gdyby Adela poszła tam do tych pisarek, to po pierwsze, nie mogliby jej towarzyszyć, a po drugie jej samej jako policjantce raczej nie wolno by zbyt wiele im powiedzieć, a tak będą w samym centrum wydarzeń.

– Pssst – z kąta koło biblioteczki, w której pyszniło się kilka egzemplarzy książek Daniela Adacha z autografami, cichutko zasyczał Samuel Kaszak.

– Co ty tu, do cholery, robisz? – warknęła Gabi, nie zwracając uwagi na koleżankę, co nie było najmądrzejszym posunięciem.

Adela popatrzyła na nią zdziwiona.

– Nic, nos wycierałam, a co? Nie wolno? – zapytała, myśląc, że pogwałciła jakieś domowe tabu, o którym nie miała pojęcia.

– Wolno, wolno... Dźwięk mnie przestraszył – wyjaśniła jej niepewnie Gabi.

– Pssst! To nie ona, to ja! – zawołał Samuel, który nadal tkwił przy meblu, choć był zdecydowanie niewyraźny.

– Wiem, idio... a... mmmm... – zająknęła się Gabi – ...tko!

– Ty, naprawdę przesadzasz. Nie wyzywaj mnie od idiotek, bo się wkurzę. – Adela zrobiła wredną minę, bo do takich inwektyw praca w policji aż nadto ją przyzwyczaiła. – I dlaczego tak gapisz się w ten kąt?

– Kot, tam był kot.

– A, to rozumiem, pewnie dlatego kicham, mam alergię – ucieszyła się Adela, która lubiła wszystko, co jasne i klarowne, uwielbiała połączenie przyczyny ze skutkiem, bo to porządkowało świat.

– Ale ja nie mam kota. – Marcin wrócił z łazienki.

– Jak nie masz, a Samuel? – zapytała złośliwie Gabi.

– Jaki Samuel?

– Kot Samuel – powtórzyła z naciskiem, wskazując głową na biblioteczkę.

Marcin popatrzył, skrzywił się, potem spojrział na Adele, na Gabi i wreszcie załapał.

– A, ten! – Uśmiechnął się. – I co on mówi?

– Masz gadającego kota? – wtrąciła policjantka. – Fajnie. Kot moich ciotek tylko jaja sobie liże.

– Nie, nie! Nie ma gadających kotów, Marcin się wydurnia – uspokoiła ją Gabi. – Zresztą ten kot już sobie gdzieś poszedł. W każdym razie ja mam inny pomysł. Wiecie, tak mi się wydaje, że Adach będzie chciał zabić te pisarki – powtórzyła to, co powiedział jej Samuel.

– Nie, to wykluczone. – Adela pokręciła głową. – Na jego miejscu bym tego jednak nie robiła. Po co miałyby zabijać podejrzane i w ten sposób kierować podejrzenia na siebie? W tej chwili Daniel Adach dla policji nie istnieje. Nie ma go, nikt go nie widział, nikt nie wiąże go ze sprawą. To powinno mu odpowiadać.

– My wiążemy.

– My się nie liczymy – policjantka podniosła głos – liczą się tylko dowody.

* * *

Przekonane, że Daniel Adach czyha na ich życie i zrobi wszystko, żeby je go pozbawić, Grażyna, Gośka i Marta przeżyły bardzo intensywny poranek, przy czym jego intensywność nie należała do kategorii „radość”, a do szeroko pojętej kategorii „o kurwa!”.

Kiedy człowiek nagle zdaje sobie sprawę, że jest śmiertelny, bywa tym odkryciem szczerze przytłoczony, ale gdy odkrywa, że ta śmiertelność czyha na niego wszędzie – za każdym rogiem, w każdej szafie, szafce albo szklance herbaty – wpada w panikę.

Dlatego pisarki najpierw zaczęły wrzeszczeć, potem biegać bezładnie, następnie musiały posprzątać rozwalone drzwi do łazienki i rozbity serwis do kawy oraz opatrzeć Gośce rękę, aż w końcu zaczęły się pakować, żeby jak najszybciej wyjechać.

Chciały uciec – te, które mogły, czyli Marta i Gośka.

Grażyna tę akcję skwitowała śmiechem. Nie uśmiechem, ale właśnie śmiechem. Wrednym, głośnym, gardłowym śmiechem, jak u szalonego naukowca na hajku albo Cesarzowej Zła Rity Odrazy z *Power Rangers*.

– Tym bardziej was wyłapie i wymorduje, kretynki. A jak nie, to i tak zwariujecie, tak wam walnie w dekiel, że kto wie, co się z wami stanie.

– Was, wami? A co z tobą? – zapytała Gośka, zdziwiona i zniesmaczona tą swego rodzaju zdradą.

– Nic, ale ja jestem u siebie, znam teren, wiem, co on może, i zamierzam z nim walczyć!

W tym momencie z półki wystrzeliła książka, przeleciała przez pokój, walnęła w witrażowe drzwiczki kredensu, rozbijając je, i spadła na podłogę.

– To on? – zapytała Gośka podejrzliwie.

– A skąd, sprawdzałam, nie siedzi na półce. To jakiś przypadek. – Grażyna też nie była pewna, co to takiego.

Postanowiła więc to zignorować.

Książki, które latają, należy ignorować jak najbardziej i jak najmocniej się da, bo zazwyczaj tego nie robią. Ich zachowanie może więc wskazywać na coś, czego się każdy obawia: mroczne siły i inne takie metafizyczne bzdury, do których zauważania, a zwłaszcza przyjmowania do wiadomości i świadomości nikt, absolutnie nikt nie może się przyznawać.

* * *

Istnieje wiele rodzajów postaci literackich. Niektóre są tylko literackie, zupełnie nieposkładane z cech znajomych i wrogów pisarza, ale to najczęściej kosmici, bo trudno tak tworzyć z pustki (a i ci zostają bezwiednie obdarzeni przymiotami rzeczywistych ludzi). Ale są też postaci, które mają pierwowzór w rzeczywistości – powieść z kluczem istnieje przecież od dawna. Samuel należał do tej drugiej kategorii i dlatego wykazywał pewne właściwości, które pozwalały mu na ingerencję w rzeczywistość pozaliteracką, nawet jeśli nie na taką skalę, jak by pragnął. Miał możliwość lekkiego oddziaływania fizycznego, mógł dokonywać widocznych zmian w rzeczywistości. Nie były spektakularne, ale były. Mógł na przykład zaginać rogi w książkach i choć to niby nic, również bywa niebezpieczne, bo wywołuje reakcje.

Teraz rzucił książką.

Wypchnięta siłą jego literackiej woli wystrzeliła z półki, przeleciała przez pokój, rozwalila witrażowe drzwiczki kredensu po drugiej stronie salonu i spadła na podłogę. Otworzyła się na jednym z rozdziałów,

niestety nie na tym, który Samuelowi odpowiadał najbardziej, choć jej trochę pomógł.

Rozdział był zatytułowany *Glebogryzarka separacyjna w domu i w ogrodzie*.

* * *

– Szlag! To on! Zabije nas glebogryzarka! – krzyknęła Gośka.

– Coś ty! Przecież to przypadek – powtórzyła z naciskiem Grażyna.

– Nie, to na pewno upiór! – wtrąciła Marta. – Ostrzega nas...

– Przesadzacie. A poza tym nie mam w domu glebogryzarki. Jest w szopie, w ogrodzie. Chyba.

– No bo Adach zabije nas w ogrodzie! Rozumiecie? W ogrodzie albo w domu...

– Przestańcie, zachowujecie się, jakby miał jakieś zdolności magiczne. Wystarczy, że będziemy uważać.

Coś zgrzytnęło, jęknęło, jakby zachwiało czasoprzestrzenią, powiał zimny wiatr i w tym momencie z sufitu spadł żyrandol. Ponieważ, jak to bywa, zawieszony był nad stołem, spadł na ten stół i rozpadł się na drobne kawałki. Był to jeden z tych żyrandoli z czasów PRL-u, które wiszą, bo wiszą, nikt ich nie rusza nie dlatego, że są piękne czy specjalnie przydatne, ale ponieważ istnieje obawa, iż instalacja elektryczna wykonana przez kuzyna czy wujka na kacu (albo bezpośrednio przed kacem) jest podłączona do zasobów piekieł i niechybnie wybuchnie.

I naprawdę żyrandol spadł tylko dlatego, że kiedyś musiał. Nie było to żadne ostrzeżenie, omen ani zapowiedź katastrofy, a obluźowany hak.

Niestety pisarze mają wyobraźnię.

– O nie! – jęknęła Gośka.

– O matko jedyna! – pisnęła Marta.

– O, tak to nie będzie! – zawołała Grażyna, wybierając numer telefonu tego przemilego aspiranta policji, któremu następnie wcisnęła trochę kitu, żeby skontaktował ją ze swoją koleżanką. – Bo wie pan, przed kobietą łatwiej nam będzie się otworzyć – dodała na koniec.

Aspirant Mroczek, usłyszawszy to magiczne słowo „otworzyć” i skojarzywszy je z konserwą z reklamy oraz ze spowiedzią, dał się oczarować i chwilę potem wszystkie trzy – nie trzeba dodawać, że śmiertelnie przerażone wizją glebogryzarki, która będzie je śledzić i zamorduje – wyruszyły do mieszkania Marcina. Piechotę.

Po nocnych wrażeniach znieczuliły się alkoholem. Znieczulenia rzeczywiście uzyskały ledwie odrobinę, ale alkoholu zużyły na nie sporo, więc jazda samochodem nie wchodziła w grę. Nie były aż takie praworządne, po prostu bały się, że policjantka może zobaczyć, jak podjeżdżają, a potem wyczuje od nich alkohol i będzie kłopot. Zresztą spacer nie wydawał im się złym pomysłem, pomimo glebogryzarki czającej się na każdym rogu ulicy.

– Jest! Tam jest, widzę ją! – wrzasnęła Marta. – To glebogryzarka! Ma kły i pazury...

– To jest kot – odparła Grażyna, jeszcze raz w duchu przeklinając się za zaproszenie tych dwóch kretynek do siebie i wciągnięcie ich w akcję. – Glebogryzarki nigdy nie widziałaś?

– No pewnie, że nie! U nas w Warszawie po ulicach nie biegają dzikie glebogryzarki! – odburknęła Gośka.

– Żadne nie biegają – przytaknęła jej Marta.

To stwierdzenie „u nas w Warszawie” trochę Grażynę wkurzyło, bo było obrzydliwie snobistyczne, a ona do tego snobizmu nawet tęskniła, w końcu też kiedyś mieszkała w stolicy.

Szły ulicą dość pospiesznie, mijając domy i krzaki.

– Ależ tu jest paskudnie – stwierdziła Marta.

I rzeczywiście w tej chwili było paskudnie. Przeskok w ocenie miasteczka od „urokliwe” do „paskudne” odbywa się często bardzo szybko i zależy od nastroju tego, kto na nie patrzy. Podczas

romantycznego spaceru z ukochanym dziura w drodze wypełniona wodą jest odbiciem duszy nocy, a komary to brzęczące sercołamacze, których się nie czuje. Kiedy natomiast ze spaceru wykreślić słowo „romantyczny”, a więc i ukochanego, dziura jest dziurą, ewentualnie kałużą, a komary to obrzydliwe robale.

Teraz komarów nie było, rano zwykle nie atakują.

Szły uliczkami pomiędzy dzielnicą „willową”, czyli dawną wsią wcieloną do miasta, gdzie nie było ani jednej willi, tylko dawne wiejskie domy, a blokowiskiem, na którym mieszkał Marcin. Teoretycznie przechodziły z lepszej do gorszej dzielnicy, w rzeczywistości wszędzie tutaj było tak samo brzydko. Nie istniały lepsze czy gorsze dzielnice ani lepsze czy gorsze adresy. Wszystko było bezsensownie brudne, zaśmiecone i paskudne. Gdyby się ktoś pokusił o renowację jakiejś części Tęczowa, to nawet ingerencja miotaczem płomieni mogłaby zostać uznana za sporą poprawę wizerunku.

– Jak ty możesz tu mieszkać? – zapytała Gośka, z odrazą wskazując krzaki i wądoły.

No cóż, Grażyna mogła tu mieszkać tylko dlatego, że doskonale umiała liczyć.

Kiedy dostała spadek po zmarłym w tragicznych okolicznościach wujku (nie, to nie było żadne romantyczne morderstwo, nic z tych rzeczy), mogła tę schedę spieniężyć, dołożyć drugie tyle, kupić jakimś cudem minikawalerkę na obrzeżach Warszawy z sąsiadem pijakiem na górze oraz sąsiadką wariatką na dole i tam w hałasie gnieździć się, pisząc, albo pisać, gnieźdząc się i kalkulując, czy za tantiemy w tym miesiącu kupi papier toaletowy w różowe słoniki, czy starczy tylko na taki z recyklingu.

Wyliczyła, że ten całkiem spory dom w mieście od Warszawy zdecydowanie tańszym, dodatkowo bezczynszowy, bo własny, pozwoli jej jakoś żyć z pisania.

I nie miała sąsiadów! W każdym razie nie miała ich za ścianą, na suficie ani pod podłogą.

Ponadto ogród pozwalał jej robić całkiem ładne zdjęcia promocyjne i nie hodować rzodkiewek, buraków, a nawet sałaty. To było jej prawo, a nie brak możliwości, a to wszystko zmienia.

Miasteczko przyzwyczajało się do niej powoli. Najpierw dla wszystkich była „tą z Warszawy”, po dwóch latach „tą babą spod lasu”, a teraz po w sumie dziesięciu „tą pierdolniętą pisarką”, co znaczyło, że się zadomowiła i wrosła w społeczność.

Wszystkim mówiła, że jej książki idą jak woda, nie dodawała jednak, że chodzi jej o wodę stojącą. Tak więc nie kłamała, choć nie mówiła prawdy, a to wielka sztuka.

Kryminał romantyczny był gatunkiem stosunkowo nowym i wyrósł z harlekina, czyli było tam wszystko włącznie z marysueizmem. Bohaterki były idealnie dobre lub idealnie złe, ich partnerzy też okazywali się albo książętami z bajki, albo łajdakami z piekła rodem, a jedyne, co jej książki różniło od innych romansów, to zwłoki, choć już w pierwszej scenie było wiadomo, kto zabił.

Przekradły się przez krzaki (pisarki, nie zwłoki) po drugiej stronie ulicy, święcie przekonane, że właśnie uniknęły ataku wścieklej glebogryzarki. Spanikowały. Przeskoczyły trawnik – ze strachem, bo był całkiem odsłonięty, co potęgowało zagrożenie – i podeszły do niewielkiego skupiska bloków.

– To tutaj. Trzecie bez windy.

– Świetnie, windy są niebezpieczne. Mógłby się tam ktoś czaić.

– O mamuniu! Tylko nie glebogryzarka! – pisnęła Marta.

Po chwili zapukały do mieszkania Marcina.

Jak stara tradycja nakazuje, zaraz po tym, jak im otworzono, zamiast zwyczajowego „dzień dobry” zakrzyknęły prawie chórem:

– O szlag, dostać się tu do was...! Wyżej się nie dało?

– Dzień dobry – odpowiedział im Marcin.

Samuel Kaszak miał pierwowzór, a więc był silny w dwójnasób – swoją literackością i jego, tego pierwowzoru, mocą rzeczywistości.

Jego marzenie, że w końcu przekona się na własnej skórze, co to seks, było tak silne, że aż pchnęło go do działania.

Początkowo chciał jedynie uratować życie swojemu autorowi. Nie dlatego, że go kochał, nie, robił to tylko i wyłącznie dla siebie. I seksu.

Ze swoim autorem miał zawiłe zaszłości i jego stosunek do twórcy był bardzo ambiwalentny. Trudno kochać kogoś, kto bez wahania obdarza cię alkoholizmem, ADHD i łupieżem. Niestety Samuel miał tylko jego. Inni bohaterowie czasami doczekiwali się fanfików i to dawało im sporo zabawy. No i możliwości.

Teraz Samuel wpadł na o wiele lepszy pomysł. Za wszelką cenę chciał sprawić, żeby jego autor pisał. Najlepiej o seksie, ale w sumie wszystko inne też by się przydało. Może w końcu Daniel wysłałby go pod prysznic.

Samuel uznał, że jego autor w więzieniu byłby po prostu idealny, to znaczy miejsce byłoby idealne – Adach nie miałby co robić, a więc by pisał.

Żywy i w więzieniu, idealna kombinacja!

Tyle że w tej chwili tylko te trzy kobiety były o cokolwiek oskarżone.

Należało zrobić wszystko, żeby wmieszać Daniela Adacha w sprawę, ewentualnie żeby Adach rzeczywiście zamordował którąś z nich.

Samuel sam zabijać nie mógł. Nie zawahałby się – to by było dokładnie to samo, co mordowanie na kartach powieści. (Skoro realny pisarz unicestwia nierealnego bohatera, to dlaczego nierealny bohater nie miałby zabić realnego pisarza? Kuszące, ale niestety niewykonalne). Za to nikt nikogo nie ściga ani nie karze.

Niestety Samuel mógł jedynie wywołać panikę, ale jak to się mówi, panika jest gorsza od faszyzmu i czasami zabija.

W każdym razie zamierzał zrobić wszystko, żeby Daniel Adach znalazł się w gronie podejrzanych i w tym gronie jak najdłużej pozostał.

Cudowny dodatkiem było też to, że Adach mógł okazać się mordercą. Naprawdę mógł. I to by było wspaniałe.

* * *

– Kawa, herbata czy od razu wódeczka? – zagaiła Gabi nieco przewrotnie, bo od przybyłych cuchnęło jak z gorzelni.

Nie odpowiedziały.

– Rozmawiamy prywatnie czy oficjalnie? – zapytała Adela na wszelki wypadek, wiedząc, że pewne informacje tak czy tak można wykorzystać.

– Prywatnie! – aż krzyknęła Grażyna.

Tamte mimo braku zaproszenia zdążyły już prawie paść na wersalkę, ale też pokiwały głowami w wyrazie aprobaty.

– Czyli niech będzie piwo – stwierdził Marcin.

– Nie, po piwie się porzygam – westchnęła Grażyna. – Zapodałam sobie dziś taką mieszanekę, że tylko dziada z babą mi w żołądku brakuje.

– Czyli coś mocniejszego.

– Zdecydowanie.

* * *

– Pani Pazurkowa, co to jest?

– A co ma być? Pranie! – odwarknęła kobieta, kiedy policjanci miotający się to tu, to tam zaczęli przeszukiwać jej mieszkanie.

Musieli to zrobić. Była widziana w pobliżu miejsca zbrodni nocą, w odpowiednim, czyli bardzo nieodpowiednim czasie, a nawet była zakrwawiona. Oczywiście podobno, ale sprawdzić należało.

Gdyby odnaleźli to zakrwawione ubranie, przeprowadzili badania i okazało się, że to rzeczywiście krwotok z nosa, to kto wie, może by ją wykluczyli. Może, bo trochę głupio wykluczać kogokolwiek, kiedy prawie nie ma podejrzanych.

A mogło się okazać, że to wcale nie jej krew.

Owszem, pisarki były podejrzane, jak najbardziej, ale to było takie... nie takie. Morderca, który tapla się w zwłokach? Nie no, to nie jest normalne. I choć trudno myśleć o normalności, kiedy widzi się tak zmasakrowane ciało, to jednak jakoś to średnio wszystkim pasowało, no i mimo całej otoczki nie było na razie motywu. Oczywiście każda z tych kobiet mogła coś do kogoś mieć, ale w tej chwili żadną wiedzą na ten temat policja nie dysponowała.

Gdyby jeszcze zwłoki należały do pisarza, wszystko ułożyłoby się po prostu idealnie – zawiść w tym środowisku podobno jest szalona, a od zawiści do zabójstwa prosta droga.

Pazurkowa też w sumie nie miała motywu, ale od czegoś trzeba było zacząć.

Miotali się po jej domu niczym Hunowie, tak jak potrafi to robić tylko policja: zaglądali do zamrażarki, śmietników, szuflady z gaciami, nawet do chlebaka. I oczywiście zostawiali taki syf, że aż się płakać chciało. Wreszcie dopadli stosu brudnych ubrań obok pralki.

– I tak od rana? Pranie pani zrobiła?

– Nie, przecież to jeszcze nie prane, tylko segregowałam. Białe do białych...

– A czerwone do zakrwawionych? – rzucił złośliwie jeden z funkcjonariuszy.

– Oj, zgłupiał pan. Proszę – podała mu zakrwawiony szlafrok wydłubany spod stosu prania – ten. Niech sobie pan z nim robi, co chce. Przecież tego szukacie!

To, że go oddała, mogło się wydawać aktem dobrej woli, ale policjant wiedział, że tak czy tak by go znalazł.

Krew na szlafroku nie wyglądała tak, jak powinna wyglądać plama po krwotoku z nosa. Była bardziej wtarta, jakby ktoś tę krew o siebie wycierał, a nie jakby mu spływała. Zresztą jakkolwiek by nie wyglądała, trzeba ją było sprawdzić.

– I utrzymuje pani, że to jest pani krew? – zapytał funkcjonariusz tonem tak zimnym, że lodowiec mógłby brać u niego korepetycje.

– Nie, nie jest moja – westchnęła Pazurkowa wyraźnie pokonana.

* * *

Grażyna w bardzo zawiły sposób wytłumaczyła akcję z udawanym morderstwem, związaną z nim promocją i ich późniejszymi poczynaniami.

– Da-Da-Daniel to wszystko wymyślił – powiedziała Gośka, trochę czkając.

– I on miał zostać zabity? – dopytywała Adela, dyskretnie wszystko notując, bo na nagrywanie Grażyna się nie zgodziła.

– Nikt nie miał zostać zabity! Miało być tylko zamieszanie, zrozumcie, tylko takie jakby domniemanie: „Oj, coś się stało, pisarz zginął, a nie, jednak nie”. Kliki lecą, książki się sprzedają. Wiecie, ile takich akcji jest teraz w sieci?

– To nie było w sieci, a w życiu – westchnęła Adela i ziewnęła mimo całego swojego profesjonalizmu. Noc na służbie była w stanie pokonać najsilniejszego.

– Miało być! – wrzasnęła piskliwie Gośka.

– Ale wiecie, że to jest wprowadzanie w błąd organów ścigania?

– A co kogo obchodzą organa ścigania, skoro nie byłoby kogo ścigać? To happening, wyglup, akcja promocyjna! – obruszyła się Grażyna.

– No ale doszło do zabójstwa!

– Tyle że nie wiemy jak ani kto, ani w sumie kogo. – Marta wzruszyła ramionami.

– Ja wiem kogo. – Grażyna na chwilę zastygła, jakby nie wiedząc, czy coś powiedzieć, czy może nie mówić, ale w końcu zdecydowała, że powie. – To detektyw jakiś, on tu się ostatnio kręcił. Widziałam go niedaleko domu Daniela. I teraz wygląda na to, że...

Wycie syren trochę zaniepokoiło zgromadzonych, zwłaszcza że przejeżdżające właśnie pod oknami samochodu strażackie zmierzały dokładnie w stronę dzielnicy willowej.

– Marta? Wyłączyłaś lokówkę?

– No jasne, że... Może? Nie wiem. Ale ona ma zabezpieczenie, nie powinna spowodować pożaru. Jezu, a jeżeli?

Jest całe mnóstwo ludzi, którzy do życia podchodzą nieco mimochodem, to znaczy robią różne rzeczy naraz. Są tacy, którzy myją naczynia i słuchają audiobooków na telefonie (uwaga na płyn do naczyń z aloesem, rozpuszcza dane), tacy, którzy prasują i równocześnie rozmawiają przez telefon (ostrożnie, rany na mocno zaprasowanych uszach goją się długo i są bardzo bolesne), są i tacy, którzy myślą. Właśnie do tej ostatniej grupy należą pisarze, toteż będąc w czwartym rozdziale sagi o przygodach panny z dobrego domu, która uciekła z pogromcą tchórzofretek na orbitę okołowenusjańską, gdzie zmieniła się w jeża, są w stanie zapomnieć o wszystkim, w tym o racie kredytu za lodówkę, a co dopiero o wyłączeniu gazu.

W tej chwili zadzwonił telefon Adeli.

– Chałupa się pani pali – powiedziała policjantka, zwracając się do Grażyny. – To znaczy może nie chałupa, a szopa, ale pożar jest spory, może się rozprzestrzenić. Zaraz po nas przyjadą – oświadczyła, bo mimo tego, że było ich sześcioro i wszyscy mieli prawo jazdy, a pod domem stał niejeden samochód, żadne z nich nie mogło prowadzić.

* * *

– Jak to nie pani? Przecież pani sama mówiła...

– Pan się nie czepia! Syn mi ostatnio zwariował, to i o kłopoty łatwo... Pan wie, jak jest.

Oczywiście wiedział, bo czasami zdarzało mu się jeździć do jednej z okolicznych rodzin z interwencją. Syn, najmłodszy z jej członków, junior często wariował po dopalaczach. Ostatnio na przykład chciał sobie zrobić kotleta schabowego z kota. Kot był żywy i się na to nie zgadzał. Szycie młodego trwało dwie godziny, mężczyzna zyskał sto siedemnaście szwów na ciele. Kocie pazury są ostre.

- Ale co, zaatakował panią? - Policjant pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Nie, zaczął jeść robaki, świerszcze i pokrzywy, od mięsa się odzwyczajają.

- I pani go zaatakowała, żeby tego nie robił?

- Nie. No co pan?! To dobry dzieciak, tylko taki... On chce dostać nagrodę za ratowanie świata.

- Tym bardziej nie rozumiem!

- A powinien pan! On nie je mięsa, bo to szkodzi planecie, ale nie tylko siebie od tego mięsa odzwyczajają, on odzwyczajają też mnie! - Potoczyła głodnym wzrokiem dookoła siebie, jakby nagle postanowiła się na kogoś lub coś rzucić, aby to zjeść. - Czy wiewiórki są jadalne? - zapytała, patrząc na biegającą nieopodal rudą kitkę.

Kilka osób jęknęło ze zgrozą. Nie wolno jeść wiewiórek, są zbyt ładne. To oburzające.

- Ale co to ma wspólnego z...

- Ma. Założyłam tajną bazę w ogrodzie tej pisarki i tam sobie jem nocami.

- A ta krew?

- Tym razem kurza.

- Je pani żywe kury? Znaczą surowe?

- Raczej nie, ale czasem nie wytrzymuję, tak mi się mięsa chce, i wtedy nawet surowe zjadam, jak wampirka jakaś albo upiórzyca. On mi od jakiegoś czasu nie pozwala w domu trzymać mięsa. Niczego, żadnego mięsa, nic... Ratuje planetę, a ja zdycham z głodu!

- Ale jak?

- Chce pan wiedzieć, jak się zdycha z głodu? - zapytała zdziwiona.

Policjant aż się wzdrygnął.

- Nie, chcę wiedzieć, jak to się dzieje, że pani nie może jeść w domu, mimo że ma pani wszystko, czego trzeba...

- No, mówiłam, syna dopadła ta internetowa moda na zdrowe żywienie, tylko szpinak, świerszcze, tofu... i takie długie robale. Nawet hodowlę moli sobie założył. Spożywczych. Będzie je sprzedawał na mąkę. Ooobrzydlistwo! I jak każdy neofita zmusza innych do tego szaleństwa. Na szczęście nie mieszka ze mną, ale wciąż mnie sprawdza i zmusza mnie do tych paskudztw. A przecież nie mogę mu stawiać na drodze do szczęścia, muszę go wspierać! To mój syneczek! Dlatego jem tylko nocami.

- I nocami pani tak lata?

- Muszę. Inaczej bym padła z głodu. Dotychczas mięso było podstawą mojego wyżywienia. Ach - sapnęła - mięso!

- A wczoraj?

- No właśnie sobie robiłam jedzenie, jak się to wszystko zaczęło, i musiałam uciekać. O Jezu, zapomniałam! Mój szybkar! Chwilę potem biegli oboje w kierunku domu Grażyny.

Grażyna też biegła, od drugiej strony.

Szopa stała.

Niestety w płomieniach.

* * *

Dojazd pod dom Grażyny nie trwał długo, choć kierowca w oparach alkoholu prawie się udusił, no ale rozkaz to rozkaz. Przejechał te kilka przecznic i zaparkował całkiem niedaleko w zatoczce, nieformalnej, ale zawsze. To zmniejszało ryzyko, że ktoś wpadnie pod tłoczące się teraz wszędzie samochody straży pożarnej.

Wszyscy wyskoczyli z radiowozu i pobiegli w kierunku domu Grażyny.

Już z daleka dało się zobaczyć strzelający w niebo czarny słup dymu, jakby coś na dole dawało znaki dymne, bo nie był ciągły, ale tworzył dość malownicze puf, puf, puf.

- Podpalił ją! - wrzasnęła Grażyna. - Adach mi szopę podpalił!

– Ale miała tam pani coś?

– Glebogryzarkę...

– Myślałam o czymś cennym, nie wiem, komputery? Bo ten dym jakiś taki plastikowy. Opony?

– Może ze dwie, trzy, ale możliwe.

Wtedy coś gwizdnęło i walnęło w bok szopy, ale od środka, tak jakby chciało się z niej wydostać albo jakby była to szopa do gry w pinballa, a to coś w jej środku robiło za kulkę i się objało to tu, to tam. Łup, łup, łup... – rozlegało się, a drewniane ściany trzeszczały i pękały. Z miejsc, w które łupnęło, zaczynał sączyć się dym.

– Glebogryzarka?

– Nie, szybko! – westchnęła Pazurkowa.

– Opalała w nim pani świnię, szczecinę? Stąd ten zapach? – zapytał policjant zaszokowany bardzo specyficznym smrodem.

Nie odpowiedziała. Za to Grażyna miała inny problem.

– Tam nie ma szybko! Nigdy nie było. Zwariowała pani? Kto by trzymał szybko w szopie?!

– Jest mój, zapomniałam go wyłączyć...

– Na co on jest? Bo tam gazu chyba nie ma?

– Elektryczny.

– Złodziejka! Prąd mi kradła! – wrzasnęła Grażyna.

– Jeżeli jest elektryczny i był włączony dobrych kilka godzin, wyłączenie prądu nic nie da, trzeba czekać! – rozkazał jakiś strażak, bo saperzy zajmowali się niewybuchami po drugiej stronie miasta i nikt nie był w stanie rozbroić szybko.

Szałeństwo wokoło płonącej szopy trochę wszystkich pokonało.

– A ten Daniel? Widziała go pani tu ostatnio? – zapytał Grażynę ten sam policjant, który wcześniej przepytывał Pazurkową.

– Nie, ostatnio nie... To znaczy tak, kiedy to było? Przedwczoraj był u mnie, ale później nie. Czy przedwczoraj to ostatnio? – Grażyna bardzo

chciała wyjść na inteligentną i rzutką, ale wszyscy byli porządnie zmęczeni. – Ale...

– Hm, co „ale”?

– Nic, ale tam o, widzi pan te dwie? To jego matka i żona.

Dym z ogniska, tak sławiony przez harcerskie piosenki, niekiedy o zabarwieniu kulinarnym (dym, nie piosenki), jak zawsze zbierał ludzi dookoła. Fakt, tym razem ognisko było bardziej śmierdzące i nieco wyższe (szopa miała jakieś dwa i pół metra), a zgromadzeni wokół ognia nie mieli ani kielbasek na patykach, ani śpiewu na ustach, ale tak czy tak ognisko przyciągnęło wszystkich, nie tylko sąsiadów.

Po pierwsze, syreny wozów strażackich bardzo dobitnie ogłaszają ciekawe wydarzenia, po drugie, kiedy coś się dzieje, nie ma ślepych i kulawych – wszyscy biegają. Dlatego nie dziwiło, że rodzina Daniela Adacha się tu znalazła, dziwił natomiast fakt, że jego samego nigdzie nie było widać.

Policjant skrzętnie coś zanotował. Przyjrzał się obu kobietom.

* * *

Marlena Adach, matka Daniela, była kobietą potężną nie tylko ze względu na sylwetkę i wzrost. Była też kimś.

W małych miasteczkach bycie kimś jest ważne, przy czym nie bazuje za bardzo na zasługach czy dokonaniach, ale na specyficznym podejściu do siebie samego.

Starsza Adachowa kiedyś była nauczycielką, teraz żyła z synem i synową, z której namiętnie starała się zrobić klasyczną tradwife, co ostatnio było coraz modniejsze. Uważała, że Daniel jako pisarz nie tylko na to zasługuje, ale też jemu się to po prostu należy. Pewnie by tego dokonała, gdyby nie pewien drobiazg, a mianowicie Daniel nie zarabiał dostatecznie dużo, żeby jego żona mogła zrezygnować z pracy i całkowicie się mu poświęcić.

– Jak to szuka pan mojego syna? – odpowiedziała Marlena Adach obruszona, gdy policjant się przedstawił i zapytał, jak mógłby się

skontaktować z Danielem.

– Zwyczajnie, muszę go przesłuchać w związku z zabójstwem – wyjaśnił i grzecznie, i zgodnie z prawdą funkcjonariusz.

Zamierzał przepytać wszystkich sąsiadów, których domy stały w pobliżu, czyli na tej samej ulicy. Babulinę Matecką też, ale potem. Bardzo nie lubił przesłuchiwać starych ramoli, bo gadali od rzeczy, ale jak mus, to mus.

– O, tak to nie będzie! Nie pozwolę na to! – powiedziała wyniośle matka Daniela. Zdziwienie na twarzy policjanta chyba ją ucieszyło, bo uśmiechnęła się jak kobra, o ile kobra to potrafi. – Nie będzie mi tu jakiś policjant pluł na syna! W twarz pluł! Pan wie, kim ja jestem?

Ten rodzaj osób spotykało się ostatnio coraz rzadziej, bo do większości docierały podstawowe zasady, które mówiły, że pewnych rzeczy się nie robi, bo to nie tylko bez sensu, ale także głupie.

Policjant podał kobiecie papierek.

– Oczywiście, że wiem, kim pani jest!

Starsza Adachowa uśmiechnęła się z wyższością, zadowolona z efektu.

– Jest pani osobą wezwaną na przesłuchanie – dodał policjant, ścierając wyraz satysfakcji z jej twarzy.

– Gówno prawda! – warknęła i podarła karteczkę. – Nikt nie będzie mnie tak...

– Pani mi wygląda na rozsądniejszą, pani Adach. – Mundurowy uśmiechnął się słabo do drugiej z kobiet. – Proszę wytłumaczyć teściowej, że to się może źle skończyć.

Mała, błada i zahukana żona Daniela tylko pokręciła głową.

– To nic nie da, ale jak pan chce, to ja panu powiem. Daniel wyjechał tydzień temu – powiedziała smutnym głosem. – Nie wiem dokąd, ale wyjechał.

– Jak tydzień temu? – wtrąciła się Grażyna, bo obserwacja płonącej szopy przestała ją zadowalać, tym bardziej że pożar chyba się skończył.

– No przecież mówię.

– Ale nie tydzień temu, trzy dni temu jeszcze był u mnie, wieczorem.

– Ty suko! – wrzasnęła Marlena Adach. – Ty krowo! Kradniesz żonatego faceta? Syna mi kradniesz?

Grażyna zamilkła, bo z Danielem łączył ją ten rodzaj znajomości, w którym każde do znudzenia powtarzało, że gdyby nawet razem wylądowali na bezludnej wyspie, to i tak o niczym więcej nie ma mowy. I wbrew wielu precedensom była to szczerza prawda.

– Ja i Daniel? Zgłupiała pani? Co pani opowiada?!

– Wiem, co opowiadam! Jesteś zepsutą puszczałką suką, która sprowadza młodych, mądrych i żonatyh na manowce moralnego zepsucia. Ty chuciesz zieją! – wrzasnęła starsza Adachowa, prawie się opluwając, po czym się poprawiła: – Ziejesz chucią!

Grażyna miała wady jak każdy i jak każdy raczej nie zdawała sobie z nich sprawy, ale uważała, że niczym nie ziejje. No, może czasami czosnkiem. Poza tym nie należała do rozrywkowych w tej dziedzinie. Jeżeli ktoś zna powiedzenie, że krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje, to to był ten przypadek, tyle że Grażyna nie ryczała, a pisała. To jej wystarczało. Była wyrobniczką słowa, a nie seksualnym drapieżką, a Daniela, no cóż, Adonisem nie dało się nazwać. Przypominał bardziej jaskiniowca i wyglądał mniej więcej jak porośnięty szczeciną dzik.

To, czy był żonaty, czy nie, snu z powiek Grażynie nie spędzało, naprawdę miała to w głębokim poważaniu. Gdyby coś, nawet by jej to nie przeszkadzało, ale najpierw musiałaby się Danielem choć zainteresować.

Zresztą istniała jeszcze jedna, prawdziwa przeszkoda.

Przy takiej mamusi i Adonis zyskałby status nietykalnego, bo seks seksem, ale nawet w dzikich plemionach Amazonii mało kto ma ochotę na amory pod bacznym wzrokiem czupakabry. No chyba że jest poważnie zaburzony.

Grażyna spojrzała na żonę Daniela ze współczuciem.

– W takich warunkach to wy się w życiu nie rozmnożycie! – powiedziała z westchnieniem, czym spowodowała napad straszliwego szloch u kobiety.

Awanturę skręcającą w stronę tragedii zastopował policjant.

– Widzę panie jutro rano na posterunku! – oznajmił ostrym tonem. – Chyba że porozmawiamy teraz, u pań w domu. Jeżeli się panie nie stawia, proszę się spodziewać konsekwencji prawnych i oczywiście doprowadzenia.

– Nigdzie nie porozmawiamy! – wrzasnęła Marlena. – W dupie was mam! Słyszysz pan? W du-pie!

Synowa popatrzyła na teściową z politowaniem. Tak – w jej spojrzeniu nie było ani zgrozy, ani przerażenia, tylko politowanie.

– Proszę za mną – powiedziała żona Adacha do policjanta – zapraszam. A ty, mamó, rób, jak chcesz. Jeżeli wolisz, żeby cię na posterunek wiozła suka, to proszę, sama zrobię zdjęcia i wstawię na Facebooka!

Wyglądało na to, że jej teściowa bardziej boi się Facebooka niż konsekwencji prawnych. Ruszyła posłusznie za nimi.

Marlena Adach nie była idiotką, cierpiała tylko na niedobór uwagi. Kiedyś jako nauczycielka, a nawet dyrektorka szkoły była poważana, teraz nikt nie zwracał na nią uwagi. Dlatego sama sobie tę uwagę organizowała, nie zawsze inteligentnie, lecz zawsze skutecznie.

Dom, do którego zaprowadziła policjantów żona pisarza, był zwyczajnym, starym domem o nieco wiejskim charakterze, choć z udogodnieniami.

Adela, która szybko zorientowała się, że może czegoś się tu dowiedzieć, poszła razem z kolegą, żeby być przy tym nieco nieformalnym przesłuchaniu. Dała znak całej reszcie, że mają na nią czekać. Czekali, liczyli, że będzie ich wtyczką.

- Herbaty? - zapytała żona pisarza. - I żeby stało się zadość formalnościom, jestem Dorota Adach, żona Daniela, a to Marlena, matka. Obie mieszkamy tu z Danielem, ale jego teraz nie ma.

- Właśnie - burknęła teściowa. - Wyjechał tydzień temu i nie ma nic wspólnego z całym zamieszaniem ani z tym, pozał się Boże, detektywem. Daniel go nie zabił, daję na to moje słowo.

- Skąd pani może wiedzieć coś takiego?

- Ależ to proste. Kopydło był sprzedajnym dupkiem. Tyle.

- Czyli znała go pani?

- Oczywiście, że go znałam... Kiedyś znałam, przecież chodził do mojej szkoły lata temu. Pamięta się takich uczniów. A poza tym syn nie jest zabójcą.

- Czy ten Kopydło mieszkał w Tęczowie? - zapytała Adela, szukając czegoś w pamięci.

- Kiedyś tak. Wyjechał dawno temu.

- Czegoś tu szukał? - drażył policjant.

- Nie, no co pan? Nie, podejrzewam, że to była wyprawa nostalgiczna, taki powrót na stare śmieci. Czego miałby tu szukać?

Adela trochę się zdziwiła, bo mężczyzna był dość młody, a powszechnie wiadomo, że stare śmieci zaczynają kusić dopiero po sześćdziesiątce, a jeżeli chodzi o nostalgię, to dotyczy ona jedynie piwa, i to w stylu: „Nigdy po kraftowym nie miałem zgagi, noż kurwa, wiek robi swoje”.

- A mąż gdzie wyjechał? - policjant zwrócił się do Doroty Adach.

- Ona nie wie, on jej się nie spowiada! - burknęła teściowa.

- Czyli spowiada się pani? - zapytała Adela.

- A gdzie tam, to pisarz. Nikomu się nie spowiada!

- Niech pan jej nie bierze na poważnie - westchnęła żona. - Daniel pojechał jakiś research robić, nie wiem dokąd, ale ma wkrótce wrócić, zresztą on nigdy nie siedzi za długo poza domem. Inna sprawa, że dodzwonić się do niego nie mogę, ale wiecie, ma swoje dziwactwa.

– Czy ty musisz im zdradzać nasze intymne sprawy? – warknęła teściowa.

Dorota się roześmiała.

– Jakie ty masz intymne sprawy z Danielem? Jesteś jego matką! Na litość boską, nie zapominaj o tym! – wrzasnęła zde gustowana i to wiele powiedziało o tym stadle.

To znaczy z pewnością był to układ niezdrowy, takie małżeństwo we troje, w którym Daniel był najważniejszy i należało go czcić, mamusia była jego czcicielką i strażniczką ogniska domowego, a Dorota – dodatkiem do łóżka i oczywiście macicą, co jednak jakoś nie działało. Trudno się zresztą temu dziwić, takie osoby jak Marlena Adach mrozą krew w żyłach i nie pozwalają, żeby w macicy zagnieździło się cokolwiek innego poza grozą.

– Dorota, nie ośmieszaj się! – warknęła teściowa, ale kobieta tylko machnęła ręką i poprowadziła policjantów na piętro, gdzie mieściło się pisarskie królestwo Daniela.

* * *

Samuel Kaszak z utęsknieniem czekał na moment, kiedy będzie mógł się zmaterializować. Nie chodziło mu o sam akt, bo to go wcale nie podniecało, ale o możliwość porozmawiania z tymi dwojgiem z biblioteki. Tymczasem oni bezczelnie wzięli wolne i najwyraźniej całkowicie o nim zapomnieli.

Nie miał racji, nie zapomnieli. Trudno jest zapomnieć o czymś takim, co określa się jako „incydent” i może świadczyć o jakiejś chorobie.

Ludzie chorób się boją (nic dziwnego) i w zasadzie je leczą, poza tymi, których się wstydzą. Przecież to katastrofa iść na przykład do wenerologa. Czasami jednak przychodzą, często z genitaliami w takim stanie, że żadne leki już nie pomogą, i oświadczają, że...

– No, trochę mnie piecze. To znaczy już przeszło, ale coś jest nie tak.

Lekarz nie bez zdziwienia odkrywa, że owszem, jest sporo nie tak, tym bardziej że rzeczone genitalia są fioletowe i obrośnięte zieloną pleśnią.

Ale genitalia to genitalia, gorzej jest niestety z chorobami psychicznymi. Dlatego każdy, kto się o taką podejrzewa, robi wszystko, żeby o niej zapomnieć. Bo jak to tak? Leczyć się? Przecież to wstyd!

Choć takie choroby nieleczone mogą być i bardziej widoczne, i niebezpieczniejsze, to jednak wstyd bierze górę. Zawsze lepiej biegać z siekierą, niż połknąć jedną czy dwie tabletki, a już nie daj Boże, żeby ktoś pod przychodnią cię zobaczył. No chyba że właśnie z siekierą. To jest w porządku.

Dlatego Gabi i Marcin o Samuelu nie myśleli, a on czuł się zawiedziony, więc wlaź do domu Grażyny – jednego z miejsc, gdzie mógł się zmaterializować. Co ciekawe, zauważył, że potrafi tu też rzucać książkami. Nożami próbował, ale nie był w stanie.

Wywalił regał książek i się zdenerwował, bo nie uzyskał żadnej interakcji. Poleciał zatem do domu swojego autora.

Choć w zasadzie powinno być mu tu dobrze, to jednak czuł się fatalnie. Jakby wcale nie istniał. To znaczy on, Samuel. Bo Adacha wszędzie wokół było pełno. Nie Adacha w jego fizycznej postaci, ale w formie obecności wszelkiego innego rodzaju.

Samuel nie lubił kontaktów z ludźmi. Potrzebny był mu jedynie pisarz, czyli jego własny autor, oraz zachwycony czytelnik. Takich Samuel kochał. Tych, w których zachwyty nie wzbudzał, nie cenił, a nawet trochę prześladował. Jednej recenzentce, która jego postać skrytykowała i miała książki nawet w łazience, co chwila spuszczał wodę w ubikacji oraz straszyl kota.

* * *

– Co robisz, niewdzięcznico?! Tam nie wolno wchodzić! – zawyła czupakabryczna teściowa.

A jednak weszli. Policjant i policjantka oraz oczywiście mamusia, no i żona, ale ta szła przodem i prowadziła ich bardzo chętnie do jaskini Iwa. Czy raczej do świątyni pisarskiego dumania, o czym nie omieszkała ich powiadomić matka autora.

Ta „świątynia pisarskiego dumania” trochę policjantów przstraszyła. Owszem, każdy gdzieś w życiu spotyka się z nadnaturalną człołobitnością – w domu, w pracy, a nawet na ulicy, ale nigdy nie jest to coś, z czym człowiek czuje się swobodnie. Owszem, pisarz może być wspaniałym facetem, pisarka genialną kumpelą, a aktorka piękną kobietą, ale nie są bogami. A przynajmniej nie powinni być.

Tego chyba nikt nie powiedział Marlenie, ale nawet gdyby powiedział, to raczej by nie dotarło. W końcu była matką, a matki mają swoje fiksacje.

Zresztą kiedy tylko tam weszli, zauważyli, że nie tylko matka autora miała z tym pewien problem, ale i on sam prawdopodobnie żywił głębokie przekonanie o własnej boskości.

Pewnie nie była to prawdziwa boska boskość, tylko literacka, ale zawsze.

Tym, co w pierwszym momencie zwróciło uwagę policjantów, była atmosfera tego miejsca – atmosfera kapliczna. Wszędzie był Adach. Na ścianach i półkach, na biurku i stoliku pod oknem, wszędzie był on, Daniel Adach w formie plakatów, zdjęć i przeróżnych gadżetów. Adach podpisujący egzemplarz powieści, przyjmujący nagrodę, pozujący z książką, Adach, Adach, Adach. Był też na podłodze i w łazience, w wannie i na kanapie, pod kanapą i na firankach.

Jeżeli ktoś teraz pomyślał o tym, że wybuchł i rozsmarowało go po ścianach, to nie, nie wybuchł. Wszędzie po prostu wałały się jego kłaki.

Dodatkowo łazienka wyglądała trochę makabrycznie. Krew na lustrze i kafelkach wiele mogła sugerować...

Nie, wcale nie zabójstwo, ale obdzieranie się z kłaków tępą brzytwą, bo wyglądało to tak, jakby ktoś się zaciał kilka, może kilkadziesiąt razy,

a nie jakby poderżnął sobie gardło.

– Boże kochany! Daniel się ogolił?! – Matka, straszliwie dumna z synowskiej przynależności do obrośniętych kłakiem męskich mężczyzn, prawie zemdląca.

– Nareszcie – jęknęła żona. – Już miałam dość okrucichów pizzy, które nosił na udach i plecach, o majonezie nie wspominając.

Adela, lekko pod wpływem i lekko po wpływie, zrobiła się zielona. O mało nie zwymiotowała. Facet z majonezem na plecach to nie była jej bajka.

– Przecież on śmierdział! – dodała po chwili Dorota gwoli wyjaśnienia.

W tym momencie książka z półeczki pod oknem poderwała się jakby do skoku i poszybowała przez kapliczkę. Poruszała się dość wolno. Wszyscy odwrócili wzrok. Takich rzeczy nie wolno widzieć.

Książka w dość elegancki sposób, taki jaki widuje się na filmach o duchach, przeleciała przed oczami zebranych, po czym walnęła w zdjęcie pisarza stojące w ramce na biurku. Podskoczyli bezwiednie, ale nikt nie zamierzał reagować.

– Nie obrażaj mojego syna! – wrzasnęła starsza Adachowa i trzasnęła młodszą w twarz. – Widzisz, co narobiłaś?! Widzisz? Rzeczy się dzieją! On ci tego nie wybaczy! Patrz! – Wskazała podłogę. – Okaleczył się! I to dla kogo? Dla ciebie!

– Jasne, powinien się okaleczyć dla mamusi. Jakby sobie pindola uciał, byłoby lepiej! – odwarknęła Dorota, wzbudzając u teściowej oznaki apopleksji.

Gdyby nie telefon policjanta, który zadzwonił (telefon, policjanci nie wydają takich odgłosów) i tym samym uratował sytuację, doszłoby do rodzinnej masakry.

Książka, zauważona przez wszystkich, choć niezauważona przez nikogo, podskoczyła i walnęła w okno.

– Te przeciągi są makabryczne – skwitowała Adela, wybiegając ze świątyni.

– No chyba że ktoś go zabił i on teraz objawia się jako duch – zauważyła Dorota.

– A żeby cię pokreśliło – powiedziała teściowa. – To przeciąg! Mój Daniel by tego nie zrobił!

– Nie zostałby duchem?

– Nie dałby się zamordować, kretynko!

* * *

Upiór zdawał sobie sprawę, że ludzie we wszystkich swoich złych czynach są o wiele lepsi od upiora, to znaczy gorsi, zdecydowanie ludzkie zło było bardziej upiorne od tego upiornego. Tylko ludzie byli w stanie wymyślić błędne koło biurokracji albo telemarketerów od fotowoltaiki czy garnków.

Teraz jednak upiór znalazł coś, co było tak doskonale straszne, że aż się uciszył.

Ludzie, te pieprzone gamajdy zaczynają się przekształcać w robakojady, a ten, kto je takie rzeczy, jest więcej niż zły – on odprawia czarownicze rytuały, sam o tym nie wiedząc. Już niedługo mąka z moli i kotlety z suszonych karaluchów sprawią, że mężczyźni zaczną latać na miotłach! Jak czarownice! Jak baby!

* * *

Ognisko się dopalało, szybkowar przestał szaleć. Saper oddelegowany od niewybuchów do szybkowara (i nieco zawstydzony tym faktem) zjawił się pod szopą, która malowniczo skwierczała, stękała, zgrzytała i cuchnęła czymś obrzydliwym.

– Nie chcę was martwić, ale kiedyś już to czułem – powiedział jeden ze strażaków.

– Co?

– Ten smród. Tak pachną ludzkie włosy. Często gdy znajduje się w pożarze ludzkie zwłoki, to właśnie coś takiego czuć, nie dokładnie, ale trochę tak – powiedział, patrząc na Pazurkową i na Grażynę, bo obie

były zainteresowane, Grażyna jako właścicielka szopy, a Pazurkowa jako właścicielka szybkowara.

– Co pani tam, do cholery, piekła? – Grażyna spanikowała, wyobrażając sobie ludzką głowę w szybkowarze.

– Nic nie piekłam, w szybkowarze się nie piecze. Gotowałam.

– Głowę?! – wrzasnęła Grażyna, nie mogąc pozbyć się sprzed oczu wyobraźni tego jakże fascynującego obrazu.

– Nie, no co pani, kurczaka.

– Czy to był kurczak rasy brahma i on się na panią rzucił i usiłował panią zabić, jak tego faceta w Irlandii? – zapytał policjant wciąż zaciekawiony obecnością krwi na ubraniach Pazurkowej, który należał też do ludzi zbierających ciekawostki internetowe.

– To był kurczak rasy kurczak i na nikogo się nie rzucił. Był bez głowy!

– To trzeba go było choć oskubać!

– Był oskubany!

– To skąd ten fetor?

Kiedy można już było wejść do szopy, która trochę nawet jeszcze stała, i doszczętnie spacyfikować szybkowar, okazało się, że jest w nim zwęglone mięso oraz...

– Co to, do cholery, jest?

– Kłaki.

Wszędzie, spalone albo nie, bo w niektórych zakamarkach ogień nie buszował, w szopie luzem oraz w szybkowarze zamknięte razem z mięsem kurczaka, były stopy kłaków. Czarnych, kręconych, a nawet wijących się kłaków.

Adela, która przybiegła tu na wezwanie z domu Adacha wraz z całą obstawą (bo nikt nie mógł zabronić matce i żonie zaginionego, a może i zamordowanego pisarza uczestniczenia w biegu przez żywopłotki, gdy tylko stało się jasne, że coś się dzieje), wiedziała, z czym ma do czynienia.

– Gdzie są zwłoki? – krzyknęła do Pazurkowej albo do Grażyny, albo w sumie tak ogólnie. – Gdzie są zwłoki Daniela Adacha?!

– Iiiiiii!!! – wrzasnęła matka domniemanego denata i padła, jak stała, a że stała przy płocie, wpadła na grabie.

Niby to mało logiczne, ale czy życie zawsze jest logiczne?

Żona tak jakby też zamierzała zemdleć, to w końcu obowiązek żony – nic tak nie potwierdza i nie dowodzi miłości małżeńskiej jak omdlenia, z braku ciężowych mogą być zwykłe – ale chyba się powstrzymała.

– O Santa Madonna del Fiore! – krzyknęła i upadła na kolana, jakby miała zamiar się modlić. – Ktoś go zabił, zabił, o Boże, to musiał być on, ten Kopydło!

Problem polegał na tym, że Kopydło leżał właśnie na stole sekcyjnym i miał niewiele do powiedzenia na ten temat. Za to zwłoki Daniela gdzieś tam jeszcze przebywały – nie było pewne, czy na pewno martwe, w każdym razie nieodnalezione.

– Dlaczego sądzi pani, że ktoś go zabił? – zapytała Adela, bo nie wszystko jej się tu zgadzało. Owszem, znaleziono części ciała należące do Adacha, ale takie części jak paznokcie i włosy, a nawet kłaki (niektóre wyglądały na łonowe, choć nie musiały nimi być) nie świadczyły jeszcze o zabójstwie. Nerka, serce czy mózg, owszem, sugerowałyby pewne makabryczne konsekwencje, ale nie owłosienie. – Jeszcze w domu była pani zadowolona, że się ogolił mimo śladów masakry na ścianach, a teraz pani uważa, że ktoś go zabił?

– Bo w domu... Bo... On by nie rozrzucił tak swoich włosów, przecież to przynosi nieszczęście. Ptaki je zbierają na gniazda i człowiek łysieje, o, takie coś.

– To co mógłby zrobić?

– Dobrze jest włosy spalić, więc to akurat rozumiem, ale wczoraj był chyba poniedziałek, a nie wolno się strzyć w poniedziałki, bo to przynosi pecha. Zresztą nie tylko o to chodzi. Bo jeżeli nie został zabity, to ja go zabiję. On się ogolił... cały, tak? A plecy?

– Co z plecami? – Adela nie rozumiała.

– No sam ich nie ogolił, więc jak się ogolił? Komu na to pozwolił? Zdradził mnie!

Nikt w ogóle nie rozumiał, co wspólnego miało golenie z całą sprawą, bo jeżeli ktoś zabił Daniela, to po co by go strzygł? Dla zatarcia śladów? Przecież w ten sposób powstało ich o wiele więcej. Jeśli natomiast Daniel sam się ogolił, to w jakim celu? Żeby się ukryć? Zmienić? Przepoczwarzyć? Taki akt przepoczwarzenia jakoś musiał albo choć mógł wiązać się z morderstwem. A jeżeli wiązał się z morderstwem, to najpewniej miał Adachowi pomóc w ucieczce. A kto ucieka? Kto się ukrywa? Morderca.

Wnioskowanie o zdradzie z kłaków, spalonych czy nie, było bardzo zbliżone do wróżenia z fusów.

– Pani Pazurkowa – zmieniła temat policjantka – jak to się stało, że zostawiła pani szybkowar włączony na tyle czasu? Nie zdawała sobie pani sprawy z niebezpieczeństwa?

– Nie był włączony. Przecież to szybkowar, pogotowałam z dziesięć minut i wyłączyłam. Miało być na rano. Mogłam nie wyciągnąć wtyczki z kontaktu i coś się spieprzyło.

– A kłaki?

– Żadnych kłaków nie widziałam, no ale była noc, mogłam nie zauważyć.

Takiej ilości owłosienia nie dałoby się nie zauważyć, nawet gdyby Pazurkowa szykowała jedzenie po omacku, w zupełnych ciemnościach.

– Czyli ktoś je dostarczył już potem, może nawet nad ranem? Wepchnął do gara, zamknął i postanowił gar włączyć? A część kłaków rozsypała mu się po drodze?

Tak to mogło wyglądać przy dużym spożyciu alkoholu, bo kłaków wszędzie było pełno, jakby ktoś nimi siał. Może celowo?

– Chyba że – wtrąciła Dorota – ktoś mojego męża uspił albo dał mu pigułkę gwałtu, ogolił go i rozsypał te włosy, żeby sprowadzić na niego pecha? No i... dlaczego dzisiaj?

– Nie uważa pani, że to bzdura? – zdziwiła się Adela.

Dorota jawiła jej się jako dość dziwna osoba – czasami asertywna, a czasami zagubiona, pełna szalonych sprzeczności.

– Nie, nie uważam. On jest bardzo zdolny... One! One mogły to zrobić! Z zawiści. – Wskazała palcem Grażynę, ale było wiadomo, że tym oskarżeniem obejmuje wszystkie pisarki, a kto wie, czy nie wszystkie kobiety.

– Ale pigułka gwałtu? Skąd ten pomysł? – Adela jakoś nie mogła nadażyć za tym tokiem myślenia. – Żeby kogoś ogolić? To naprawdę głupie.

– A może to ta glebogryzarka go dopadła i obdarła z kłaków? Grażyna, mówiłaś, że tam jakąś masz – odezwała się Gośka. – Wszedł tu, a ona go dopadła?

– Tu nie ma żadnej glebogryzarki – powiedział strażak, przeglądając spalone sprzęty.

Było tam dużo plastikowych kluchów, które nawet szybko stygły, a były kiedyś wiadrami i miskami, było trochę spalonych gumowych węży i jakieś metalowe rzeczy, które kiedyś mogły mieć nawet drewniane trzonki czy styliska, coś jakby osmalone kosze, bo szopa była spalona tylko częściowo, oraz...

– Hmm – mruknął, podnosząc coś z ziemi – a to, co to jest? Klucz? Pani to weźmie, posterunkowa.

Oddał klucz Adeli, która natychmiast włożyła go do foliowej torebki. Był toporny.

– Muszę panią rozczarować, nie ma tu żadnej glebogryzarki – powtórzył strażak żartobliwym tonem, zwracając się do Gośki. – Nawet ogrodowej, a co dopiero rolniczej.

Jak stworzyć bohatera idealnego – przeczytał Samuel tytuł jednej z książek, którą zamierzał rzucić. Zawahał się. Pomyślał, że to może mu się przydać.

Rozwazał self-writing – coś, co jeszcze nie istniało, ale mogło się sprawdzić. W założeniu było zbliżone do self-publishingu, tyle że dotyczyło pisania, nie publikowania. Otóż Samuel pomyślał, że może mógłby pisać siebie sam.

Nie wiedział jeszcze, jak to ugryźć, ale zamierzał sprawę przemyśleć.

* * *

– Idę do domu – stwierdziła Grażyna, zmęczona szaleństwem wokół szopy. – Przyniosę aparat, porobię zdjęcia. Dom jest ubezpieczony, szopa raczej też, będę miała dla ubezpieczyciela.

– Policja ci da – fuknęła Adela, ale Grażyna nie chciała jej nawet słuchać.

– Niby tak, niby to prawda, ale czasami lepiej mieć swoje.

– Jak tam chcesz.

Adela właściwie też uznawała zasadę „przezorny zawsze ubezpieczony” i choć istniały małe szanse, że wszystkie zdjęcia gdzieś się zawieruszą, że padną wszystkie aparaty i karty pamięci, to wciąż posiadanie własnych miało sens. Tym bardziej że Grażyna chciała obfotografować szopę tak, żeby pokazać zniszczenia, a nie ewentualne miejsce zbrodni, choć w tym wypadku było to jedno i to samo. Uważała jednak, że intencja się też liczy.

Poszła do domu.

Weszła do salonu.

Dostała zawału.

– O kurwa! Tu ktoś był! – wrzasnęła przez okno, zawracając już szykując się do odjazdu samochodu z technikami.

Stwierdzenie, którym się posłużyła, było nieprecyzyjne. Powinna była od razu krzyknąć, że chodzi o stado dzikich małąp albo słoni – bo tak właśnie wyglądał salon, z którego, choć w tym momencie nie dało się tego stwierdzić na pewno, raczej nic nie skradziono.

Panował tylko bałagan. W przeważającej części książkowy.

Książki leżały wszędzie, wały się po podłodze, na stole, pod stołem i koło biblioteczki, przywalały wszystko inne, a nawet prawie całkowicie zawały wejście.

– Proszę tam nie wchodzić! – zawołała Adela.

Wysłała techników, żeby wszystko sprawdzili. Sprawa nie była istotna i nikt by się nią najpewniej nie zajmował, gdyby nie zabójstwo – mogła się z nim w końcu jakoś wiązać.

* * *

Pośrodku tego bałaganu, całkowicie niewidoczny dla kogokolwiek, siedział Samuel i czytał.

* * *

Wieczorem, przy drinku, którego nikt nie chciał sobie odmawiać, wszystkie trzy pisarki oraz Gabi, Adela i jedyny przedstawiciel płci męskiej Marcin usiedli na tarasie domu Grażyny, żeby się zastanowić, co właściwie się dzieje. I co z tym zrobić.

Z jednej strony była policja, co oczywiste, i ta policja powinna znaleźć sprawcę, ale bez pełnej wiedzy mogła mieć kłopoty w zrozumieniu całości.

A pełnej wiedzy policja mieć nie mogła, bo ani Grażyna, ani Gośka, nie mówiąc już o Marcie, nie zamierzały opowiadać oficjalnie o swoim pierwotnym planie.

– Ale dlaczego nie? – zdziwiła się Adela, bo ona optowała jednak za tym, żeby pisarki wszystko wyznały aspirantowi Mroczkowi.

– A dlatego, że potem to wyjdzie!

– No ale co to za problem?

– A taki, że będą się z nas śmiać, że takie zachłanne jesteśmy na promocję! To byłoby poniżające! Nie możemy do tego dopuścić!

– Ale przecież... – Adela chciała im uzmysłowić, że właśnie taka jest prawda: są zachłanne na promocję, ale tylko machnęła ręką.

Dlatego śledztwo musiało iść dwutorowo – policyjnie, ze wszystkimi procedurami, i nieoficjalnie z pomocą Adeli, co gwarantowało, że nie dojdzie do jakiejś większej katastrofy, bo do mniejszych dojdzie na pewno, to nie ulegało wątpliwości. Policjantka nie powinna się była na to godzić, ale miała w tym pewien cel – taki, który zabłyśnie gwiazdkami na jej pagonach, oczywiście nie od razu, ale kiedyś na pewno. No i jakby to powiedzieć... Marcin był przystojny.

– Co wiemy? – zapytała Grażyna.

Nikt właściwie nic nie wiedział, ale ona chciała pokazać, że przejmuje dowodzenie, bo przecież jako pisarka jest bardziej znacząca od wszystkich innych pisarek oraz od policjantów i bibliotekarzy razem wziętych. Była osobą świadomą, że jest najważniejsza na świecie, i dobrze, że nie obracała się w kręgach dyplomatycznych, bo pewnie usiłowałaby o tym przekonać kilku prezydentów, a może i jakiegoś szacha. I raczej nie zrobiłaby tego dyplomatycznie.

– Filip Kopydło, trzydzieści dwa lata, urodzony w Tęczowie. Tu chodził do podstawówki i liceum.

– Wiem, do prywatnego, tego samego co ja – stwierdziła Gabi.

– I ja – dodała Adela.

– To jakieś dobre liceum? – zapytała Grażyna.

– Drogie jak piorun – jęknęła policjantka.

– To znaczy, że jego rodzice byli zamożni?

– Nie, miał tam jakieś stypendium... – Gabi się zastanowiła. – Nie, już pamiętam, ktoś z jego rodziny pracował w szkole i dlatego Kopydło miał obniżone czesne. Bardzo wielu z nas korzystało z takiej zniżki, klasy były przepiękne, bo szkoła przez chwilę była bardzo modna.

– A Daniel? Też tam chodził?

– Tak, dwie klasy wyżej. Jego mamunia była tam nauczycielką, a później chyba dyrektorką.

– A potem?

– Co niby potem? O co pytasz?

Wszystkie panie chętnie przeszły na ty, no może Gośka trochę się burmuszyła, bo nie dało się tego połączyć z wymienianiem nazwiska. A ona lubiła, żeby ludzie ją dostrzegali jako autorkę i żeby o niej mówili jako o autorce. Łatwiej przecież przychodzi „Kowalska, ta pisarka” niż „Gośka, ta pisarka”. (Oczywiście nie nazywała się Kowalska. Gdyby tak było, zmieniłaby nazwisko choć trochę, na przykład na Kotalska, i już by było super!)

Ludzie oczywiście nie rozumieją tych tak częstych w pisarskim świecie zachowań, bo widziane z zewnątrz wydają się dziwaczne, a nawet przesadzone, choć panią z ustami XXL na Instagramie każdy potrafi zrozumieć, a przecież to to samo. Tyle że pisarz przecież nie będzie sobie robił takich ust, a mózgu się ani nie powiększa, ani nie pokazuje – ten organ nie interesuje nikogo poza psychiatrami.

– Pytam o wszystko, przede wszystkim o szkołę, bo skoro i Adach, i Kopydło się tam uczyli, może ma to jakieś znaczenie.

– Eeee, nie może mieć. To było ponad piętnaście lat temu. I co? Ktoś miałby zabić, bo kolega z ławki lata temu nie dał mu ściągi?

– Oj, różnie to bywa. Ludzie żyją sobie niby zwyczajnie, aż budzą się pewnego dnia i stwierdzają, że ta ściąga przekreśliła mu życie oraz karierę. I jakkolwiek to bezsensowne, idą się mścić!

– Nic się wtedy nie działo. – Gabi wzruszyła ramionami.

– A nawet jeżeli, to byliśmy gówniarzami, nie interesowaliśmy się czymś takim – zawtórowała jej Adela. – Dla nas wtedy ważna była fryzura jakiejś Kaśki, a nie przekręt nauczyciela czy kogoś tam.

– A były jakieś przekręty? Nauczycieli? – zapytała Gabi zdziwiona.

– No ja tam do tej szkoły nie chodziłem – wtrącił Marcin – ale pamiętam, że było w sumie głośno.

– O czym?

– Oj, o tym, że to głupia szkoła, że nauczyciele są bez papierów, że nic się tam nie robi, że rodzic płaci i wymaga... dobrych stopni. W sumie to, co zawsze, hejt istniał, jeszcze zanim zaczęła istnieć sieć,

tylko inaczej się nazywał – westchnął. – Ty, Grażyna, a ten bałagan w salonie, to jak sądzisz? Kto go odwalił? Bo przecież nie było trzęsienia ziemi ani policja tam nie grzebała.

– Matka Daniela? To mogła być ona, tylko nie wiem, po co by to robiła. No ale ona jest nienormalna. Może chciała odwrócić uwagę od syna?

Marcin nagle pomyślał, że ten książkowy bałagan właściwie nie musiał służyć do odwracania uwagi, ale do jej przyciągnięcia. Popatrzył na Gabi, mrugnął do niej znacząco, choć dyskretnie, po czym zapytał właścicielki:

– Mogę iść się rozejrzeć?

– A idź – powiedziała Grażyna z uśmiechem – tylko dziada z babą tam brakuje.

Marcin pomyślał, że dziada z babą może tak, ale niewykluczone, że nie brakuje pewnego dziwnego bohatera literackiego, którego podejrzewał o ten wygłup.

Wygłup... No tak, w naszym realnym, zwykłym świecie Marcin miał prawo uważać to za wygłup, a w rzeczywistości bohaterów literackich to mogło być wołanie o pomoc albo o uwagę, bo niewątpliwie wymagało sporo wysiłku i poświęcenia.

* * *

Dwie starsze panie siedziały w mieszkaniu i z zapamiętaniem tłukły w klawiatury laptopów, a od czasu do czasu majtały myszkami, bo touchpady je denerwowały. W końcu w pewnym wieku ręce są mniej sprawne, a mysz to mysz.

Gdyby ktoś spojrział na ekrany tych laptopów, spodziewając się zobaczyć scrollowaną właśnie zawartość Facebooka albo jakiegoś pasjansa, srodze by się zdziwił.

Babcie szalały właśnie po dzikich ostępach internetu i czuły, że są komuś potrzebne. Jedna z nich podśpiewywała: „Nie dla mnie

bawienie wnuków” na melodię starej piosenki Wojnickiego z 1966 roku, zaczynającej się od słów: *Nie dla mnie sznur samochodów...*

One realizowały się inaczej. Agresywniej. Początkowo bawiły się wyłapywaniem oszustw matrymonialno-finansowych, tych sławnych lub niesławnych „amerykańskich generałów” z Facebooka, ale to była bułka z masłem. Żeby choć trochę utrudnić sobie życie (kochały wyzwania), zaczęły pomagać swojej siostrzenicy, która przerwała rodzinną tradycję, nie urodziła dziecka w wieku szesnastu lat, ale poszła do policji.

* * *

Marcin nie za bardzo wierzył w to, co wymyślił, ale mimo wszystko postanowił to sprawdzić. Zszedł z tarasu, okrążył dom i wszedł na schody. Na piętrze na wprost znajdował się salon zavalony wciąż książkami, których początkowo nie pozwolono Grażynie sprzątać, a potem jej się po prostu nie chciało.

Na środku siedział Samuel w kapeluszu.

– Widziałeś?! Kapelusz mi napisał – powiedział z czymś pomiędzy zadowoleniem a niechęcią.

Kapelusz był pokraczny i dość bezsensowny. Trochę jak u Kapelusznika, tego szalonego z *Alicji w Krainie Czarów*.

– Czyli żyje?! – ucieszył się Marcin.

Mniej więcej po tę wiadomość przyszedł. Może nie była na sto procent pewna, ale lepsze to niż nic. Skoro Adach pisze, musi żyć, tak sobie to Marcin wyobrażał.

– Chyba żyje, skoro cokolwiek napisał, ale seksu jeszcze brak, wydusił z siebie tylko kapelusz. Sam nie wiem, po co bosemu facetowi kapelusz, mógłby mi buty napisać, nie? I on jakoś tak... No, nie wiem... Miota się. A ja znalazłem kilka książek do samorozwoju.

– Samorozwoju?

– No, do samorozwoju, takie jak *Bohater literacki – poradnik* albo *Tworzenie wyrazistego bohatera literackiego*. Czytam, sam siebie stworzę!

– Buty też? – roześmiał się Marcin.

– Butów pewnie nie, ale może charakter! Będę wyrazistszy! Rozumiesz? – Samuel puścił oko do Marcina. – Nie będzie autor truł mi dupy, że wena go opuściła, czy wciskał innych głodnych kawałków!

Przez chwilę Marcin nie wiedział, co ma odpowiedzieć, bo stan ducha czy przyływy weny Daniela dla niego akurat nie miały znaczenia, choć dla Samuela były zdecydowanie ważne. Z drugiej strony jasne jest, że wiedza to coś, co się wyciąga, a nie dostaje.

– Mów, mów dalej, może to nam pomoże? – zachęcił Marcin Samuela, ale ten nie był zachwycony pomysłem.

– A tam, pomoże. Nie idzie mu, to jest czwarty kapelusz, jaki mi dał, i wciąż go zmienia, nawet cylinder miałem. Bezsens.

– A o morderstwie może coś pisał? – Marcin próbował go naprowadzić na właściwie tory albo choć ciekawsze spostrzeżenia.

– No przecież jestem detektywem! On cały czas pisze o morderstwach, w jednym tomie nawet znajdowałem wydłubane oczy. Okropne to było. Potem zmienił je na dwie sztuczne szczęki, też okropne, ale bardziej żałosne. Mam czasami wrażenie, że on jest do niczego. Ostatnie dwa tomy to naprawdę żenada. Nikt ich nie chciał wydać.

Marcin popatrzył na Samuela trochę niepewnie.

– Tobie tak wolno? O własnym autorze mówić źle? To w ogóle wypadła? Nie wstyd ci? – rzucił karcącym tonem.

– A czemu ma mi nie być wolno? Jestem tylko wytworem wyobraźni, mogę wszystko! W pewnych ogólnych zakresach, jak wiesz. Zero seksu – jęknął. – Ale z tym szpinakiem to on przesadza.

– Z jakim szpinakiem? I co do tego ma szpinak?

– Dotychczas jeżeli jadłem, to coś konkretnego, pisał mi na przykład: *Zamówił kufel piwa i miskę flaków* albo jakąś golonkę, czasem gołąbki, raz kurczaka, i to pasowało do detektywa, a teraz tylko szpinak i brokuły. Jakby ze mnie jakiegoś jarosza chciał zrobić. O, i mąkę ze świerszczy kazał mi znaleźć w szafce i zrobić z niej naleśniki. Poważnie. Coś mu

odbiło. Z autorami czasami jest koszmar. Ile razy mu mówiłem, żeby nie przeciągał tego czy innego dialogu albo tych pieprzonych opisów, bo ludzie posną, a ja zdechnę z głodu, ale nie, to do niego nie przemawia. A raz nawet jedną moją jakby dziewczynę posłał nocą na cmentarz. Debil.

– No ale... chyba miał prawo?

– Boi się cmentarzy – wyjaśnił Samuel.

– Daniel?

– Nie, ta dziewczyna...

Tego to już Marcin nie pojmował.

– Przecież bohaterowie muszą robić, co im każe autor! Muszą, nie mają wyjścia! Tak to działa! – Marcin książki czytał i rozumiał, ba, nawet znał się na wielu aspektach prowadzenia akcji, fabuły czy innych wcale nie drobiazgów, ale sam nie pisał, a to wiele zmienia.

Samuel roześmiał się złośliwie i zrobił naprawdę wredną minę.

– Chyba śnisz! Nic nie wiesz o pisaniu! – Skrzywił się z wyższością. – Oczywiście, buntu podnieść się nie da, ale jak autor za bardzo chce nami rządzić, to wszystko robi się tak kulawe, że każdy redaktor to wytknie. I wytnie! Z nami trzeba się liczyć, a nie, że dziewczynę, co ma alergię na jad pszczele, wysłać do ula tylko po to, żeby ładnie spuchła! Kto w to uwierzy? Bohaterowie literaccy też mają prawa!

To stwierdzenie zapachniało Marcinowi Facebookiem, bo tam to wszyscy teraz mieli prawa, ostatnio nawet ktoś podesłał mu petycję w sprawie niezwywalnych mykologicznych praw grzybów i grzybni. Nie wiadomo, czy nie był to żart, bo na Facebooku wszystko jest możliwe, ale prawa bohaterów literackich wydały mu się jeszcze mniej realne.

– Zdurniałeś? W jakim świecie ty żyjesz? – jęknął ze zgrozy. Jego dotychczasowe podejście do książek, a nawet nieśmiałe przebłytki chęci tworzenia zostały starte na proch.

– W literackim! – odburknął dumnie Samuel.

- Ale świat literacki jest dziełem autora! - zaprotestował Marcin pewien, że ma rację.

- Jasne, ale nie aż tak, jak myślisz. Musi być prawdopodobny! Czasami bardziej niż ten wasz realny, inaczej wszystko jest bez sensu!

Marcin wyszedł za drzwi. Po chwili jednak przystanął i zawrócił.

- Co ty powiedziałaś? - zapytał z lękiem w głosie.

- Że kiedy w książce nie ma realizmu, to jest bez sensu.

- Nie, chodzi mi o ten samorozwój.

- A, to... Mówiłem, że będę wyrazistszy!

Marcin złapał się za głowę.

- O Boże, tylko nie to! - krzyknął i usiadł na kanapie.

* * *

- Czyli ten Kopydło, nasz denat, po coś tu przyjechał - westchnęła Adela.

A przecież bardzo rzadko zdarzają się ludzie, którzy gdzieś przyjeżdżają literalnie po nic. I to zazwyczaj jest podejrzane. Nawet celnicy, gdy słyszą, że ktoś przyleciał do jakiegoś kraju, bo chciał go tylko zobaczyć, od razu trzepią go dokładniej, ponieważ pewnie narkotyki przewozi.

- Ciekawe, czy przyjechał służbowo - zastanawiała się Gabi.

Ta informacja rzeczywiście coś by im wyjaśniała. Jeżeli był detektywem - a wszyscy wiedzieli, że był - mógł przybyć w jakiejś konkretnej sprawie, ale był też człowiekiem i dawnym mieszkańcem Tęczowa, więc mógł też przyjechać tu zupełnie prywatnie. Mówi się, że detektyw pozostaje detektywem nawet w tym drugim przypadku, no chyba że idzie do kibla. Co tutaj akurat, jak się potem okazało, się nie sprawdziło.

- Możliwe, że tak, ale czego szukał? - Myśli Adeli też wędrowały w tym kierunku. Była podejrzliwa.

– Kręcił się koło domu Daniela – przypomniała Grażyna. – I nawet miałam wrażenie, że tam wchodził, a na sto procent rozmawiał z Danielem w ogrodzie, czyli miał z nim coś wspólnego.

Samo kręcenie się koło domu poczytnego pisarza jeszcze z nikogo mordercy nie robi, szczególnie kiedy jego zwłoki (to znaczy ciało tego, kto tam się kręcił) leżą sobie w kostnicy.

Ale istnieje jeszcze stalking.

Ludzie stalkują celebrytów, a choć pisarze prawie w ogóle nie bywają celebrytami, to jednak każdemu może odbić. Jakaś szalona miłość do książek, jakieś szaleńcze uwiedzenie słowem, a to zdarza się najlepszym – i już pisarz może mieć na karku wariata, który zacznie przychodzić z książkami po autografy trzy razy dziennie, a jak kiedyś spotka się z odmową, zamiast z książką przyjdzie z nożem.

Adela odebrała jakiegoś SMS-a i po chwili, zarzekając się, że to wszystko musi pozostać między nimi, uchyliła rąbka tajemnicy. Nie, wieści nie pochodziły ze źródeł policyjnych, a od jej ciotek, dwóch starych panien, które z szaloną namiętnością wspierały bratanicę w policyjnej pracy, gdyż same nie mogły jej wykonywać.

To było w zasadzie największą tajemnicą, bo po pierwsze, Adela nie chciała ujawniać źródeł, a właściwie przyznawać się, że połowa jej czasami spektakularnych sukcesów to działanie ciotek, a druga sprawa, to że wolała się tą wiedzą nie dzielić z innymi policjantami. Owszem, duch współpracy to ważna rzecz, ale duch rywalizacji – jeszcze ważniejsza. Paski i gwiazdki same na pagony nie wskakują, a ona była ambitna.

Dlaczego nie korzystała z oficjalnych, policyjnych źródeł? Korzystała, ale jej nie wystarczały.

– Filip Kopydło był zatrudniony w agencji „Detektyw do wszystkiego” w Warszawie. Nad niczym jednak w Tęczowie oficjalnie nie pracuje, to znaczy nie pracował. Przyjechał tu prywatnie, choć jego przełożeni sądzili, że miał coś do sprawdzenia. Czyli chyba został wynajęty, ale nie za pośrednictwem agencji. To było coś zawodowego, ale też na wpół

prywatnego – relacjonowała. – Żony i dzieci brak. Samotny, oddany pracy. Przyjechał kilka dni temu. Zakwaterował się w hotelu Tęczowianka. Ma tu wielu znajomych, spotykał się z dawnymi kolegami ze szkoły. Na Facebooku odgrażał się, że zdobędzie dowody i raz na zawsze zamknie sprawę.

– Jakie dowody? Jaką sprawę?

Nikt nie był pewny. Mogło to być coś tutejszego, a właściwie nie tyle mogło, ile musiało. Kopydło na FB udzielał się na fanpage’u miasteczka, więc prawdopodobnie chodziło o coś, co ludzi interesuje, ale...

– Może w wiadomościach prywatnych coś komuś powiedział? – zastanawiała się Adela. – Zdobędziemy dostęp, ale to potrwa.

Liczyła na ciotki, które były już w babcięcym wieku i naprawdę nie miały nic innego do roboty, jak tylko szaleć po internecie i używać tam swojej wiedzy. Czasami nawet informatycznej.

– Czyli to musi być sprawa stąd, a jednocześnie raczej prywatna, bo takie ogłaszanie na FB, że się coś tam nagłośni, jest dość nieprofesjonalne. Śledztw związanych z firmą nie traktowałby w ten sposób. Nie wolno by mu było tego robić.

– Czyli ktoś go wynajął prywatnie? No, rozumiem, ale nagłaśnianie takich spraw też chyba nie powinno mieć miejsca. Jeżeli ktoś zatrudnia prywatnego detektywa, to chyba po to, żeby coś zrobić po cichu.

Wszyscy pokiwali głowami i pomyśleli, że takie zachowanie ze strony detektywa to jeden wielki idiotyzm. Teksty takie jak te, które wypisywał, bywają bardzo, ale to bardzo obosieczne.

– Takie stwierdzenie dociera do różnych osób i jako że nikt nie wie, o kogo chodzi, wszyscy myślą, że o niego.

– Uderz w stół i nożyce się odezwą?

– No, tu wyraźnie się odezwały, Daniela ktoś opitolił.

– A Filipa zabił.

– To Daniel – westchnęła Marta – to musiał być on. Inaczej tego nie widzę. Kto inny mógłby być w to zamieszany?

– Ale w co?

– Przecież chodzi o promocję, nie? O naszą wspólną promocję! – odparła Gośka ze złością. – Daniel wymyślił, że ucieknie i będzie wyglądał na zabitego, to znaczy będzie udawał, że nie żyje. My miałyśmy się wkręcić i naprowadzić opinię publiczną na klimaty pisarskie. Żeby uciec, musiał się ogolić, bo inaczej każdy by go rozpoznał. Logiczne, prawda? Na pewno zaprosił do akcji Filipa, żeby jako detektyw sprytnie pograł sobie z mediami. I tu sprawa się rypla jakoś, nie wiem jak, ale się rypla.

– Rypla? – Adela powtórzyła to mimowolnie.

– No, ktoś zabił Kopydłę, więc trudno uznać, że się nie rypla! Tylko nie wiadomo dlaczego.

– Amok? Atak paniki? Pokłócili się?

– Kto, do jasnej cholery, masakruje w tak straszny sposób zatrudnionego przez samego siebie detektywa tylko z powodu kłótni? – jęknęła policjantka, bo trochę się znała na tego typu sprawach.

– Psychol?

– Czy Daniel był psycholem?

– Jest. Jest! Pamiętacie, jaka była afera ze strażakami na SOR-ze, jak mu się kłódka na genitaliach zatrzasnęła?

Grażyna sprawę znała, ale reszta nie. Gośka i Marta o niczym nie wiedziały, bo nie były stąd i w zasadzie miejscowe plotki nie miały do nich jak dotrzeć. Do Adeli gdzieś coś dotarło, ale jej nie zajmowało – zbrońcy interesują policję tylko wtedy, kiedy robią krzywdę innym, kiedy robią krzywdę sobie, podlegają pod leczenie psychiatryczne. Gabi o tym słyszała, bo miała koleżankę na jednym z oddziałów w tutejszym szpitalu, ale nie wierzyła jej za bardzo, bo ona z kolei wierzyła w różne brednie, włącznie z krokodylem wyłazającym z toalety i UFO nad dyskoteką.

– To wszystko wynikało z researchu! – tłumaczył się potem Daniel Grażynie. – Musiałem zobaczyć, czy się da, bo potem ktoś by mi na portalu napisał recenzję i wytknął w niej, że zapięcie

genitaliów kłódką jest niemożliwe. I teraz wiem, jest możliwe, niemożliwe jest potem wypięcie się z tej kłódki, zwłaszcza jak jaja ci spuchną, a kluczyk wpadnie do kibelka!

Pisarstwo jest niebezpiecznym zajęciem. Na szczęście większość pisarzy nie prowadzi researchu na sobie samych. Ci, którzy prowadzą, udowodnili, że można sobie wybić dwa zęby drzwiczkami od mikrofalówki, spalone brwi nie odrastają w jedną noc, a teściowie nie lubią lodów śledziowych.

* * *

– O! Znów coś się dzieje – powiedział Samuel.

Wstał i pomacał się po głowie, na której nie było już kapelusza. Zresztą nagle wszystko inne też mu zniknęło.

– Pisz mi nowe ubranie, tamto skasował. – Stał nagi przez Marcinem i zaczął drapać się po jajach.

– Co robisz? Zdurniałeś?! – wrzasnął Marcin zniesmaczony.

– To nie ja, to on. Podobno jestem za mało męski. Faceci muszą się drapać po jajach.

– Idź się drap gdzieś indziej, zboczeńcu!

– Ej ty, trochę tolerancji! Zaraz mi coś napisze... albo znów zostawi mnie gołego na cały tydzień i wyjedzie do Warszawy, bo mu się tworzyć nie będzie chciało. Wiesz, jak to jest? Ludzie w internetach zakochują się w różnych bohaterach literackich, a nikt nie wie, jak ciężko się takiemu komuś żyje. Czytelnicy bywają bez serca... Taki Herkules Poirot na przykład. On nienawidzi wąsów, nienawidzi ich, a weź, pokaż mi jakiego czytelnika, co go sobie wyobrazi bez nich. Ani jeden! A ci, co kochają powieści bez happy endu? No? Popłaczą sobie i odłożą książkę, a bohater cierpi potem przez wieki! Na FB wciąż powtarzają: „Żyj tak, aby nikt przez ciebie nie płakał”, a tacy autorzy co robią? Potoki łez wywołują! Całe potoki! Zabiłbym mojego autora, gdybym tylko mógł! No chyba że wreszcie napisze mi trochę seksu.

Nagle Marcin wpadł na myśl, która jak by nie patrzeć, wydała mu się genialna.

– Ty wiesz może, gdzie on jest?

– Kto?

– Daniel, twój autor, no a kto?

– Jasne, że wiem – odpowiedział Samuel i zaczął się drapać jeszcze intensywniej.

– No, tego to już ci chyba nie napisał.

– Czego?

– Tego speedu w drapaniu...

– Napisał, że coraz bardziej jaja mnie swędzą.

– Dobra, wszystko jedno, tylko się nie obwąchuj! Fuuuj! Gdzie on jest?

– No gdzieś tu. – Samuel pokręcił głową niepewnie.

Marcin się ucieszył, bo taka wiadomość wydawała się interesująca i nader konkretna.

– Czyli? Gdzie dokładnie?

– A skąd mam wiedzieć? – zdziwił się Samuel, jakby zapomniał, co przed chwilą sam powiedział.

– Zaraz ci przypierdolę! – wrzasnął Marcin zdenerwowany popisami genitalnymi Samuela, nadal gołego, za to znów w kapeluszu.

Samuel się obraził.

– Ej ty, nie wymagasz ode mnie za dużo? Najpierw nie wierzysz w moje pieprzone istnienie, a teraz chcesz, żebym układał ci świat? Jak te wszystkie czytelniczki, co tylko czytają romanse, a potem mają do swoich facetów pretensje, że oni im brylantów nie kupują. A ci faceci co? Nienawidzą nas, biednych bohaterów literackich, tak że aż mordują nas w snach! Przecież powiedziałem, że wiem, gdzie on jest, ale nie wiem, gdzie jest to miejsce! Rozumiesz?

– Nie. Nie rozumiem – westchnął Marcin skonsternowany.

– To proste. Ja nie widzę... To znaczy nie mogę tam tak sobie wejść, mam z nim kiepski kontakt emocjonalny. Czasami on coś mówi albo pisze i miewam pewne odczucia... Wiem na przykład, że tam jest biurko. Laptop. Okno... Szafa. Lampa...

– No ja pierdolę, wszędzie tak jest, u mnie w pokoju też, dokładnie wszystko to samo!

– Może nie takie samo?

– Na sto procent nie, ale w tym mieście są setki, a może tysiące takich miejsc, o ile mówimy tylko o Tęczowie.

– Mówimy o Tęczowie, bo podobno z okien widać pomnik motyla.

Od jakiegoś czasu nazwa miasta bardzo wszystkich interesowała. Nie wiadomo było, od czego pochodziła, a wielu wołało, żeby jednak nie od tęczy, ze względu na konotacje seksualne (tak, istniała grupa radnych, którzy w tęczy widzieli narząd rozrodczy męski). Postanowiono więc, że w centrum powstanie pomnik motyla, który nazywa się mieniak tęczowiec. Owad to owad (możliwe, że nawet jadalny) i wszystko jest jak trzeba, i nie ma nic wspólnego z tęczą, choć z miastem też jakby nie, bo dębów było tu mało, a on żyje w dębinie.

No, ale jako że upomniczenie jest też jakby upamiętnieniem, a upamiętnienie wywyższeniem, to po konkursie, jaki rozpisano, kilka osób pobiło kilka innych, a projekt, który wygrał, stanął pośrodku rynku.

Pomnik przypominał nieco rozwartą paszczę węża albo tasiemca uzbrojonego w wilcze kły, którymi miał bronić miasta. Paszczę zawieszono na wysokości dziesięciu metrów. W tej formie niektórym przypominała też genitalia, ale tym razem żeńskie, czyli uzębioną, żarłoczną macicę.

Ludziom trudno dogodzić. Wszędzie widzą tylko ten seks.

U większości jednak pomnik po prostu powodował koszmary.

No, ale symbolem niezaprzeczalnym był i na coś się przydał.

– Czyli nic z tego. Wiemy, że jest w Tęczowie, i nic więcej. Dobrze choć, że żyje. – Marcin pokręcił głową. – Weź coś z tym zrób! –

Z obrzydzeniem popatrzył na Samuela. – Coś się z tobą dzieje...
Natychmiast przestań sinieć!

– Tak jakbym miał wybór! On mi pisze jakieś uczulenie. Możliwe też, że niestrawność.

– Niestrawność? Na golasa?

– Zapomniał...

– Boże kochany, tylko mi się tu nie zesraj!

Marcin przez chwilę zastanawiał się, jak ma zareagować i jak w ogóle mogłoby to wyglądać. Strasznie trudno sobie wyobrazić coś tak Nieliterackiego jak Literacka sraczka.

Nagle Samuel westchnął i znów był ubrany, a nawet zadowolony, choć oczywiście nadal boso.

– Światło mu wysiadło – powiedział z zadowoleniem. – Ta małpia lampka się zepsuła.

– Jaka? Małpia?

– No, ma tam taką okropną lampę z małpim łbem, który świeci...
A jak on przy mnie nie majstruje, to mogę sobie robić, co chcę.

– Wszystko?

– Wszystko. Niestety mam do wyboru tylko swoją narrację.

– Boziu, mów ty po ludzku!

– Ależ mówię. Mogę robić wszystko, co kiedykolwiek mi napisał.

– I nic więcej?

– Nic, stąd ten seks. Gdyby choć raz uwzględnił go w narracji, to już potem mógłbym poeksperymentować w tym zakresie... Jak wy to nazywacie? Odblokowałyby mi to pewne możliwości.

Eksperymenty seksualne nie kojarzyły się Marciniowi za dobrze, szczególnie kiedy sobie przypominał nagie wygibasy Samuela.

– Wiesz co? Seks jest przereklamowany! – powiedział, wychodząc.

Upiór w moherze przejrzał wszelkie możliwe wiadomości internetowe i napisał w sieci, że ludzie jedzą za mało mięsa.

Nie wolno dopuścić do wegetarianizmu, bo to zniszczy świat, złamamy! Trzeba jeść mięso, a jak ktoś nie może, to i tak musi, bo tradycja to rzecz święta i nie wolno się jej sprzeciwić.

Demony weganizmu zniszczą ten świat, a potem każą ludziom jeść robaki. Powstają już całe sklepy z wyrobami z insektów.

Jedynie, co może uratować świat, to salceson. Byle nie z Biedronki.

Gabi i pisarki nie dogadywały się ze sobą, Adela też nie za bardzo pasowała do towarzystwa, a jednak musiały jakoś się porozumieć.

– Czyli wyście to wymyśliły? – chciała wiedzieć Adela, mając na myśli oczywiście promocję, a nie morderstwo, ale to rozumiało się samo przez się.

– Nie, nie my. To wymyślił Daniel. Zaproponował mnie, a właściwie nam. Potrzebował nas, bo inaczej kto by to jakoś powiązał z literaturą? – Grażyna po raz kolejny tłumaczyła Adeli jak chłopu na miedzy coś, co rozumie każdy bywalec Facebooka, a co jest nieodgadnioną tajemnicą dla wszystkich, którzy żyją bardziej w realu.

No, bo jak powiązać sławę literacką z morderstwem, i to własnym? I z literaturą w ogóle?

– A to jest powiązane z literaturą? – zapytała Adela niepewnie.

– No jest, musi być – westchnęła Grażyna. – Choć przyznam, że ten detektyw trochę tu bruździ. On po prostu nie pasuje. Detektywi tego typu są marni i brak im niezbędnego romantyzmu. Nie można przecież zakochać się w kimś, kto podgląda pary w trakcie kopulacji i grzebie w śmietnikach.

– I nie jest księciem? – roześmiała się złośliwie Gabi, ale Grażyna nie wyłapała przytyku.

– Właśnie – odpowiedziała całkiem szczerze – gdyby chociaż, a tu nic!

– Mam! – Adela znów odebrała SMS-a od ciotek.

Starsze panie od lat lubowały się w plotkach, jak to często bywa. Przeszły przez uniwersytet podblokowo-ławkowy, ale stwierdziły, że ma słabe zasięgi, bo wymieniane informacje dotyczyły najwyżej sąsiadów, ale nie wykraczały poza dzielnicę. Ciotek Adeli nie interesowało, co kto robi na obiad i dlaczego jada pasztetową, a ludziom do łóżek zaglądały z największą przyjemnością, ale tylko do tych ciekawszych. Kopulacja jako taka ich nie fascynowała, ale przeróżne jej odmiany – jak najbardziej. Kiedy dowiedziały się, że sąsiadka z góry jest sadomasochistką, zaczęły jej się nawet kłaniać.

Zwykli ludzie byli nudni. Komendant policji? Owszem. Sąsiadka z dołu? Bezsens.

Z obserwacji okiennie-poduszkowych zrezygnowały już dawno – obie były słusznej postury, a okno, które się do tego nadawało, było tylko jedno. Po tym, jak jedna z ciotek stłukła sobie łokieć, a druga o mało nie wylądowała na daszku nad wejściem do klatki schodowej (obie były krewkie i lubiły działania zaczepno-obronne), postanowiły działać w internecie. Na wszelki wypadek kupiły dwa laptopy i to było idealne wyjście z sytuacji, tym bardziej że miały swoje specyficzne dojścia poprzez różne portale, różnych znajomych znajomych, którzy bez żenady przekazywali sobie ploty w wiadomościach prywatnych, tak żeby nie dostać bana albo pozwu o zniesławienie, ale trochę się zabawić. Plotkowanie w pewnym wieku jest czasami jedyną zabawą, bo wielu rzeczy nie wypada, wielu się nie chce, a plotkować i siać zamęt można zawsze.

– Co masz? – Adela oddzwoniła natychmiast.

– Mam nazwiska kilku osób, z którymi Kopydło się kontaktował – zapiszczała ciotka w zachwycie. – Możliwe, że nie wszystkie. To Daniel Adach, jego matka, no, no... Piotr Pazurek i Mariola Kołłątaj. Hm...

– Mariola Kołłątaj to dyrektorka biblioteki – wyjaśniła Grażyna, kiedy usłyszała nazwisko. – Wcale mnie to nie dziwi. To jednak ma jakieś literackie podłoże.

– Piotr Pazurek? – Gabi aż pisnęła. – Piotr Pazurek? Hm...

– Co tak mruczysz jak wilk na widok szpinaku? – zapytał ją Marcin, który po rozmowie z Samuelem zszedł właśnie na dół i wyszedł na taras.

– Bo jeszcze jego w tym wszystkim brakowało. O ile naszą dyrektorę rozumiem, bo przecież detektyw mógł potrzebować od niej jakichś informacji, to udziału Piotрка nie rozumiem. I dlaczego ta menda wciąż się koło mnie kręci? Dlaczego nie daje mi spokoju, dlaczego w tym wszystkim się pojawia?

– Mógł być jego kolegą sprzed lat – zasugerował Marcin, bo sprawę znał i Piotрка Pazurka też nie lubił, ale nie miał paranoi, której właśnie dostawała Gabi.

– Wiesz, mnie też można określić jako koleżankę sprzed lat, a jakoś do mnie Filip się nie odzywał.

– To się ciesz, bo byłabyś podejrzana!

– Czyli Piotrek jest podejrzany. – Uśmiechnęła się z zachwytem i aż cała rozjaśniła wewnątrz.

Kobiety są wredne. Nawet te miłe są wredne, bo nic ich tak nie cieszy jak jakaś paskudna katastrofa, która spotka byłego. To jest po prostu silniejsze od nich.

Wszystko jednak chwilowo pozostało w impasie, bo takie wieści były ciekawe, ale bez całej policyjnej otoczki nie można było ich wykorzystać w sposób naprawdę skuteczny. Nie mieli nakazów, nie mogli dokonać przeszukań ani nikogo straszyć aresztowaniem... To było zupełnie do dupy, ale cóż.

– Czyli mamy tak: Filip, ten detektyw, czegoś tu szukał i został zmasakrowany. Taka masakra pokazuje wściekłość. Agresję, dużą siłę i chęć eliminacji... – Grażyna zaczęła układać wszystko w swojej literacko usposobionej głowie. – Czyli uczucie.

– Mówisz o miłości? – zainteresowała się Gośka, która jakby trochę przysypiała na ratanowym fotelu, stając się smakowitym kąskiem dla komarów.

– Nienawiść to też uczucie – przerwała jej Marta.

- A tam. Miłość, nienawiść? To głupota - westchnęła Adela. - Owszem, gdzieś pod tym coś jest, może i miłość czy nienawiść, ale to nie o to chodzi. Tu jest chęć zabicia, czyli musi być też jakieś zagrożenie! Coś, co warte jest dożywocia, a nie jakaś, pożał się Boże, miłość!

- Dożywocie? Teraz za kratki tylko niewinnych wsadzają - burknęła Grażyna. - Wiem, co mówię, morderca najwyżej jakieś zawiasy dostanie!

- Nie za taką masakrę. - Adela pokręciła głową. - Przecież Kopydło wyglądał jak upiór w moherze!

- No właśnie, miał jakiś beret.

- To nie był beret! - odpowiedziała policjantka, robiąc zaszokowaną minę, jakby się dziwiła, że reszta nie zauważyła drobnego faktu, że to, co denat miał na głowie, było odrobinę bardziej organiczne.

- A co to niby było? - zapytała Grażyna zaczepnie, bo chciała tego beretu bardzo. Pasował jej do narracji.

- To chyba jasne - stwierdziła Adela obyta z takimi sprawami i bardzo je sobie ceniąca, zresztą i sprawy, i swoje obycie.

- Włosy?

- Mózg - odparła i uśmiechnęła się szeroko.

Gośka z Martą posiniały i pobiegły zwrócić zawartość swoich żołądków w pobliski żywopłot. Nie, sam mózg ich tak bardzo nie ruszył, ale podejście Adeli - zdecydowanie tak.

- Jak można być tak mało romantyczną kobietą?! - oburzyła się Grażyna. - I nie rzygajcie mi tu po krzakach, jak wam do łazienki daleko, to jest wychodek za rogiem, całkowicie nieużywany. Tam możecie. Klucz jest w szopie. - Przez chwilę jakby usiłowała sobie coś przypomnieć, a potem złapała się za głowę. - No tak, klucz jest w szopie, ale szopy brak. I co ja teraz zrobię?

- Używasz wychodka? - zdziwiła się Gabi, bo jako rasowa bibliotekarka miała swoje wyobrażenia o pisarzach, które często mijały

się z rzeczywistością, ale szły raczej w kierunku umywalk ze złotymi kranami, a nie wychodków, nawet jeżeli w ogóle nie dotyczyły łazienek.

– Nie, ale jest. To znaczy był. To znaczy...

– Czy to może ten klucz? – Adela wyjęła plastikową torebeczkę na dowody, bo jeszcze nie zdążyła jej zanieść na posterunek, i pokazała toporny, metalowy i dość zardzewiały klucz Grażynie.

– O, dzięki Bogu! Dawaj go.

– Jest chyba dowodem...

– Czego?

– No nie wiem, ale był na miejscu przestępstwa.

– Nie ma nic wspólnego z przestępstwem ani z denatem. Wisiał w szopie, jest mój, otwiera mój kibel, znaczy wychodek, nie ma na nim krwi, a nawet nie może być, bo w szopie... Zresztą, jest mój. Muszę sprawdzić, czy działa. I w ogóle, no, muszę sprawdzić!

Grażyna wyrwała klucz Adeli i ruszyła przez taras w kierunku trawnika. Z wychodka nie korzystała nigdy. Był, bo był, ani romantyczny, ani praktyczny. Kiedy zdecydowała się na jego likwidację, okazało się, że ma on niewielkie, oddzielne szambo. Zrobiła głupotę i zamiast po cichu pozbyć się wychodka, poszła do gminy i zapytała, co ma z nim zrobić. Dostała tyle wytycznych, że zrezygnowała. Nie miała ochoty na wykopaliska. Kroplą, która przepelniła czarę, była sugestia jednego z urzędników, że ten wychodek może być nawet zabytkiem (co w pewnym sensie mogło być prawdą, ale tylko w pewnym sensie) i wówczas konieczne będzie zezwolenie od konserwatora. Grażyna zdecydowała się zostawić wychodek w spokoju. Oczywiście możliwe, że albo ona popełniła głupotę i niepotrzebnie bawiła się w podchody z biurokracją, albo ktoś chciał od niej wyciągnąć jakąś łapówkę. Tak czy tak, wychodek wygrał.

Od tamtej pory, zamknięty na klucz, straszyl sąsiadów i był prawdopodobnie oazą dla pajaków.

A klucz był tylko po to, żeby żaden pijak nie mościł się w nim „nocą złotą”, to znaczy Grażyna po prostu uważała, że tak będzie lepiej

i bezpieczniej, a w dłuższej perspektywie – ciszej. Zagnieżdżony pijak sprowadza sobie towarzystwo, które też się zagnieżdża i często śpiewa. Mimo pewnych podobieństw w kwestii zagnieżdżania, pijackie śpiewy ptasich treli nie przypominają. Ptaki mają awersję do Zenka.

Teraz wiedziona niepowstrzymaną ochotą, by sprawdzić, co siedzi albo może grasuje w kibelku, Grażyna pobiegła do niego w towarzystwie wszystkich obecnych, bo Adela nie chciała stracić dowodu z oczu, a reszta miała ochotę rozprostować kości. Oficjalnie, bo nieoficjalnie to jednak byli ciekawi, czy nie ma tam czegoś interesującego.

I naprawdę się zdziwili.

* * *

Pazurkowa miała problem. Jej tajna kuchnia została nie tylko odkryta, ale i zniszczona. W domu starała się nie mieć niczego, co powodowałoby niezadowolenie syna, ale musiała jeść.

Zawsze wspierała swoje maleństwo, zawsze mu we wszystkim ustępowała, ale jej dziecko ostatnio zaczęło ulegać dziwnym wpływom.

Kiedy jej synek jeszcze widywał się z tą ostatnią dziewczuchą, głupią i wredną, ale dziewczuchą, był taki jak zawsze: mądry, sprytny, cwany, a teraz nagle coś się z nim stało.

Zachorował na ekologizm.

Początkowo liczyła, że mu przejdzie, potem nawet zaczęła go wspierać, ale w końcu miała dość, bo on zaczął ekologizować ją na swoją modłę. Po pierwsze, zabronił jej jeść mięso i było to prawdziwą katogą. Pazurkowa, która zawsze odżywiała się zdrowo, czyli na przykład robiła zdrowe kanapki z dwóch kromek schabu posmarowanego pasztetem i okładała te kanapki boczkiem, oraz starała się nie jeść zielonego, bo od tego w kiszki robi się rewolucja, teraz musiała zmienić nawyki. To ją zabijało. Ciągłe była głodna. Dlatego zastosowała zasadę: „Co z oczu, to z serca” i na widoku mięsa nie trzymała ani nie jadła. W tajemnicy – owszem. Po drugie, synek zaczął

hodować robale na mąkę, potem kupił mąkę ze świerszczy i kazał matce robić z tego naleśniki. Nie mogła mu odmówić, w końcu czego się nie robi dla dziecka? Zwracała co pięć minut, choć nawet nie zdążyła ich spróbować. Na pocieszenie został jej szpinak, którego nienawidziła, brokuły, których nie znosiła, i kapusta, której zabronił jej lekarz, a na dodatek syn sprawdzał jej szafki i codziennie stawiał ją do pionu.

– Ale dlaczego? – prawie płakała, bo nie umiała się przeciwstawić jego żądaniom.

– W imię planety!

I to jakoś jeszcze mogła zrozumieć, choć naprawdę nie uważała, że ma jakikolwiek sens, ale żeby zamieszkał z chłopem?

Tego już było za wiele!

* * *

Drzwi wychodka chyba nigdy nie były obdarzane aż takim zainteresowaniem, pominawszy sprawę sprzed dwudziestu lat, kiedy to kilka osób dostało biegunki po zjedzeniu potrawy podanej przez wuja Grażyny podczas przyjęcia ogrodowego, co spowodowało, że karetki krążyły trzy razy w tę i z powrotem, a ludzie bili się o dostęp do tego przybytku, czym się dało (jeden prawie zginął na miejscu zatłuczony wałem korbowym), bo w domu nie było jeszcze wtedy kanalizacji.

Teraz te wcale nie dostojne drzwi skrzypnęły głucho zawiasami, jęknęły deskami i pokazały im dość zaskakujący obraz.

Bo w sumie wszyscy spodziewali się smrodu, much i dziury na tyłek, a tu takie zaskoczenie. Żadnej z tych rzeczy nie było. Było za to coś zaskakująco nieoczekiwanego.

Na siedzisku zakrytym jakąś deską stał kubek termiczny, obok termos, leżała tam też kanapka w folii aluminiowej, noktowizor, lornetka i zeszyt. Po pobieżnym sprawdzeniu okazało się, że kanapka jest już stara, zatęchła i odrobinę spleśniała. To znaczyło, że przebywała w tym miejscu co najmniej kilka dni.

Oczy Adeli aż zapłonęły radością z odkrycia, bo to było coś istotnego.

– Odejdźcie stąd! Odejdźcie natychmiast! – zarządziła policjantka, czasowo w cywilu, a nawet po cywilnemu, która nagle zrozumiała, że znalazła coś ważnego.

Wnioski narzucały się same. To była kryjówka jakiegoś podglądacza. Kogoś, kto obserwował. Co? Z pewnością nie były to niedźwiedzie.

Czy ten obserwator kogoś stąd śledził? Kogoś konkretnego? Czy jedynie czekał na odpowiedni moment? Siedział tu dniami i nocami czy tylko od czasu do czasu?

Wiedział, co robi i dlaczego to robi akurat tutaj, czy miejsce wybrał przypadkiem? Oraz – *last but not least* – czy srał do tego wychodka?

I kto to był?

Oczywiście nasuwało się jedno jedyne wytłumaczenie. To musiał być Filip Kopydło. Choć oczywiście nie musiał, ale chyba powinien. Zresztą po co ktoś inny miałby tu kogoś śledzić?

Kiedy Adela wszystkich wyganiała, nie zapomniała o tym, co było dla niej ważne.

Widząc zeszyt z ptasią okładką, pomyślała, że może ten ktoś był obserwatorem ptaków, ale po pobieżnym przejrzeniu zapisków zorientowała się, że jednak nie, co było jej bardzo na rękę.

Włożyła rękawiczki i sfotografowała zeszyt kartkę po kartce. Nie zrobiła tego tylko dla siebie. Ona i tak będzie miała do tego wgląd prędzej czy później. Zrobiła to dla ciotek. Bo kto jak kto, ale one potrafią z tego wyciągnąć wnioski. Potem nie będzie mogła im udostępnić dowodów, ale w tej chwili zeszyt właściwie jeszcze za dowód nie został uznany.

Taka pokrętna logika ratowała jej czasem życie i zdrowie psychiczne, bo układy na zasadzie „żeby dostać, trzeba mieć” panoszyły się w tutejszych biurach (tych policyjnych też) aż bardzo za bardzo i trudno je było omijać, Kiedy gdzieś zaistnieje błędne koło – a przecież nikt go nie planuje, nie robi go celowo, tylko to cholerstwo wychodzi jakoś samo, niechcący – to nie ma szans, by z nim wygrać.

Pazurkowa nie mogła znieść myśli, że jej syn może mieszkać z mężczyzną. To nie wchodziło w grę! I wcale nie chodziło jej o homoseksualizm, nie dopuszczała takiej możliwości do siebie. No, prawie nie dopuszczała, choć właśnie kosmyk po kosmyku siwiała przed lustrem w przedpokoju, bo to wszystko było ponad jej siły.

A zaczęło się od tego, że sąsiadka do niej się uśmiechnęła. Dwuznacznie. Tak, że Pazurkowa nie mogła na nią ani naskoczyć, ani zapytać, co się gapi.

I to musiało być to!

No, a potem sąsiad z drugiej strony ulicy jej się uklonił. Niby zawsze się kłaniał, a jednak teraz jakoś inaczej. Uklonił się złośliwie!

I ta spod samego miasta, gdy wyszła z psem, też zerknęła na jej drzwi, co Pazurkowa zauważyła, jak zawsze patrząc przez szybki w drzwiach wejściowych.

Cała okolica już wiedziała, cała dzielnica komentowała, a ona nie mogła nic zrobić! Obgadywali ją za plecami, uśmiechali się dwuznacznie. Obmawiali, obsmarowywali, a nawet źle o niej myśleli. To było nie do zniesienia! Takie myślenie powinno być zakazane. Jak mieli czelność?!

Musiała pomóc swojemu synowi, a tym samym zamknąć mordy wszystkim tym wrednym sukinsynom!

I sukom!

I sąsiadom!

Musiała odzyskać swoje dobre imię, wymazać te wredne myśli z tych durnych łbów, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Musiała jakoś uratować syna. Chciała wyrwać go ze szponów tego szatana, który się do niego wprowadził. Musiała! Nawet jeżeli miałyby go zabić!

Szatana oczywiście, nie syna!

Syn natychmiast się wszystkiego wyparł, mówił, że to tylko przyjaciel, kolega, ta... Nie wierzyła mu! Z kolegami się nie mieszka,

z kolegami się pije i je mięcho! Z kolegami ogląda się mecze, po męsku, przy piwie, a nie przy kompcocie z robali. Kłamał, ale ona wiedziała swoje. Ona mu pokaże swoją matczyną troskę i miłość. Ona go wyprostuje!

A jak pogoni szatana, to syna odzyska! Nawet wbrew niemu samemu. Nawet jeżeli będzie musiała użyć siły albo ostrych narzędzi. Zlikwiduje tego diabła, który sprowadza Piotrusia na złą drogę, a na nią śmieszność i wstyd.

I nawet jeżeli matka pójdzie za to do więzienia, syn to doceni, zrozumie i jeszcze jej podziękuje. Na pewno!

Zabijanie szatanów nie jest sprawą łatwą. Pazurkowa zaczęła szukać w internecie metod, jakich mogłaby użyć. Nie był to typowy szatan religijny, więc nie miało sensu podchodzenie do niego z typowymi religijnymi akcesoriami. To był szatan współczesny, zarażał robalożą i ekologizmem oraz zdrowym żywieniem. Co mogło go przestraszyć? Odpowiedź znalazła na jednym z forów internetowych dla egzorcystów świeckich. To było to!

Poszła do sklepu po salceson.

I nie był to salceson z Biedronki. Był z Lewiatana, ale smakował jak świński.

* * *

– No i mamy przejebane – jęknęła Adela, w końcu odkładając zeszyt na miejsce, żeby technicy mogli go sfotografować. Zrobiła to dosłownie w ostatniej chwili, bo już widziała nadjeżdżający samochód. – Czyli jednak szopa była związana ze zbrodnią!

– Nie była. Może wychodek tak, ale nie szopa! – odparła Grażyna z niezadowoloną miną.

W ogóle nie rozumiała całej tej sytuacji. Wszystko jakby kręciło się wokół niej i wokół jej domu czy terenu w pobliżu, a była przekonana, że nie ma z tym nic wspólnego. To znaczy ona jako ona i nawet ona jako pisarka. Nie mówiąc już o tym, że nie urodziła się tutaj, nie chodziła

tu do szkoły, nie znała wcześniej tych ludzi, a większości nie znała nawet teraz. To nie było jej miasto ani jej środowisko, dlatego więc ten ktoś – morderca czy ofiara, bo w końcu nie było pewne, kto jest kim – jakoś to z nią powiązał?

Na dodatek Daniel wszystko skomplikował.

– Szopa nie ma z tym nic wspólnego – powtórzyła Grażyna z rezygnacją.

– A klaki Daniela? W szopie były jego klaki! Tu, w kiblu, nie ma! – rzuciła Adela.

– Jasne, Daniela! Nie wiemy czyje, przecież nikt ich nie badał! Dajcie spokój, może on już nie żyje? – dodała Marta z niejakim zadowoleniem, choć było ono raczej bezwiedne.

To stwierdzenie w obecnej sytuacji nikomu nie poprawiło humoru. Tylko Marcin się nie przejął. Roześmiał się, i to nawet z wyższością.

– Wiem, że on żyje! – Wzruszył ramionami. – Nie powiem skąd, ale wiem na sto procent.

Jak reszta z ciekawością przyglądał się teraz zawartości wychodka, co miał sobie nawet trochę za złe.

Wychodki nie są interesujące, nawet nie powinny być, ale teraz wszyscy wpatrywali się w ten sanitarny artefakt jak sroki w jakiś pieprzony gnat.

Słyszac to, wszystkie kobiety zamarły. Chciały się dowiedzieć więcej, bo była to informacja niezwykle ważna, Marcin miał jednak za dużo wiedzy o życiu i doświadczenia z ludźmi, którzy choć niekoniecznie byli kobietami, strasznie dziwnie reagowali na objawy wiary w zjawiska nadprzyrodzone, o ile internet nie powiedział im, że owszem, można. Wolał się za bardzo nie wychylać.

Bo internet ma swoje za uszami, choć nie ma chyba uszu.

Tak więc w internecie wiara w reptilian jest w porządku, ale wiara w objawiającego się bohatera literackiego – na sto procent nie. Mogło to zrujnować Marcinowi życie i karierę oraz całkiem dobre widoki na Gabi lub Adele, lub Martę, lub Goškę. Tylko Grażyny nie brał pod

uwagę, bo się jej bał. Była czymś zmijopodobnym, co wyglądało jak kobieta, zachowywało się jak kobieta, ale było potworem. I nie, nie myślał tu o reptiliańskiej królowej. Jakoś tak kojarzyła mu się z tęczowskim pomnikiem motyla.

W tej chwili najmniejsze szanse miała Gabi, bo dzieliła z nim tajemnicę Samuela, a z kobietami jest tak, że tajemnice przestają nimi być w chwili zerwania. Kobiety zamieniają się we wredne suki, a tajemnice w memy...

Memy to straszliwa broń. Ludzie ich nie doceniają, a one mają nieograniczoną moc i potrafią zabijać. Na szczęście tylko ludzie inteligentni, z pewną wiedzą je rozumieją.

Co prawda jeszcze z żadną z tych dziewczyn się nie związał, tym bardziej z Gabi, więc nie było jeszcze mowy o zerwaniu, ale wszystko trzeba przewidzieć. No i pracowali razem, co w niektórych sytuacjach mogłoby być niezbyt korzystne.

– No ale jak żyje? – zapytała Adela niepewnie. bo dopiero po chwili dotarło do niej, co Marcin powiedział. I że to powiedział.

Miał jakieś wieści, a nie podzielił się z nią ich źródłem? To było ze wszech miar wredne.

– Nie wiem jak, wiem tylko, że nie został zamordowany! – odburknął, widząc jej minę.

– No dobra, ale gdzie jest? Co robi? – rzuciła, żeby dowiedzieć się jeszcze czegoś, z czego mogłaby cokolwiek wywnioskować.

Ludzie często jako argumentu używają wyrażenia „wiem, co mówię” i nie rozumieją, że to wcale nie jest argument, albo „tak jest i już”, co też do argumentu nie jest podobne nawet z daleka.

– Co robi? Píše... Nie wiem dokładnie, gdzie jest, ale wiem, że pisze tę swoją książkę w pokoju oświetlonym przez lampę z głową małpy.

Wszystkie zdrętwiały. Instynkty wzięły górę.

– Co za banal! – warknęła Grażyna. – To coś nazywa się pisarzem? I jeszcze aspiruje do bycia poczytnym?!

- Chińskie śmietnisko - powiedziała Gośka. - To powinno być zabronione, zwłaszcza w pewnych, że tak powiem, wyższych intelektualnie kręgach.

- Sądziłam, że ma lepszy gust! - Marta wzruszyła ramionami i skrzywiła się z obrzydzeniem.

- A co on, do cholery, robi u Piotrka? - jęknęła Gabi.

* * *

Pazurkowa uzbrojona w salceson postanowiła odwiedzić swojego syna. Miała problem, bo dysponowała tylko jednym sporym batonem czy - jak to się mówi - kiełbasą salcesonu. Woląta taki kształt, choć kula też ją kusila. I teraz zastanawiała się, czy sam salceson wystarczy, czy może należy wetknąć weń jakiś łom.

Pomysł znaleziony w internecie początkowo ją zniesmaczył, ale potem zrozumiała, że to może być właśnie to. W salcesonie jest wszystko, co niezdrowe, wszystko, co antywegańskie, i na dodatek to kwintesencja męskiej przekąski mięsnej. Kwintesencja samej męskości, której ekologiczny szatan pozbawił jej syna. Bo co to za chłop, co je robaki, odrzuca mięso i mieszka z drugim chłopem?

Dlatego Pazurkowa wzięła cały baton tego cuda.

Po długiej walce z osłonką udało jej się nabić salceson na łom. Wędlina nieco się odkształciła, ale teraz stanowiła naprawdę potężną broń.

Pazurkowa miała klucz do mieszkania syna, ale nie chciała wchodzić drzwiami. To by było zbyt proste, a szatan mógłby się zorientować i po prostu uciec.

Owszem, obawiała się tego, co powiedzą napotkani ludzie, ale była matką, a matki muszą walczyć.

Samego szatana się nie bała. W niczym nie przypominał tego biblijnego, był błydy, chudy i wymoczkowaty. Widziała go raz czy dwa

przez okno, bo przecież musiała się przekonać, z kim lub z czym stanie w szranki. Nie miał w sobie nic metafizycznego.

Mieszkanie Piotrka, które sama mu zresztą kupiła, było nieduże, bo ledwie dwupokojowe, i mieściło się na parterze niedużego bloku, którego okna wychodziły na pomnik motyla, a drzwi klatki schodowej znajdowały się tuż obok przybłokowego ogródka. Mieszkanie miało też balkon, który w tym wypadku niechcący był też tarasikiem, bo wisiał dziesięć czy piętnaście centymetrów nad trawnikiem i dawał Pazurkowej spore szanse na atak, bo Piotrek nigdy drzwi balkonowych nie zamykał.

Była to oczywiście głupota, a nawet dwie, pierwsza to pozostawianie otwartych drzwi balkonowych, druga – balkon na tym poziomie.

Tyle że w mieszkaniu Piotrka nie było wiele cennych rzeczy, więc kradzieży bać się nie musiał. Ale być może właśnie tamtędy napadł go ten ekologizm? Napadł, zaatakował i zagnieździł się razem z całą resztą?

Pazurkowa postanowiła udać się do domu syna piechotą, na ramieniu dźwigając pachnącą salcesonową maczugę.

Mało kto jest w stanie oprzeć się zapachowi dobrego salcesonu, z dużą ilością przypraw i czosnku. Tłustego i pełnego chrząstek oraz niedogolonych skórek wieprzowych, twardego, a równocześnie jędrnego. Taki skusi każdego.

Broń atakowała zapachem ją samą, bo od poprzedniego dnia nie miała w ustach nic konkretnego, ale przypuszczała też szturm na nozdrza osiedlowych kotów, które mimo walających się dookoła kocich chrupek i puszek wystawianych przez emerytki były jak zawsze głodne. Tak więc Pazurkowa szła dostojnie drogą, a za nią sunął koci orszak, który z każdym krokiem kobiety się wydłużał. Była tak zaafierowana, że nawet tego nie zauważyła.

Ludzie z misją często widzą tylko cel, jaki sobie postawili. Reszta świata może dla nich nie istnieć.

– Czyli możemy założyć, o ile potwierdzą się nasze podejrzenia, że to tutaj koczował denat – stwierdziła Adela. – Jak to możliwe, że tego nie zauważyłaś? – zwróciła się do Grażyny z wyrzutem.

– Przecież wtedy nie był denatem! Poza tym ja nie obserwuję wychodka! – odwarknęła pisarka.

Zaczynała się coraz bardziej martwić. Najpierw Daniel ze swoją propozycją, którą nieopatrznie wzięła za dobry omen i szansę na przyszłość, a potem... albo, kto wie, może przedtem, detektyw. Martwy.

– Czy on się zagnieździł w kiblu przypadkiem? – zapytała Gabi. – Bo wiesz, kibel był zamknięty. No i miejsce... To nie jest jakiś super luksus.

– No a jak, jeżeli nie przypadkiem?

– Musiał wiedzieć, że klucz jest w szopie. Poza tym cały czas go tam odwieszał, czyli zanim się zagnieździł...

– Musiał wiedzieć, że kibel był nieczynny. To znaczy nieużywany.

– Obserwował mnie? – przestraszyła się Grażyna.

Niby tajemnic nie miała, ale to tylko tak się mówi, każdy ma jakieś tajemnice, mniej lub bardziej interesujące dla postronnych, mniej lub bardziej niebezpieczne dla właściciela.

Marcin skrzywił się nieco na ten kolejny atak paranoi.

– Niekoniecznie. Mógł śledzić Daniela i przypadkiem się zorientować, że to miejsce jest dobrym punktem obserwacyjnym.

– W drzwiach nie ma nawet wyciętego serduszka, to jak on cokolwiek stąd obserwował?

I wtedy technicy omietli reflektorami wnętrze kibelka, a oni stojąc na zewnątrz, zobaczyli coś istotnego. Przez chwilę widać było smugę światła wychodzącą przez dach.

– No tak. Przez tę dziurę mógł obserwować wszystko: i mój dom, i dom Daniela, łąkę, a nawet dom Pazurkowej. To znaczy wszystkie inne

też, ale te miejsca są stąd najlepiej widoczne. Ale po co?! – jęknęła najbardziej zainteresowana. – Po co? Bo mi to wygląda teraz tak: Daniel wymyślił...

– Nie! Zaraz – Gośka syknęła przez zęby – to wcale nie tak! Musiało być inaczej! Daniel się zorientował, że jest śledzony, i postanowił zniknąć. Chciał upozorować własną śmierć, dlatego nas wezwał, ale coś poszło nie tak. To nie promocja była pierwsza, to detektyw!

– Czyli to Adach go zabił? – zapytała Marta.

– Właśnie! I musiał uciekać! – Gośka aż podskoczyła z zachwytem.

– I jeszcze nas wplątał! Tylko czy wiedział o zabójstwie, pakując nas w to gówno?

Morderca to zawsze atrakcja, a znajomość z nim czasami bywa nawet nobilitująca, ale celowe ładowanie kogoś na minę jest wredne. Niezależnie od okoliczności.

– Trudno nie wiedzieć, jak się jest mordercą! A dlaczego się ogolił?

– Dla kamuflażu?

– Żeby nie znaleziono na nim DNA ofiary! Rozumiecie? W tych jego kłakach coś się mogło zaplątać, jakiś kawałek mózgu czy jak? Choćby na plecach.

– Czy ty myślisz, że on katował Kopydłę na golasa?! – wrzasnęła Grażyna z niedowierzaniem.

Daniela trochę знаła. Wcale nie znaczyło to, że uważała taką sytuację za całkowicie niemożliwą, ale za obrzydliwą – jak najbardziej.

Kiedy technicy skończyli już swoje czynności, wielce skomplikowane oczywiście, Marcin i Gabi postanowili iść do domu, Adela do ciotek, a pisarki nachlać się do nieprzytomności, bo inaczej mogłyby nie dać rady zasnąć.

* * *

Tego wieczora na „grubej Bercie”, jedynym tego typu słupie ogłoszeniowym w Tęczowie, ktoś wywiesił spore zawiadomienie.

Wyglądało jak nekrolog, ale nim chyba nie było. Chyba, choć w niektórych wzbudziło przerażenie.

Uważajcie, ruda kicia coś złapała, uwaga na nakrapiane ptaszki!

Nakrapiane ptaszki to nie jest termin ściśle ornitologiczny, ale może dotyczyć ptaków. Jeśli jednak faktycznie odnosiłoby się do fauny, nie powinno być tak wszystkich zdenerwować, a jednak.

Nie wiadomo dlaczego nazajutrz na wizytę u wenerologa zgłosiło się aż dwunastu panów i trzy panie w panice.

* * *

– No i jak, moje kochane szperaczki? – Adela wpadła do mieszkania ciotek.

Te w pewnym wieku stwierdziły sentencjonalnie za Paulo Coelho: „Raz się żyje” i odtąd robiły wszystko, co się da, żeby to życie sobie urozmaicić na tak wiele sposobów, że trudno było za nimi nadążyć.

Wyłapywania amerykańskich generałów z sieci zabroniła im sama Adela, bo ciotki robiły to w sposób bardzo niekonwencjonalny. Mianowicie same siebie wystawiały na przynętę, twierdząc, że są bogate, i pokazując, że są głupie (w tym układzie uroda nie była wymagana), a potem upierały się, że pieniądze prześlą pośrednikowi (generał osobiście nie był w stanie się zjawić) tylko w reklamówce w krzakach, bo nie ufają bankom.

A potem były. Na ogół sztachetami.

Jedna złamała pewnemu pośrednikowi nos, druga rękę innemu i potem miały kłopoty, bo pośrednicy założyli im sprawy o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa i przemoc w związku. Niby każdy wiedział, o co chodzi, ale sąd jakoś nie. Jedna pani sędzia zapytała nawet ciotkę, czy nie lepiej byłoby po prostu wyjść za ten mąż i w ten sposób zadośćuczynić złu, jakie spowodowała.

Ciotki poszły więc za radą Adeli i zrezygnowały z dalszych działań na tym polu. To była zbyt przerażająca perspektywa.

Teraz rozłożyły na stole wydrukowane zdjęcia i zaczęły coś mrużyć.

– To jest pisane jakimś specjalnym szyfrem... To znaczy nie, nie chodzi o to, że Kopydło szyfrował swoje notatki, ale zapisywał wszystko tak, że chyba tylko on to mógł zrozumieć.

– O pisarkach?

– Właściwie głównie o jednej. *Grażyna Matera łązi jak kołowata, może ją zapytać o Adachów? Nic nie łączy jej ze szkołą.*

– No i co wy o tym sądzicie?

– W sumie nic, ale rzeczywiście kręcił się koło Adachów, wspominał też coś o szkole.

– No to akurat jest dla mnie całkiem niezrozumiałe. Wiem, że tam chodził, pół miasta chodziło, ale ta szkoła to było jedno wielkie nic.

– Jeszcze o tu, popatrz na to zdjęcie! – Ciotka podsunęła jej jedną z fotografii. – Było na początku. *Hieronim Szpon. Upiór. IP nieznane, zaliczka. Czas start, dwa miesiące. Pierwsze sprawozdanie oddane. Sukcesu brak. Dopadnę gnoja!*

Wszystkie popatrzyły na siebie zaskoczone.

– Ale Szpon? Hieronim? Przecież to nasz burmistrz! Czekajcie... Czy Kopydło uważał, że Szpon jest upiorem?

– Oj, Delka, Delka, czytaj ze zrozumieniem, jakim upiorem?

– No tu jest napisane: *Hieronim Szpon. Upiór. IP nieznane, zaliczka.*

– Rozumiesz?

Adela westchnęła.

– Tak jakby...

– Szpon dał zaliczkę detektywowi. Coś ci to mówi? – zapytała pierwsza ciotka.

– Na upióra! – krzyknęła druga. – Rozumiesz?

Teraz rozumiała. Filip Kopydło przyjechał tu na zaproszenie burmistrza. Możliwe, że burmistrz go wynajął, żeby ten ustalił, kim jest upiór.

– Zaraz... Było coś! – Adela palnęła się w głowę, przypomniawszy sobie aferę sprzed kilku tygodni. – Upiór jakieś zdjęcia udostępnił,

że niby burmistrz z kochanką w krzakach harcował. Nic nie było na nich widać, ale wszyscy uwierzyli, a żona oczywiście najbardziej.

– A, no – ciotki, obie razem, pokiwały z zadowoleniem głowami – no, chodził niezłe obity. Mówił, że spadł z drabiny, ale co by robił na drabinie, jak on młotka w rękę nie umie utrzymać?

Burmistrz był postrzegany jako element reprezentacyjny miasta. Nie dlatego, że był przystojny czy elegancki, ale dlatego, że był. I to było wszystko, co potrafił.

– Czyli Filip Kopydło został zatrudniony do odkrycia tożsamości upiora! – Adela ucieszyła się, że wreszcie coś zrozumiała, choć to zrozumienie nie za wiele dawało. Owszem, istniały szanse, że upiór, kiedy go dopadnięto, usiłował się bronić i trochę przesadził, ale były to marne szanse. – No tak! I stąd te nazwiska? Podejrzał tych ludzi? Ja bym Pazurkowej o upioryzm nie posądzała, za głupia jest.

Wymyśliła to określenie na poczekaniu, bo słowo „upiorność” do Pazurkowej pasowało, ale w zupełnie innym sensie. Owszem, była upiorna, ale nie powinna być upiorem.

– A ja znowu starszą Adachową bym zdecydowanie brała pod uwagę, mądra też nie jest, ale wredna tak, że...

– Czyli upiór jest mordercą. Zabił detektywa, żeby ten nie wydał go burmistrzowi. To tłumaczy wszystko! – Policjantka rozpromieniła się jeszcze bardziej, ale ciotki zaraz sprowadziły ją na ziemię.

– No nie bardzo. Prześledziłyśmy profile tego Filipa i mamy niejasne podejrzenie, że gdyby on tego upiora dopadł, najpierw by z nim negocjował.

– Ale co by z nim negocjował? – Adela nie zrozumiała.

– To proste, wyższą stawkę. I w ten sposób nadal niczego nie wiemy.

– Właśnie, interesuje mnie na przykład, kto ogolił Daniela. I po co? Ha? – Druga ciotka poruszyła kolejną niewyjaśnioną kwestię.

– Daniel ogolił się sam! – odpowiedziała Adela zdecydowanie.

– To nie zmienia faktu, że nie wiadomo, po co miałyby to zrobić! – zawołały obie ciotki naraz.

– Bo to idiota? – zapytała teraz już dość niepewnie bratanica.

Istniało przecież prawdopodobieństwo, że Daniel w ogóle w całej sprawie nie brał udziału. Mógł nic nie wiedzieć. Przygotował swoją dziką promocję i zniknął, z zabójstwem nie miał nic wspólnego, a ogolił się dla siebie, tak po prostu.

Mogło też oczywiście być tak, że Daniel był upiorem i spotkał się z Filipem, ponegociował albo coś, a potem go zamordował. Tyle że pisarz na upiora nie bardzo pasował.

– Czyli podejrzewamy, że upiór zabił Filipa, ale nie mamy pojęcia, kto jest tym upiorem. Też koszmar... Jak dotąd nikt upiora nie dopadł, więc jak my to zrobimy?

– Nikt dotąd upiora nie dopadł, bo nikt go naprawdę nie szukał! Policja jakoś nigdy się nim nie interesowała. Teraz to się zmieni! Kogo on tam wpisał? – zapytała jedna z ciotek, aby podsumować to, co wiedziały, albo raczej to, czego mogły się ewentualnie dowiedzieć z papierów denata.

– Marlenę, Piotrka Pazurka i Pazura. Ten Pazur to może być burmistrz, bo Szpon, albo matka Piotra.

– Jeszcze Mariola Kollątaj – przypomniała jedna z ciotek – ale koło niej jest inny zapis. *Archiwa, ślady przestępstwa*. Pamiętasz jakieś wcześniejsze zabójstwo w okolicy?

– Nie no, przestępstwa nie zawsze są zabójstwami – odburknęła druga.

– Tak, fakt, ale minęła kupa czasu, istnieje przedawnienie... I co to za przestępstwo, które po tylu latach może być aż takie niebezpieczne, żeby za nie zabić? Sto gram trawki i posiadanie czy prowadzenie pod wpływem w to nie wchodzi.

– Trzeba będzie Marioli zapytać. Może z nią rozmawiał? O ile nie o nią chodziło.

– I jeszcze Daniel, Dorota i Marlena.

– Razem?

– No, właśnie tak. I jest jeszcze dopisek: *Dlaczego tak wyszło? Ile można z tego wyciągnąć? Zadzwoń do wydawnictwa.*

Adela była pełna wielkiej, szalonej nadziei.

– Ale co upiór ma wspólnego z tymi dwiema sprawami? – zastanawiała się jedna z ciotek. – Wyglądają na jakies inne, jakby oddzielne, no chyba żeby „Dlaczego tak wyszło? dotyczyło Daniela jako upiora.

– Nielogiczne – druga aż się obruszyła – nielogiczne, wydałoby się!

– A tamto?

– Też nie wiadomo, ale jeżeli mowa o archiwach, to musi chodzić o coś starego.

– Idę jutro do biblioteki – oznajmiła policjantka. – Porozmawiam z dyrektorką, może coś mi powie. Zaraz, ale wy myślicie, że nie chodzi tylko o jedną sprawę?

Wszystko tu było pogmatwane. Z tego, co w tej chwili wiedziały, nie było tu jakiegoś poważnego motywu, ale Adela musiała przyznać sama przed sobą, że wiedziały niewiele.

– No, to chyba nawet nie może się za bardzo łączyć, bo upiór grasuje tu ledwie od kilku lat, a z Adachami to w ogóle... Ile wyciągnąć? I po co dzwonić do wydawnictwa? Tego z upiorem bym nie wiązała. Z przekreśłem owszem, ale nie z upiorem.

– A ja tak! – Adela wyraźnie się uparła. – Nie chodzi przecież tylko o odkrycie, kto jest upiorem, ale też o znalezienie na niego haka. Samo bycie upiorem karalne nie jest. Hak jest konieczny, jakaś kompromitacja, żeby skutecznie mu zamknąć pysk. A może nawet zagrozić więzieniem? Dlatego pewnie Kopydło szukał czegoś związanego z upiorem. Z nim jako człowiekiem, nie z nim jako internetowym bytem.

I to też miało sens.

- Tylko że ty patrzysz z policyjnego punktu widzenia. Nie zawsze tajemnice są związane z przestępstwem! Czasami to zupełnie inne kategorie, takie jak na przykład wstyd – skwitowała ciotka.

- I za wstyd się zabija?

- Nawet nie wiesz, jak często!

* * *

Pazurkowa czekała pod domem syna dość długo. Musiała, bo chciała, żeby zapaliły się światła. Potem odczekała jeszcze godzinę czy dwie, żeby wszyscy dookoła posnęli. Potem zasnęła sama. Obudziła się wymęczona, z nadgryzionym przez koty orzędem i podeszła bliżej. Chciała zobaczyć, czy ktoś tam jest i kto to dokładnie jest.

W tym czasie zwabione zapachem salcesonu koty zgromadziły się w krzakach i pod tarasem.

W mieszkaniu Piotrka paliły się światła, w pokoju matka dostrzegała jeden cień. Ucieszyła się, że nie był to cień jej syna.

Podniosła łom na ramię i przelazła przez barierkę balkonu z głuchym stęknieniem. Następnie otworzyła drzwi balkonowe.

Od razu dostrzegła kogoś obcego i dziwnego. Piotrek chyba spał, a to, co siedziało przy stoliku, z pewnością nim nie było. Chude, półnagie, łyse i poorane krwawymi szramami nawet na plecach siedziało i tłukło w klawiaturę.

To musiał być szatan ekologizmu.

Pazurkowa podniosła salcesoniczną broń, która w ciepłe nocy, wtulona w jej łono, trochę zmiękła i zaczęła lekko spływać z łomu galaretowatymi jęczorami. Rąbnęła nią w głowę szatana. Koty, widząc, jak jedzenie się od nich oddala, też rzuciły się w tamtym kierunku. Było ich co najmniej kilka.

Szatan, niewzruszony uderzeniem, acz zdziwiony kocim wrzaskiem i stękiem Pazurkowej, spojrzął ku górze.

- Salceson? - zawołał i oczy mu się rozświetliły. - Salceson! Matko jedyna! Salceson! Ja już prawie umarłem z głodu w tym bezmięsnym

piekle!

Szatan (wychudły chyba na piekielnym wegańskim wikcie) rzucił się na salceson, koty też, z istic diabelskim kocim wrzaskiem.

W tym czasie z łazienki ktoś wyszedł. To był jej niewdzięczny, opętany ekologizmem syn. On także rzucił się na salceson, ale chciał go złapać tylko po to, żeby nie doszło do profanacji jego wegańskiej (choć może nie do końca, bo robaki to jednak mięso) świątyni.

Chudy szatan – wyszczerzony i ewidentnie zachwycony – zaczął pożerać broń Pazurkowej. Koty kłębiły mu się na głowie.

I wtedy Piotrek wrzasnął:

– Daniel, ty debilu! Nie będziesz tego jadł, dopóki mieszkasz pod moim dachem!

Ta wypowiedź bardzo poruszyła Pazurkową. Tak się mówiło do rodziny, kiedy chciało się coś na tej rodzinie wymusić. Tak ona sama mówiła do syna, a nawet do męża. Kiedyś, bo to właśnie po usłyszeniu tych słów się wyprowadził. No, nie tylko o nie chodziło, ale też. Piotrek miał wtedy kilka miesięcy i prawdę powiedziawszy, nawet jej to pasowało.

Nagle zrozumiała wszystko! Pojęła, że chudy szatan to Daniel (czego nie dało się zauważyć wcześniej) i że jest on w związku homoseksualnym z jej synem.

Tego już znieść nie mogła.

– Dopóki mieszkasz pod moim dachem? Dopóki mieszkasz pod moim dachem? – zawyła. – Tak mówisz? Niedoczekanie twoje! – Podniosła broń, tym razem już nie salcesoniczną, i walnęła szatana.

To prawda, syn zblądził, ale nie był winien. Szatan go po prostu opętał.

Daniel popatrzył na nią zaszokowanym wzrokiem i padł.

Choć najpierw zapluł się salcesonem i zalał krwią.

– Mamo! Coś ty zrobiła? Zabiłaś Daniela? O Boże!

– Nie, on jeszcze żyje! – powiedziała kobieta i wybuchnęła płaczem.

Nie wiadomo – z ulgi czy zawodu.

* * *

Mariola Kołłątaj nie spodziewała się wizyty policji, a Gabi i Marcin jej nie uprzedzili. Kiedy jednak zobaczyli Adelę w korytarzu koło gabinetu dyrektorki, nawet się ucieszyli. Oczywiście nie mogli zareagować, ale kilka porozumiewawczych uśmiechów pozwoliło im mieć nadzieję na późniejsze spotkanie, bo tak czy tak, chcieli wiedzieć, co dalej.

Adela poszła za dyrektorką do jej gabinetu.

Pomieszczenie, choć de facto było gabinetem dyrektorki, w niczym nie przypominało pokoju takiej szczy. Nie było w żadnym razie luksusowe. Panował w nim koszmarny bałagan, stosy książek i segregatorów wały się wszędzie. Widać było jednak, że jest to bałagan uporządkowany, niejako oswojony.

– Filip Kopydło? Tak, był u mnie jakieś dwa tygodnie temu – wyjaśniła Mariola z westchnieniem. – Chciał dostępu do archiwum prasy sprzed... chyba piętnastu lat.

– Wspominał, co go tak interesowało? – zapytała Adela, licząc na więcej informacji.

– Jasne, to było coś związanego ze szkołą, tą społeczno-prywatną, którą zaraz potem, zdaje się, zamknięto... Dokładnie nie wiem. W każdym razie o to chodziło.

– I znalazł coś?

– Nie mam pojęcia, już potem z nim nie rozmawiałam. – Dyrektorka wzruszyła ramionami, jakby ta sprawa jej nie interesowała, choć była wyraźnie poruszona.

– To znaczy wziął te gazety i co?

– Nie wziął, są zdigitalizowane, więc pewnie sobie czytał w domu, bo dałam mu dostęp. Ale co czytał, to nie wiem. Sama potem zaglądałam, nie ma tego dużo. Nic ciekawego. A, i pytał o sprawę Maciąga.

– Jakiego Maciąga?

– O jaką sprawę, jakiego Maciąga?! – zawołała Gabi do wtóru z Marcinem, kiedy spotkali się z Adelą w mieszkaniu ciotek. – Przecież nie mojego wuja? Nie chodziło o niego, prawda?

Policjantka umówiła się z nimi w tym właśnie miejscu właściwie dlatego, że chciała, aby ciotki ich poznały. Zawsze uważała, że ciotki mają za mało znajomych, a miały ich rzeczywiście mało, bo były niezwykle inteligentne. Bycie niezwykle inteligentnym to spory kłopot. Ludzie cię nie lubią, a ty się w ich towarzystwie nudzisz. Nie masz ochoty fikać przy disco polo, oglądać przeróżnych dziwnych produkcji telewizyjnych, zwanych przez niektórych serialami, ani gadać o dupie tej czy innej gwiazdki. O ciuchach też. Same straty.

Dodatkowo ciotki potrafiły w pięć minut przejrzeć każdego na wylot.

– No wiecie, przecież była sprawa z tym Maciągiem, co zmarł w piecu!

– To jednak o wuja chodzi? – zdziwiła się Gabi.

Ostatnio z powodu zbyt częstego przeglądania mediów społecznościowych i portali informacyjnych, tych porównywalnych do tabloidów, była nieco bardziej nastawiona na tragiczne zgony niewyjaśnionego pochodzenia. Umysł człowieka tak się jakoś dostraja do sytuacji, że jeżeli wszędzie widzi zwłoki i tragedie, to nawet zwykłe informacje potrafi odczytać na specyficznym, zmakabryzowanym sposobie.

– Ktoś go zabił? – dopytywał Marcin.

– Nie, sam zmarł.

Ta wiadomość wszystkich zaskoczyła. Ludzie rzadko robią takie rzeczy, to znaczy nie chodzi o umieranie, raczej o robienie tego w piecu.

Oczywiście możliwość wyboru miejsca swojej śmierci jest z reguły ograniczona, większość umiera tam, gdzie akurat w danym, dość konkretnym momencie się znajduje. Czasami sprawia się tym kłopoty rodzinie, która nie chce przekazać światu, a tym bardziej znajomym, że ten czy ów przykładowy mąż zmarł na przykład w burdelu czy

mordowni. Procentowo takie niekonwencjonalne miejsca zgonów to jednak rzadkość, piece tym bardziej.

– Jakiś facet zmarł w piecu? – jęknęła Adela, która, owszem, wiedziała, jaką sukienkę nosi Sanah, ale nie miała pojęcia, kto normalny wchodzi do pieca, żeby tam umrzeć.

Zawsze omijała portalowe wiadomości o tak zaskakujących tytułach jak *Lekarz zobaczył kobietę z kotem i natychmiast wezwał pogotowie*, bo zawsze potem, po kliknięciu na trzydziestą ósmą stronę artykułu, w którym na każdej stronie powtarzano dokładnie to samo, dowiadywała się, że lekarz wezwał karetkę, ponieważ dostał zawału, a kobieta nie miała z tym nic wspólnego, kot zresztą też nie. Ale fakt faktem, tytuł nie kłamał, lekarz rzeczywiście zobaczył kobietę z kotem, rzeczywiście wezwał też pogotowie, a że te dwa fakty nie były ze sobą powiązane, to przyszcz.

Jedna z ciotek pokazała im wycinki artykułów z archiwum, które skrętnie przejrzały.

Samuel Maciąg, palacz ze szkoły społeczno-prywatnej, został znaleziony martwy w piecu do centralnego ogrzewania.

W umyśle Marcina pojawił się jakiś piec do centralnego ogrzewania, ale miał takie drzwiczki, że ani kawałka człowieka nie dałoby się tam wcisnąć na żywca. Bibliotekarz natychmiast wyobraził więc sobie pokawałkowanego palacza.

– No dobra, ale Samuel? Znowu Samuel? – zapytał, patrząc na Gabi wieloznacznie.

– Cóż, imię jak imię. Może było kiedyś modne? – burknęła dziewczyna. – Ja go nawet nie za bardzo znałam.

– Ale co to za problem z tym imieniem? – chciała wiedzieć Adela.

– No, to imię takie bardzo... jakby książkowe. O, w powieści Adacha jest taki bohater – wyjaśniła naprędce Gabi.

– Dziwne, ale imiona w książkach zazwyczaj bywają dziwne. Poza tym wiecie, kto był dyrektorem tej szkoły?

– Adachowa, Marlena! Matka Daniela! – odpowiedział Marcin, kręcąc głową ze zdziwieniem.

Ustalili ponad wszelką wątpliwość, siedząc zresztą przy szarlotce i piwie do trzeciej rano, że Kopydło mógł badać okoliczności śmierci Samuela Maciąga, które były dość niepokojące i nadzwyczaj dziwaczne...

– Przyczyną zgonu było zatrzymanie akcji serca, policja nie odnotowała tu udziału osób trzecich, natomiast patrzcie... – Adela pokazała coś, co znalazła w czeluściach archiwów policyjnych.

Sama śmierć nie wydaje się podejrzana, natomiast okoliczności wejścia (czy może wepchnięcia?) mężczyzny do pieca budzą wątpliwości.

– Co to był za piec?

– ZduRNAŁeś? Po co ci to wiedzieć? – prychnęła Gabi.

– No, bo wiesz, jak można kogoś wsadzić do pieca? Co to? Bajka o Jasiu i Małgosi? Kiedyś myślałem, że to tylko plotka, bo niby jak miałyby się to udać... Chodzi mi o pomysł i wykonanie. Po pierwsze: po co? Co to, ten Samuel czarownicą był? To symbol jakiś? Czy przed kimś uciekał i sam tam wlaź? Po drugie: czy piec był włączony? Nic nie piszą o poparzeniach, więc raczej nie. Po trzecie: jak zmieścić dorosłego faceta do pieca? I o co chodziło z kotami? Pamiętam, że ludzie mówili wtedy o jakichś kotach.

Marcin chciał natychmiast skontaktować się z Samuelem Kaszakiem, jakby tych dwóch Samuelów coś łączyło. Niestety nie mógł. Nie da się zadzwonić do bohatera literackiego i zapytać go... No tak. O co?

Gabi zaczęła sobie przypominać, co się działo po śmierci jej wuja, i to w tej samej szkole, w której ona się uczyła, ale niczego konkretnego nie mogła sobie przypomnieć. W rodzinie jakoś o tej sprawie nie rozmawiano. Gabi nawet nie bardzo pamiętała, co dokładnie Samuel robił, ale wiedziała, że palaczem raczej nie był. Nie wiedziała tylko, skąd to wie.

– On żyje – powtórzył Piotrek słowa matki. – Powiemy jakby co, że zatruł się salcesonem. Przecież nie wezwiemy policji?

Stali tak oboje nad zakrwawionym Danielem i chyba nie wiedzieli, co robić.

– Eeee – stęknął Daniel, wybudzając się nieco i macając po głowie – co tu robią te koty? Czy one przyszły po mnie?

– No coś ty. Koty przyszły po salceson.

– Nie po mnie?

– A dlaczego?

– Bo głowa mnie boli, a one świecą oczami i tak mruczą, jakby chciały mi coś zrobić. Zjeść mnie... – powiedział bardzo, ale to bardzo niepewnym tonem.

– Nie świruj! To tylko koty! – mruknął Piotrek, chcąc kolegę trochę postawić do pionu.

Nie lubił mięczaków. Daniela zresztą też nie lubił, ale się z nim zadawał, bo inaczej czekałyby go totalne pustki w kontaktach towarzyskich. Tęczęw nie tętnił życiem – jeżeli nie miało się znajomych ze szkoły, to nie miało się ich w ogóle. No chyba żeby ktoś wyszedł na ulicę i zaczął biegać, wrzeszcząc: „Ludzie, chcę was poznać!”. Wtedy z pewnością znalazłby się dość szybko w gronie nowych znajomych, ale w psychiatryku.

To stawianie Daniela do pionu nie spodobało się Pazurkowej, bo ona akurat wołałaby go przestraszyć.

Natychmiast zresztą wcieliła swój plan w życie.

– No, to szatańskie stworzenia, mogły przyjść po szatana, co cię opętał ekologicznie – na wszelki wypadek wtrąciła się ze swoim przesłaniem.

Wszystko dochodziło do jakiejś normy, choć nie była to ta sama norma, co wcześniej. Daniel nie zachowywał się, jak trzeba. Dostał chyba kotofobii, o ile taka nazwa istnieje, bo sam lęk przed kotami

istnieje jak najbardziej. W końcu szatan, czarownice, trzynastka i koty – to jednak budzi lęk. Pisarz patrzył załężnionym wzrokiem po kątach, ścianach i sufitach, jakby widział tam jakieś przerażające stworzenia. Koty zresztą rzeczywiście były wszędzie.

– Czy ja tu mieszkam? – zapytał Daniel, trochę nieobecny.

Nie wydawał się całkowicie przytomny, a jego poorane kocimi pazurami (choć chyba nie tylko) ciało i łysa głowa, czerniąca się gdzieniegdzie dwudniowym odrostem, zakrwawiona oraz umazana salcesonem, nie sprawiały dobrego wrażenia. Wyglądał makabrycznie, jak ofiara jakiejś straszliwej katastrofy medycznej.

– Chwilowo tak. – Piotrek roześmiał się nieszczerze, bo czuł, że Daniel nie jest świadomy sytuacji, w jakiej się znajduje.

Oczywiście Pazarukowi wcale nie zależało, żeby kolega był świadom, kto go tak urządził, co to, to nie, w końcu matka to matka, nawet jeżeli durna. Coś mu jednak mówiło, że Daniel jakoś trochę zbyt dziwnie się zachowuje.

– A wiesz chociaż, jak się nazywasz? – rzucił Piotrek niezobowiązującym, choć nieco zaniepokojonym tonem, żeby za bardzo Daniela nie przestraszyć, ale jednocześnie sprawdzić, czy z jego głową wszystko w porządku.

– Kopydło? – zapytał Daniel.

Ta odpowiedź ich zaszokowała. Matkę Piotrka o wiele bardziej niż samego Piotrka.

– No to mamy go! – wrzasnęła Pazarukowa. – Trzeba wezwać policję! Natychmiast! Natychmiast!

– Mamo, a po co? – zapytał Piotrek.

Był nie do końca poinformowany o całej sprawie. Owszem, coś słyszał, ale pozostawał trochę z dala od całego zamieszania. Nie to, że mu całkiem umknęło, ale nie wciągnął się w nie tak jak matka.

– Bo ktoś go zabił, kretynie! – wrzasnęła Pazarukowa, jakaś taka chyba ucieszona mimo grozy sytuacji.

Ludzie zresztą lubią grozę, bo jest smakowitsza od normalności, nudy i codziennej rutyny.

– Przecież on żyje, a jeżeli ktoś miał go zabić, to ty! Chcesz iść siedzieć? – Syn był zdziwiony jej deklaracją.

– Teraz to ja będę bohaterką! Zobaczysz! – oświadczyła Pazurkowa i zadzwoniła pod 112.

* * *

Marlena Adach nie mogła spać. Coś ją martwiło. Właściwie martwiło ją wiele rzeczy, ale jedna szczególnie. Zwłoki za domem syna, to znaczy ich wspólnym domem, oczywiście nie poprawiły jej nastroju, ale to jakoś przelknęła, tylko że teraz ogarniały ją złe przeczucia... A najbardziej denerwowała ją jedna osoba.

Dorota.

Oczywiście synowa zawsze jest winna.

Ta wredna, głupia dziewczucha coś kombinowała.

Daniel zniknął, a Marlena nie rozumiała dlaczego. Nic jej nie powiedział. To było nieoczekiwane jak psychiczny cios w twarz.

Bo ona jemu wszystko by oddała, dla niego zrobiłaby wszystko, a on potraktował ją jak zbędny mebel. Kochała swojego syna miłością bezwzględną. Był jej ideałem, jej mężczyzną, jej cudem wszechświata... a on traktował ją jak zwykłą matkę. Bez ceremonii i ceregieli, a nawet bez czolołbitności. Nie, żeby tego żądała, ale przy całym tym poświęceniu coś jej się od niego należało.

Co gorsze, podejrzewała, że doszło do paskudnej, obrzydliwej zdrady, bo Dorocie powiedział, a to było jawną niesprawiedliwością. Matka to jednak ktoś, a żona – rzecz nabyta.

Nie, nie uważała się za nadopiekuńczą matkę ani wredną teściową. Matką była zwyczajną, tyle że Daniel był po prostu takim synem, którego należało wspierać. A co do bycia teściową... przecież to nie zależało od niej. To synowa tworzy teściową, nie odwrotnie.

Dorota była w ogóle złym pomysłem, ale Marlena musiała się zgodzić. Uważała, że to lepsze niż wizyty w tamtym przybytku.

No, a na popęd seksualny nie ma rady.

Dorota weszła do ich domu i niestety zaczęła się rządzić. Chciała równych praw, a na dodatek te równe prawa miały obejmować wszystko, cały dom, kuchnię oraz – co naprawdę śmieszne – wydatki. I to jeszcze nie wszystko! Otóż Dorota chciała Daniela dla siebie.

Ani to inteligentne, ani rozsądne. Nie były równe! Przecież Dorota, na litość boską, była tylko żoną!

W tej chwili od kilku godzin bardzo nieobecna. Wyszła, nie mówiąc, ani gdzie idzie, ani co zamierza. To zakrawało na bezczelność.

Teraz Marlena doskonale rozumiała te wszystkie wredne arabskie teściowe z książek. One miały rację!

Stała i dumiała. Z daleka zobaczyła truchtającą babulinę.

– Czekaj pani na synową? – zagadała Matecka, bezbłędnie wyczuwając jej nastrój.

– Po prostu wyszłam odetchnąć świeżym powietrzem. Na nikogo nie czekam! – obruszyła się starsza Adachowa nieszczerze.

– To i dobrze, bo ona w krzakach pod blokami sika.

– Co robi?

– No, sika, sama widziałam!

Marlena się wściekła. Co jak co, ale sikanie po krzakach? Przecież żonie Daniela, pisarza, co tam, wielkiego pisarza, naprawdę nie wypada się tak zachowywać. To wstyd! I to wstyd, który spadnie na całą rodzinę.

* * *

Marcin wrócił do domu od ciotek Adeli dość roztrzęsiony i tak napełniony piwem, że marzył tylko o wizycie w ubikacji. Już wbił kod do domofonu i z ulgą usłyszał bzyczenie, kiedy jego uszu dobiegło jeszcze coś innego.

– Pssst – zaszemrało coś wyraźnie ludzkim głosem i nie można było pomyśleć, że to przypadkowy szmer wiatru albo syk węża ukrytego w zaroślach, choć osoba ukryta w zaroślach rzeczywiście była. Częściowo.

Marcinowi wcale się to nie spodobało.

– Jezuu, czego? – zapytał, bojąc się, że ktoś wepchnie się wraz z nim do klatki, a potem urządzi sobie w niej legowisko, jak często zdarzało się niektórym menelom.

Nie był to wielki problem, o ile menel wcisnął się do klatki i tyle. Gorzej, jeżeli chciał potem jeszcze wepchnąć się do mieszkania pod groźbą, że nasika na klatce, a sąsiedzi potem skopią mu, to znaczy Marcinowi, tyłek za to, że kogoś wpuścił.

– Muszę z panem porozmawiać – powiedziała kobieta, którą rozpoznał jako młodszą panią Adachową.

Nie poprawiło mu to humoru, bo wizja kibelka zaczęła się oddalać. W końcu jeżeli ktoś na ciebie czeka w krzakach, to z pewnością ma sprawę nieco dłuższą.

– Teraz? – zdziwił się. Było późno, a może nawet i wcześniej.

– A kiedy? Siedzę tu od osiemnastej! Myślałam, że szmergla dostanę! Posikałam się... Prawie padłam z nudów! Muszę coś panu powiedzieć – oznajmiła nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Ale na litość, dlaczego mnie? Jestem tylko pracownikiem biblioteki. Niech pani idzie z tym na policję! Cokolwiek ma pani na myśli, bo pewnie jest to związane z tym trupem.

– Jest? Nie jest? Może? – westchnęła. – Prowadza się pan z tą policjantką, to może jej pan powtórzyć. A ja nic jej nie mogę powiedzieć, bo mnie teściowa oskalpuje albo pogryzie, jak mnie z nią zobaczy.

Ucieszony, że kobieta nie jest jednak bezdomnym menelem, Marcin wpuścił ją do klatki, a potem do mieszkania. Nie miał wyjścia.

Najpierw jednak, zostawiwszy Dorotę w pokoju, pognał wręcz galopem do łazienki.

– Zaraz wracam! – zapewnił ją solennie.

* * *

Adela wróciła od ciotek mniej więcej w tym samym czasie. Niczego poza prysznicem nie pragnęła, niczego poza bólem głowy się nie spodziewała.

A jednak.

– Adela! Ratunku! Mam trupa w domu! – usłyszała w słuchawce głos Marcina.

Niezbyt dobrze zrozumiała przekaz.

– Skąd go wziąłeś? – zapytała trochę otumaniona sytuacją.

– Problem w tym, że znikąd go nie brałem, sam przyszedł. Przyjedź, ratuj! Błagam!

* * *

Wieczorna sesja wynurzeń upiora (bo czasami swoje pomysły przedstawiał nocą) była zdecydowanie robaczywa.

Ludzie, uważajcie! Teraz robaki dodają do wszystkiego. Zapisują ich nazwy po łacinie. Czytajcie skład produktu. Te robale uzależniają.

Nie wolno tego jeść! Ludzie padają jak muchy!

Taki na przykład Prucylus vurgata to robak zjadający odpadki katowe. Dodają go do jogurtu! A tego, co się nazywa koszon z Nilu, do cukierków, bo to świnia nilowa. Niebieska! I robią to tylko po to, żeby ludzie umierali. Depopulacja!

Upiór, jak przystało na upiora, lubił ludzi straszyć. Zwykle upiory zazwyczaj jednak straszą ludzi wyglądem, a ten straszył raczej poglądem i podglądem.

* * *

Marcin wpadł do łazienki i oddał się przyjemności. Tak długo nie mógł z niej skorzystać, że trwało to i trwało. W pewnym momencie usłyszał krzyk.

– Zaraz, chwila, idę, muszę skończyć! – zawołał i spuścił wodę.

Umył ręce i wyszedł do salonu.

– Ja pierdzę! Ja pierdzę! – zawołał z zachwytem Samuel stojący koło biblioteczki i uroczyście pierdnął. – Napisał mi pierdzenie!

Zdecydowanie wielu pisarzy o tej czynności zapomina (w książkach, nie w życiu). Bohaterowie nie pierdzą, w ogóle niewiele robią w zakresie czynności fizjologicznych, poza wymiotami i seksem. Autorzy o czymś takim po prostu nie piszą, bo i nie ma po co, no chyba żeby pokazać, że ten czy inny bohater jest świnią, abnegatem albo skończonym chamidłem.

– Jezus Maria, przestań! – jęknął Marcin i złapał się za głowę.

Samuel stał tuż nad ciałem kobiety, którą Marcin właśnie wpuścił do mieszkania.

– Zabiłeś ją? – wrzasnął Marcin przekonany, że to, co widzi, jest jakąś koszmarną zbitką dwóch rzeczywistości: tej literackiej i tej prawdziwej, choć nie do końca był pewien, która jest bardziej realna.

– No przecież wiesz, że nie mogę tak działać. W każdym razie jeszcze nie mogę, bo liczę na to, że się nauczę. Te podręczniki do literackiego samorozwoju są niezłe, choć przyznam, że coraz bardziej zadziwia mnie mój autor, i to na minus, a nie na plus... – Samuel przerwał tyradę. – A jeżeli chodzi o nią, to już trochę tak leżała, jak przyszedłem.

Marcin zignorował jego ostatnie słowa.

Bardzo trudno jest trochę leżeć, bo to sugeruje, że nie całkiem, jeżeli więc leżała tylko trochę, to trochę też nie leżała.

Teraz jednak kobieta leżała całkowicie, twarzą w dół, z nogami w kierunku drzwi i rozrzuconymi rękami, a z jej głowy sączyła się krew. Nie wykazywała takich oznak życia, które dla Marcina byłyby właśnie oznakami życia. Gdyby choć wrzeszczała, wyzywała, ruszała się albo coś – a tu nic.

Dotykać jej nie zamierzał. O, co to, to nie. W sytuacji, w której się znajdował, wołał nie zostawiać na niej żadnych swoich śladów, choć pewnie wpuszczając ją do domu, bezwiednie jednak to zrobił.

Lekarzem nie był, na pulsach się nie znał, a krew sprawiała, że prawie mdłał.

W domu nie było nikogo innego. Ona sama w łeb się nie wałnęła, więc albo on ją załatwił i tego nie pamięta, a więc jest morderczym psychopata, albo zrobił to Samuel, co wcale nie było lepsze, bo oznaczało, że w domu Marcina grasuje obłąkana postać literacka jak z horroru, której istnienia nie da się nikomu udowodnić. Ani nawet pokazać.

Czyli tak czy tak, to Marcin wyląduje albo w więzieniu, albo w psychiatryku.

Wpadł w panikę. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie zwłok. Wolałby nawet menela, w tej chwili z chęcią oddałby mu nawet łóżko i wannę, bo menel to menel, pośmierdzi i wyjdzie, a zwłoki to jednak zwłoki.

Dlatego zadzwonił do Adeli.

Do Gabi też niby mógł, ale tylko Adela była w stanie mu pomóc, bo za skarby świata nie chciał zostać uznany za mordercę.

Przez chwilę miotał się, biegał od okna do drzwi, żeby wpuścić Adelę, jak tylko przyjedzie. W końcu pobiegł do kuchni, a kiedy wrócił, policjantka już stała nad zwłokami.

– Co ty tu robisz? – zawołał bardzo zdziwiony.

Przez myśl przemknął mu znów pomysł, że ma zaniki pamięci, bo wydawało mu się, że nie otwierał drzwi, ba, nawet nie słyszał dzwonka domofonu.

– Przecież do mnie dzwoniłeś.

– No ale jak weszłaś? – zapytał nieśmiało, bojąc się usłyszeć, że sam ją wpuścił.

– Zwyczajnie, drzwi były otwarte, i te na dole, i twoje też, więc weszłam.

Zaczęła przyglądać się zwłokom na dywanie.

– Nie żyje? – zapytał Marcin z miną zatroskanego spaniela, która była wyrazem zakłopotania i przerażenia zarazem. – Przyszła tu, czekała na mnie od osiemnastej, tak mówiła, musiałem tylko się wysikać, wracam, a tu to... – Wskazał ręką leżącą na podłodze kobietę.

– Po co ona tutaj? – zapytała Adela.

To pytanie było naprawdę zasadne, bo z tego, co policjantka widziała, wydawało się, że ci dwoje raczej wcześniej się nie znali. Owszem, pewne sytuacje nie tylko przyspieszają zawieranie znajomości, ale też je trochę kondensują, i do tych sytuacji z pewnością należą morderstwa. Odwiedzanie się w domach nocą to jednak trochę za dużo na coś takiego, nawet porządnie, morderczo skondensowanego.

– Nie wiem. Mówiła, że coś chce mi powiedzieć, żebym tobie przekazał, ale co? Jak? Nie wiem.

– Ktoś ją walnął w głowę.

– Ale kto?

– Najprawdopodobniej ty – stwierdziła Adela kąśliwie. Nie była niewiniątkiem i lubiła czasami trochę się wyzłośliwić.

– No zdurniałaś?! Po co miałbym ją zabijać we własnym mieszkaniu? – zapytał Marcin, ale natychmiast zorientował się, że to, co powiedział, było dość dwuznaczne.

– A po co w ogóle ją zabijać? – podchwyciła policjantka.

– Nie mam pojęcia!

– Wiem, ale chyba to miało tak wyglądać, jakbyś ją zabił. W każdym razie ktoś tego chciał, ale mu się nie udało.

– Bo cię wezwałem? – westchnął Marcin i pogratulował sobie w duchu tego pomysłu.

– Nie, bo ona żyje. Może nam powie, kto ją walnął. I dlaczego.

Dorota powoli dochodziła do siebie. Usiadła, jęknęła, złapała się za głowę.

– Ja kiedyś zwariuję! – powiedziała i znów mało nie padła na podłogę, tym razem na wznak.

Nie wyglądała za dobrze. Była jakaś wymęczona, wymięta, blada i oczywiście zakrwawiona.

– Wzywać pogotowie?

– Po co? – zdziwiła się i podrapała się po głowie. Wtedy zdała sobie sprawę z rany i z tego, że krwawi. – Nic mi nie jest – oznajmiła. – Przepraszam, ale chyba będziesz musiał oddać dywan do pralni.

– Pieprzę dywan! – odparł Marcin.

Był bardzo zadowolony z tego, że kobieta żyje. W tej chwili oddałby z ochotą do pralni nawet ściany i trawnik przed domem, i nawet za to zapłacił, bo pieniądze to rzecz nabyta, a za plamy na podłodze nie idzie się do pierdla.

* * *

– Ja pierdę – powiedział konfidencyjnie Samuel, uśmiechając się do Marcina zza biblioteczki, kiedy Adela i Dorota poszły się obmyć w łazience.

– Przestań, proszę, to jest już naprawdę obrzydliwe.

– No właśnie – stwierdził byt literacki – i to mnie martwi!

– Nie rozumiem – westchnął Marcin, mając już dość tej paskudnej dwoistości świata. – Naprawdę!

– Bo widzisz, wszystko jest jakoś nie tak. Pierwsze dwa tomy były świetne, choć trochę niedopracowane, ale to, co on odpierdala teraz, to zupełny koszmar. Tak jakby stracił talent! Wiesz, co to dla mnie znaczy?!

– Wena go opuściła?

– A tam wena. Zobacz, co on wyprawia! Jakieś durne kapelusze, jakieś pierdzenie? Jakieś drapanie się po jajach... To zupełnie nie pasuje do tego, co było kiedyś! Tak jakby mu się na mózg rzuciło albo jakby nie umiał pisać! Jakby nie był tym samym człowiekiem!

Marcin pomyślał, że sytuacja prawdopodobnie niszcząco wpłynęła na psychikę autora, i może by wyciągnął z tego jakieś wnioski, gdyby tej konwersacji nie przerwał powrót pań. Przy nich rozmawiać nie mogli.

Pisarki pracowicie przepracowywały szok, usiłując coś z niego dla siebie uzyskać. Nie ma tak, że życie sobie, a sieć sobie. Teraz to są już naczynia połączone.

Opublikowały kilka wpisów na Facebooku, ale natychmiast je pokasowały, bo wyglądało to na autopromocję, a autopromocja jest zakazana.

Tak się jakoś porobiło w internecie, że autorzy, którzy piszą o sobie i swoich książkach, są bardzo źle postrzegani. Wiadomo, im nie wolno. Piekarze, krawcy czy inni – owszem, mają prawo pisać, że pieką dobre chleby albo robią piękne buty i nikt do nich nie ma o to pretensji. Natomiast autor, który powiedziałby publicznie, że pisze dobre książki, jest automatycznie skazany na hejt. W wielu miejscach w sieci są nawet ostrzeżenia, że „autorska autopromocja całkowicie zakazana”. Bo taki przekonany o swoim talencie pisarz jest bardzo, ale to bardzo źle wychowany. To taki jakby komercyjny cham, a słowo „komercja” w kontekście pisarza brzmi paskudnie. Inni mogą go chwalić, o ile nie robią tego zbyt nachalnie, mogą go ganić i wyzywać, tu ograniczeń brak, bo wiadomo, de gustibus... i tak dalej. Ale autor? Sam siebie? No bez przesady! W żadnym razie!

Pisarz ma być skromny i powściągliwy, siedzieć cichutko w kąciku, a jak ktoś go pochwali – obowiązkowo spuścić oczy i powiedzieć, że nie, nie zasłużył na dobre słowo, on tylko tak, no, starał się, ale nie wyszło za dobrze, musi się poprawić. I wtedy ewentualnie ktoś powie, że jest sensownym pisarzem, bo się nie wywyższa, choć rzeczywiście powinien się poprawić, bo te jego dialogi są drętwe, fabuła schematyczna, a postaci papierowe. Ale przynajmniej rokuje.

Kolegów i koleżanki można promować, oczywiście z umiarem, choć i tak nikt w te promocje nie wierzy. Autorzy powinni siedzieć cicho i czekać na zlitowanie. Może ktoś kiedyś coś o nich napisze.

– No to co? W końcu piszemy coś czy nie? – zapytała Gośka, stojąc nad laptopem, na którym pracowała Grażyna.

Ta co chwila coś wycinała, kasowała, znów pisała i ogólnie nie miała weny twórczej w żadnym wydaniu. Jedno zdanie wymyślała pół godziny, potem drugie pół je poprawiała, a w końcu i tak kasowała wszystko, bo było albo za bardzo auto-, albo za bardzo promo-, albo po prostu do dupy.

Cały układ miał być zupełnie inny. To nie one, a ktoś miał pisać o sprawie, więc i o nich. Ktoś, czyli dziennikarze! Ale teraz, kiedy Daniel zaginął, a zwłoki nie były związane z pisarstwem, to, co ktokolwiek by napisał, i tak się do niczego nie nadawało.

Zwłoki mężczyzny zostały odnalezione w Tęczowie. Policja bada sprawę. Taka informacja zupełnie nie była dla nich przydatna. Gdyby jeszcze ktoś wspomniał o Danielu... a tu nic. Gdyby sam Daniel wspomniał, zalogowawszy się anonimowo, któraś mogłaby napisać, że ten Daniel to pisarz, wtedy druga by dodała, że podobno inne pisarki też są w to zamieszane, i to by poszło jak woda, a tak nic nie dało się zrobić, tym bardziej że Filip był detektywem. Tylko detektywem. Mogły oczywiście same coś wykombinować, choćby na Instagramie, ale do tego potrzebny był jakikolwiek pomysł.

– Nie mamy zdjęć – westchnęła Marta.

Wiadomo, zdjęcia zwłok, nawet te całe składające się z zasłaniających wszystko pikseli albo czarnych prostokątów, są lepsze niż żadne.

– Masz zdjęcia szopy... – zauważyła Gośka. Kombinowała, jak wpuścić Grażynę na minę, z której można by skorzystać.

Miny jednych ludzi bywają trampolinami drugich, takie są odwieczne prawa natury... albo nie, nie natury, ale internetu na pewno.

– I co napiszę? – wściekła się ta ostatnia, bo naprawdę nie umiała niczego wymyślić.

– Nie wiem. Napisz, że znaleziono zwłoki, że zaginął Adach, i wstaw zdjęcie spalonej szopy.

– Te sprawy się ze sobą nie łączą – jęknęła Grażyna zawiedzionym głosem.

Sprawy jakoś może się i łączyły, ale nie wolno było tego typu domysłów puszczać ot, tak sobie, jeżeli nie chciało się mieć kłopotów. Zbyt daleko posunięte dywagacje mogły zaszkodzić, zamiast pomóc.

– Jasne, że się nie łączą. I ty nie napiszesz, że się łączą. To ludzie połączą nieistniejące kropki i zrobi się trochę szumu – pocieszyła ją Gośka.

To było już jakieś wyjście z sytuacji.

– Po co mi szum z szopą? – Grażyna udawała głupszą, niż była, bo to powodowało mniej hejtu w sieci, więc tę strategię przeniosła także do realu.

W internecie nie lubi się ludzi, którzy mówią z sensem. Nie lubi się inteligentów, ludzi wykształconych, a najbardziej nie lubi się ludzi sukcesu, hejtuje się ich naprawdę ostro, no chyba że tym sukcesem jest ładne wypierdzenie znanej melodii albo usta wielkości bananów.

– To weź w to wmontuj stosik swoich powieści – zaproponowała Marta.

– Może naszych też? – dodała Gośka.

– Właśnie. I będzie bajer – podchwyciła znów Marta.

Grażyna, aczkolwiek dość niechętnie, zgodziła się na ten fotomontaż i wstawiła go na Facebooka.

Wyszło nawet fajnie, zdjęcie się bardzo udało. Przez chwilę wzbudzało jako takie zainteresowanie. Tyle że Grażyna nie zauważyła, że zza szopy widać jakąś antenę, chyba na domu naprzeciwno. Ludzie oczywiście połączyli kropki, natychmiast się zagotowało i zdjęcie poszło jako viral pod tytułem *5G zmusza ludzi do palenia książek*.

Nikommu na książkach specjalnie nie zależało, ale pojawiły się takie hashtagi jak #kontrolaumysłu i #depopulacja, a to interesuje bardzo wielu zjadaczy internetu.

No i jeżeli 5G zmusiło pisarkę (bo to podobno jakaś pisarka wstawiła) do spalenia własnych książek, a każdy wie, jakie są pisarki, to musi być zajebiste jak bimber dziadka Józia, co znaczy, że mocne, czyli może wszystko! Takie tam palenie książek to pryszcz, to może jeszcze coś gorszego ludziom zrobić. Może ich zmusić do czytania!

I przy całym tym bałaganie nikt nawet jej nazwiska nie wspomniął.

* * *

– Kto to pani zrobił? – zapytała Adela.

Było wręcz nielogiczne i niemożliwe, żeby Dorota nie widziała, kto ją zaatakował. Niemożliwe było też, żeby ktokolwiek ją zaatakował, bo jak? Wpadł do chałupy, ciach i wypadł? I po co? Chciał zabić? Okaleczyć? Czy tylko nastraszyć?

A jeżeli to ostatnie, to kogo nastraszyć? Żonę Daniela czy mieszkającego tu Marcina, czy jakichś wyimaginowanych albo ogólnie nieznanych wrogów? No przecież nie policjantkę! Jej nawet nie miało tu być.

A może to była tylko zasłona dymna i chodziło o to, żeby zaatakować kogokolwiek i dać wszystkim w ten sposób do zrozumienia, żeby przestali węszyć?

– Nie widziałam – westchnęła Dorota. – Stałam tyłem, coś się w oknie odbiło, ale ja i tak podejrzewam, że to moja teściowa! To musiała być ona. Chciała mnie uciszyć.

Jak wszystkie biedne, strauatyzowane synowe całego zła tego świata upatrywała w teściowej, choć gdyby trochę się rozejrzała, zobaczyłaby, że owszem, teściowa jest wredna, ale innym, jak choćby mężowi, też należy się medal za głupotę.

– Ale dlaczego?

– Widziała pani, jak się do mnie odzywa? Jak na mnie patrzy?

Nikt specjalnie się nie przygląda temu, jak teściowe patrzają na synowe, bo to rzecz oczywista, trudno w tym układzie o pozytywne

uczucia (choć się zdarzają). Poza tym lepiej nie zwracać uwagi, żeby nie musieć stanąć po którejś ze stron, bo to nie jest dobre wyjście z sytuacji.

– To jeszcze nie powód do ataku. I skąd by wiedziała, gdzie pani jest?

– Mogła mnie śledzić.

Dorota jak typowa paranoiczna synowa zaczęła zwać wszystko na teściową. Oczywiście mogła mieć rację, tyle że teściowe mają mnóstwo innych rzeczy do roboty niż śledzenie synowych.

– Zawsze panią śledzi, jak pani wychodzi z domu? – zapytała Adela z niedowierzaniem.

To, co mówiła żona Daniela, mogło mieć jakieś podstawy, ale jeżeli było tylko wymysłem, naprawdę nie warto było sobie tym głowy zawracać.

– A skąd mam wiedzieć? Jeżeli mnie śledzi, robi to w taki sposób, żebym nie widziała.

– No ale to jest durne – stwierdził Marcin. – Gdyby chciała coś pani zrobić, to zaatakowałaby bliżej domu, a nie wdzierала się do obcego mieszkania. Po drodze są krzaki, jest las. W domu też mogła, na podwórku... Dlaczego tutaj?

– Bo usłyszała, jak mówiłam, że chcę coś powiedzieć? – zasugerowała Dorota z krzywą miną. W jej opinii to wszystko stanowiło niezbity dowód, że teściowa usiłowała ją zabić.

– A co chce pani powiedzieć?

Dorota rozejrzała się niepewnie, jakby chciała sprawdzić, czy w pobliżu nie znajduje się matka Daniela. Spojrzała nawet w kąt koło biblioteczeki, gdzie niewyraźnie majaczył i wyraźnie pierdział obraz Samuela Kaszaka, ale chyba go nie zauważyła. Albo się nie przyznała, biorąc go za majak po urazie głowy.

Adela, też całkowicie nieświadoma obecności zjawy, popatrzyła w tamtym kierunku, ale nie dostrzegła niczego. Natomiast Marcin, nie mogąc nic powiedzieć, zerknął na Samuela i zrobił minę w stylu: „No co? O co ci chodzi?“, akcentując ją oczami i podbródkiem, co zaskoczyło obie obecne w pokoju kobiety.

Samuel skrzywił się niechętnie i wskazał głową w kierunku Doroty.

– Ta baba jest nienormalna – powiedział.

Marcin osłupiał. Podeszedł do biblioteczki. Chciał o coś zapytać, ale oczywiście nie mógł, nie w tej chwili i nie w takiej asyście. Jeszcze raz zrobił porozumiewawczą minę.

– Może sama się walnęła? – zasugerował Samuel. – To jakaś mitomanka.

Marcin aż podskoczył.

– Chcesz się bić z półką na książki? – zdziwiła się Adela.

– Z nikim nie chcę się bić – westchnął. – Chciałbym wiedzieć, o co w tym chodzi. Przyłazi do mnie żona sławnego pisarza, a zaraz potem ktoś wali ją w łeb? U mnie? W domu? Nocą?! Czy to nie jest nienormalne? Może pani się pomyliła, może pani zemdląła, może to było przywidzenie?!

– Nie mam przywidzeń! – wrzasnęła Dorota z wściekłością.

Ludzie zawsze są wściekli, kiedy ktoś podważa ich relację.

– Ale... Niech pani to jakoś wytłumaczy, bo to się kupy nie trzyma! – warknął niezadowolony.

Samuelowi wierzył. Był to dość specyficzny układ – Marcin wierzył czemuś, co nie istniało, a temu, co istniało i naprawdę było zakrwawione, wierzyć przestał.

Ludzie są skomplikowani.

Tyle że Dorota jakoś mu nie pasowała. Ani do tego miejsca, ani do całej sytuacji.

– No wiem. Wiem. Powiem wam, o co chodzi – jęknęła Dorota. – Teściowa o tym nie wspomniała, ale rozmawiała z tym zamordowanym, klóciła się z nim o coś. Słyszałam nawet, jak krzyczała, że tego nie daruje i że go załatwi. Poważnie.

– Rozumiem, ale o co chodziło?

– Nie wiem, to znaczy podejrzewam, ale nie wiem. Nie na sto procent.

Wszyscy się denerwowali. Jak dotąd rewelacje Doroty były niewiele warte w stosunku do zachodu, jakiego sobie zadała, żeby z tym do nich przyjść. Liczyli jednak, że to nie koniec.

– Niech pani w końcu to z siebie wydusi, bo znów ktoś panią zaatakuje!

– Ale tutaj? – zdziwiła się.

Dała tym Marcinowi powód do jeszcze mniejszej wiary w poprzedni atak, który przecież podobno miał miejsce właśnie tutaj. Skąd więc to nieukrywane albo źle ukrywane zdumienie?

– Tutaj, tam, gdziekolwiek.

Huk drzwi na klatce schodowej zabrzmiał jak wystrzał. Dorota prawie zemdląca. Wszystkich oblał zimny pot. Tak przecież działa wyobraźnia. Rzucili się na podłogę, jakby miało dojść do strzelaniny. Czekali na kolejne wystrzały, każdy z głową zakrytą rękoma.

Po chwili podnieśli się zawstydzeni.

– No niech pani wreszcie gada! – rozkazała Adela, zła na siebie i wszystkich dookoła.

– Ja myślę, że chodziło o tę sprawę z piecem – wydukała Dorota. – Mąż mi coś tam mówił. Podobno w piecu umarł jeden facet, kiedy Daniel uczył się w tej szkole, a jego matka była dyrektorką. Zatuszowała sprawę, bo to nie było dokładnie tak, jak zostało przedstawione. Podobno chodziło o coś jeszcze. Jakies... rękopisy?

Marcin i Adela popatrzyli na siebie. Tę sprawę jako tako znali, ale facet po prostu umarł, nie został zamordowany, a zatuszować można tylko morderstwo, bo śmierci raczej się nie da.

– Dobra, wiemy o tym. – Adela wzruszyła ramionami. – I co dalej?

– No, bo ktoś puścił plotkę, że ten gość morduje koty.

Ludzie kochają koty, ale jeszcze nie zanotowano aktów agresji wobec osób, które te koty traktowały niezbyt przyjaźnie. Poza tym koty i szkoła? Czy to normalne? Kto hoduje koty w szkole, kto je tam morduje

i po co? Bo chyba facet nie został zaatakowany w szkole za działalność prywatną, czyli domową?

– No i co? – Marcin pokręcił głową bez specjalnego zaangażowania.

– No i nic. On był w piecu!

Przez chwilę wszyscy dumali nad tą męską wersją bajki o Jasiu i Małgosi. Dzieciaki wzięły sporego chłopca i wsadziły go do pieca. Brr, ale dość dziwne brr.

– Z głową?

– Co z głową?

– Z głową był w tym piecu? – Marcin zadał techniczne pytanie, znów zastanawiając się nad gabarytami obu obiektów: pieca i faceta.

– Chyba tak. Nogi mu dyndały.

– To był duży piec?

– To był piec w remoncie. Taki spory, kafłowy, jakby z płytą, na wpół rozwalony. W zasadzie chyba zabytkowy i raczej na pewno nieczynny.

– I ten facet umarł?

– No, właśnie tak, podobno. Niby sam z siebie, ale wtedy właśnie, w tym piecu.

– A kto był Jasiem i Małgosią?

– A skąd mam wiedzieć? Zresztą ja nic w ogóle nie wiem. Tylko słyszałam.

Takie podsumowanie wszelkich rewelacji bardzo utrudnia ich weryfikację.

Dodatkowo opowieść żony Adacha wyglądała trochę na temat zastępczy. Nie było w niej nic szokującego, nic nowego, nic, co by podniosło im ciśnienie. Dorota razem z tą jej dziwną eskapadą wcale nie wyglądała rozsądnie. Było w niej coś nielogicznego.

Tych niby rewelacji nie musiały przecież przekazywać im w aż takiej tajemnicy.

– Morderca! Mam go! Złapałam mordercę! – wrzasnęła Pazurkowa do telefonu, po czym podała adres mieszkania Piotrka.

Na posterunku wybuchła panika.

Takie akcje w wykonaniu starszych pań (po głosie można było poznać wiek przyszłej denatki, a jeżeli mówiła prawdę, nikt nie wątpił, że nią zostanie, i to szybko) powodują sporo zamieszania. Trzeba wysłać patrol, tylko nie wiadomo do kogo – do zwłok z oderwaną głową, zostawionych przez mordercę, który zdążył już załatwić dzwoniącą, do wariatki, która zobaczyła jakieś niewyraźne odbicie w lustrze i coś jej się ubzdurało, czy do rzeczywistego mordercy, który przecież może być uzbrojony i czeka na policję wraz z zakładniczką. No i jak w takim razie się ubrać? Na czarno, w kamizelki? I czy podjechać z fasonem, czy z cicha pęk?

Kamizelki były w zasadzie uniwersalne, przydawały się w każdej sytuacji, ale syreny nie, bo mogły spłoszyć mordercę.

I jak to zawsze bywa, funkcjonariusze wyjechali z wyciem i bez kamizelek, bo jakiś policyjny neofita stwierdził, że nie pokażą po sobie strachu.

* * *

W tym samym mniej więcej czasie w innej, choć zdecydowanie niedalekiej części miasta trzy osoby zastanawiały się, co robić, bo czekały właśnie na wezwaną policję.

- A wiesz chociaż, jak się nazywasz? – zapytał Piotrek raz jeszcze. Nie pojmował całej tej sprawy i bał się tego, co wymyśliła matka.
- No mówiłem, że chyba Kopydło – odparł Daniel.
- Teraz rozumiesz? – szepnęła Pazurkowa. – Prawda?
- Mamo, ale co mam rozumieć? – jęknął Piotrek.
- Mówiłam ci, że ktoś go zabił, kretynie! – wrzasnęła.
- Tego Kopydłę?
- Tego Kopydłę! Właśnie. Jego.

- I?

- Zabicie kogoś jest traumą, prawda?

- No, chyba nawet powinno być – stwierdził, nie chcąc denerwować matki.

- I potem ktoś go wali w łeb...

Z jej wypowiedzi trudno było wywnioskować nie tylko, kogo w ten łeb ktoś wali – czy Kopydłę, czy Adacha, lecz także kto to robi. Same niewiadome, choć chyba nie dla wszystkich.

- Ty, mamó! Ty go walisz w łeb! – stwierdził Piotrek bez zastanowienia.

- Nieważne. Ważne, że mu się w tym łbie miesza. I on myśli, że jest własną ofiarą.

- Skąd wzięłaś te bzdety?!

- Z YouTube'a, taka jedna ma o tym film na kanale. Wie, co mówi, bo jak kiedyś coś tam, to potem też myślała, że jest karaluchem płowym. Na szczęście się okazało, że takich nie ma, i wtedy jej odpuściło, ale trauma była straszna. No i ona opowiadała, że tak jest. Zaraz przyjedzie policja.

- No, bardzo pięknie. Przyznasz się, że go walnęłaś?!

- A po co? Przecież to nieważne! Ważne, że dam im mordercę na tacy! Medal mi przyznają. Nie rozumiesz?

Piotrek matkę kochał najbardziej na świecie. To znaczy inaczej się nie dało, musiał. Czasami nawet próbował się od niej odciąć, ale był z nią zbyt związany emocjonalnie. Mimo to nie zawsze ją rozumiał, choć zawsze się starał – nie, nie rozumieć, ale przynajmniej wyglądać, jakby rozumiał.

- No i teraz wiesz, dlaczego nie wolno sypiać z facetami? – rzuciła mu matka w twarz z taką miną, jakby miała ochotę w nią napluć.

Oboje mieli misję ratowania świata – on przed globalnym ociepleniem, ona przed genderyzmem i ekologizmem. W zasadzie

dobrze wyznawać jakieś ideały, tylko lepiej nie zatruwać nimi życia innym.

– Nie sypiam z facetami! – warknął Piotrek oburzony.

– Sypiasz. W jednym domu! Sypiasz! Co ludzie powiedzą?!

Dla Piotrka to, co ludzie powiedzą, było równie istotne jak dla jego matki, ale oczywiście nie mógł się do tego przyznać, tym bardziej że pozował na bardzo męskiego mężczyznę, takiego co to się matkom i ich zabobonom nie kłania.

– I jesz robale! On cię opętał demonem ekologizmu, on, morderca! – Z wściekłą miną podeszła do Daniela i kopnęła go w goleń.

– Au – jęknął – co pani robi?!

Pazurkowa popatrzyła na niego jak na zdechłą ropuchę, ale miała w tym sporo racji – nie wyglądał najlepiej.

– Mamo! Tak nie wolno!

– Nie broń go! To morderca!

– Ale że ja?

– A kto zamordował Kopydłę? – rzuciła i jeszcze raz go kopnęła.

– No ale... Kopydła nie żyje?

– Kopydło, nie Kopydła.

– To nie ja! To nie ja! Ja go nie zabiłem! – Adach rozszlochał się i przez to wyglądał jeszcze gorzej, jak jedno wielkie zakrwawione, usmarowane i niedogolone nieszczęście.

– To po co żeś się golił? Ha? Chciałeś się pozbyć dowodów zbrodni, śmieciu! – krzyknęła Pazurkowa, jakby pozbywanie się dowodów zbrodni było od samej zbrodni o wiele gorsze.

– Nie chciałem, nie dowodów, ale pozbyć... tak. Musiałem! – jęknął Daniel. – Dostałem wszy!

W tym momencie oboje, matka i syn, od niego odskoczyli. Wizja paskudnych, małych wrednych robali sprawiła, że natychmiast zaczęli się drapać. Sama myśl o wszach swędzi.

- O Jezu - jęknął Piotrek, haratając się po czuprynie z wielkim samozaparciem.

- Nie, tam nie - powiedział Daniel - to łonowe. Jezu, nie wiem, jak się nazywam, a wszy pamiętam! Było ich tyle, że łąziły... Tak łąziły, tak...

- Aaaaa! - wrzasnęli oboje, i matka, i syn.

W tym momencie do mieszkania wpadli policjanci. Zachęceni zresztą, a może i zmuszeni wrzaskiem, pewni, że odwała się tu jakaś masakra.

Oczywiście wpadli z fasonem, a właściwie z drzwiami i powalili wszystkich na podłogę, ale trudno im się dziwić, trzeba być ostrożnym - nikt nie ma wypisane na czole, że jest albo nie jest mordercą, nawet upierdliwe staruszki.

- Uważajcie, mendy! - wrzasnęła Pazurkowa, za co dostała kuksańca pod żebro.

- Będiesz wyzywać policjantów, starucho? - zawołał jeden z funkcjonariuszy.

- Mówiła, że ma mendy, znaczy wszy! - jęknął Piotrek.

- O, ty zjebie!

Najwyraźniej nie został zrozumiany i niestety ratując matkę, stracił zęba. Nie było sensu się starać. Leżenie twarzą do podłogi nie jest przyjemne, zwłaszcza kiedy ląduje się na progu.

- Gdzie morderca?! - wrzasnął najważniejszy z policjantów, aspirant Mroczek.

Został ściągnięty z domu, prosto z łóżka, a że budził się dość długo, dopiero teraz dostrzegł znajome plecy. Twarzy nie widział, bo wszyscy leżeli twarzami w dół. Te konkretne plecy natomiast należały do Pazurkowej, tamtych wcześniej nie widział.

- O - wyjąkali matka i syn.

Nie mogli wskazać palcem, bo unieruchomiono im ręce za plecami.

- To Daniel... Adach - jęknął jeden z tobołków.

Policjant ostrożnie sprawdził w zasobach swojej pamięci, co wie na temat osoby o tym nazwisku. Właściwie wiedział tylko tyle, że...

– Zaginiony Daniel Adach? No proszę! Chcieli pana zamordować? – zwrócił się do drugiego z tobołków.

– Nie. Chyba nie. Tak mi się jakoś wydaje.

– To kto jest tu mordercą?

– To Adach! – wrzasnęła Pazurkowa. – Podałam wam go jak na tacy! To on zamordował!

– To w końcu kto jest kim?! – huknął Mroczek i kazał usadzić zatrzymanych na kanapie.

– Nieee!!! – wrzasnęli matka i syn, kiedy chciano ich posadzić koło Daniela. – Mendi!

– Znowu zaczynacie?

– Nie, przecież mówię, on ma mendi, wszy ma, rozumiecie? Całe cholerne mieszkanie trzeba będzie zdezynfekować.

Nic tak się nie rozprzestrzenia jak wyobrażenia dotyczące wszy. Chwilę potem drapali się wszyscy.

– Normalnie chałupę trzeba będzie spalić – jęknął Pazurek. – Skąd ty wzięłeś to świństwo? Co?

– A ty co? Rudej Kici nie pamiętasz? Razem przecież tam byliśmy!

Pazurkowa przez chwilę słuchała, miotając się między radością a przerażeniem. Ruda Kicia to zdecydowanie rodzaj żeński, a więc gender Piotrkowi nie groził, ale z drugiej strony to przecież pracownica agencji, a właściwie burdelu, który od lat spędzał sen z powiek mieszkankom, a slipki z klejnotów mieszkańcom Tęczowa. Agencja Kocie Pysie, nazywana przez wszystkich „kocimi mordami”, była siedzibą wielu ciekawych chorób wenerycznych, przyczyną rozwodów oraz hospitalizacji z rozmaitych przyczyn. I wcale nie chodziło tylko o głowy i wałki (te od ciasta), ale też o inne, bardziej swędzące aspekty rzeczywistości.

Dopiero teraz Pazurkowa zrozumiała, skąd u syna te dziwne wypryski, a u Daniela wszy łonowe.

No i sama Ruda Kicia ją przerażała.

* * *

– I jak twój seks? – zapytał Marcin Samuela, kiedy Adela zeszła do samochodu, zabierając ze sobą Dorotę, którą postanowiła odwiedzić oficjalnie do domu teściowej, i to tak, żeby tamta bała się ją czymkolwiek zaatakować.

– Brak – westchnął Samuel. – Po tamtym, jak pisał mi te kapelusze, mój autor chyba się zaciął. Od dłuższego czasu nic nie dopisał. Moje życie jest do bani. Muszę się upić!

– Weź, przestań, alkohol nie jest wyjściem!

– Ale ja nie mówię o żadnym wyjściu z sytuacji. Po prostu zawsze, gdy tak się czuję, muszę się upić, tak mi to napisał. Najwyraźniej jestem alkoholikiem. A ja nawet nie lubię pić, bo zawsze robię to sam. I tak sobie myślę, że pisarze powinni być kreatywniejsi, bo w tej chwili to sztampa sztampę goni.

– To znaczy?

– Napisał mi, że piję, tak? To nie mógł mi dopisać jakiejś żony? Nawet dzieci? Albo choć dobrego, eleganckiego żarcia? Fajnego hobby? Mógłbym na przykład być dobrym mężem, wspaniałym ojcem i zbierać znaczki. Nie? Czy to nie byłoby wspaniałe?

– Może dla ciebie, ale czytelnika by to nie zaciekało. Czytelnicy lubią, jak coś się dzieje, jak są jakieś zagrożenia, traumy, problemy emocjonalne... A jaka trauma może się wiązać ze zbieraniem znaczków?

– No dobra, może to i fakt, mówią, że szczęśliwe rodziny są nudne. Ale dlaczego jestem brudasem? No? To też dla czytelników?

– Nie wiem, to jakby... – Marcin chciał powiedzieć coś o tym, że pewne sprawy są tak naturalne, że chyba się o nich nie pisze, ale Samuel mu przerwał:

– Słuchaj, a jak spotkasz tego Daniela, może byś mu powiedział, żeby mi napisał trochę wyuzdanego... Niech choć mi napisze, że byłem w burdelu, co? Proszę! Obiecaj!

Jęki tej niedo... wyraźnie zboczonej postaci literackiej, która zachowywała się jak pryszczaty nastolatek, choć była dorosłym mężczyzną, zmęczyły Marcina na tyle, że się zgodził.

– Nie powinienem, ale dobra, powiem mu. Choć skutku nie gwarantuję. Pisarze są bardzo drażliwi na punkcie tworzenia – zauważył, a potem dodał: – Ty, słuchaj, a twoje imię i nazwisko?

– Co z nimi?

– No, chodzi mi o to, skąd się wzięło. Masz jakiś pierwowzór?

– Nie wiem, pytaj Adacha, co mnie to obchodzi?

– Nie chciałbyś wiedzieć?

– A niby po co? Tyle się naczytałem o tym literackim samorozwoju, że mam pewien plan. Ciekawe, czy wypali.

Marcin wolał nie wchodzić w dalsze dyskusje. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Adeli.

– Daleko jesteście? Nie? To zawróć, pojedę z wami.

* * *

– U Rudej Kici? Złapałeś mendy u Rudej Kici? – Jeden z policjantów zbladł nieznacznie. Chyba się przestraszył.

Prawie całe miasto bywało u Rudej Kici.

Ruda Kicia była instytucją.

Stali na dworze pod blokiem Piotrka i oczywiście wzbudzali zainteresowanie. Nie takie, jakiego pragnął Daniel, ale czasami mówił się, że na bezrybiu i rak ryba.

– I to ona ci tak plecy poharatała? – dodał ten sam policjant, żeby zapytać o cokolwiek, bo inaczej koledzy mogliby coś zauważyć.

Koledzy jednak nie zwracali uwagi na nikogo, licząc coś na palcach i wyszukując w telefonach informacje, ile czasu mija od zarażenia się

wszami do ich pojawienia się na człowieku w ilościach hurtowych.

– Nie, plecy to ja sam. Goliłem się.

– Nie mogłeś golić pleców sam! – jęknął Piotrek. – Nie lepiej było poprosić Dorotę?

– Oszalałeś? Wziąłem maszynkę, przywiązałem do linijki i haratałem, jak się da.

– I nie za bardzo się dało. Wyglądasz jak po ataku czupakabry.

– No wiem, ale co miałem robić? Potem spaliłem kłaki w szopie.

– Razem z szopą! – warknęła Pazurkowa. – I z moim szybkowarem!

– Pani nie rozumie! To była działalność społeczna! Te kłaki były zakaźne!

– A szopa była Grażyny!

– O, tej pisarki? – zapytał ktoś ze stojących dookoła, kto chyba kręcił się w pobliżu. Może nawet był policjantem, a może tylko sąsiadem.

Nazajutrz upiór ogłosił, co następuje:

Pisarka w swojej szopie pali odpady radioaktywne skażone biologicznie i powinno jej się tego zabronić, bo na pewno zagraża to życiu ludzkiemu.

Kilka osób przyszło rzucić kamieniami w okna pisarki, a jedna chciała podpalić wychodek i to jakoś nie zagrażało życiu ludzkiemu.

Daniela zabrano na posterunek, a potem odwieziono do domu, do matki, dokąd też odwieziono, to znaczy Adela z Marcinem odwieźli Dorotę.

Dwa samochody zatrzymały się prawie równocześnie na posesji Marleny Adach.

– Synku! – zawyła ta ostatnia, widząc Daniela w stanie, w jakim się znajdował, a był to stan paskudny. – A ty co? Gdzie się włóczyłaś? –

Zmieniła ton, widząc wysiadającą z drugiego samochodu Dorotę. – Nie wstyd ci?!

– Czego miałyby mi być wstyd? – warknęła Dorota, za wszelką cenę chcąc pokazać, że jest twarda. – Daniel, coś ty z siebie zrobił? Gdzie byłeś? Dlaczego zniknąłeś? Co się stało?!

Daniel, okutany w bury koc, stał trochę niepewnie pośrodku tego chaosu. Marcin postanowił skorzystać z sytuacji.

– Panie Danielu, jestem wielbicielem pana talentu – zagaił nieśmiało.

Adach, z jednej strony lubiący taką czołobitność, z drugiej nielubiący się do tego przyznawać, wyrzucił oczami jakby z niechęcią.

– To miło – powiedział i westchnął.

Nie wiedział, jak ma się zachować. Chciał, żeby było widać, że jest do takich wyrazów uznania przyzwyczajony, że one mu się należą, że nawet mu trochę ciężą, bo jest zwykłym człowiekiem, a nie jakimś pieprzonym celebrytą, ale też że nie robi to na nim wielkiego wrażenia. Nie miał jednak talentu aktorskiego i wyrażanie tak różnych emocji naraz niezbyt mu szło – przypominało dodawanie dżemu do majonezu. Podsumowując, wyszło z tego coś niejadalnego.

– No, bo wie pan, sława, hmmm, jak to się mówi... hmm... – zaczął, ale Marcin nie chciał go słuchać, chodziło mu wyłącznie o wypełnienie obietnicy danej Samuelowi.

– I wie pan co? – przerwał pisarzowi i wyłuszczył swój pomysł: – Tak sobie pomyślałem... Czy nie uważa pan, że ten detektyw, Samuel Kaszak, powinien zacząć uprawiać seks?

– Że co? – Daniel był zaszokowany tą ingerencją w jego literackie wizje i twórcze przemyślenia, ale Marcin odebrał to jako zachętę.

– Może choć do burdelu go pan wyśle? To by dodało trochę smaczku.

– Aaaaaa! – wrzasnął Daniel pewny, że to czysta złośliwość i wredna aluzja ze strony tego obcego czytelnika. Pisarze pod wpływem Facebooka wszystko biorą za aluzje. – Jak pan śmie?! Jak pan śmie?! –

krzyczał. Chwilę potem jego pięść wylądowała na nosie Marcina. – To są moje sprawy! Prywatne!

– Ależ przepraszam – wyjąkał chłopak, rozcierając narząd powonienia, który trochę mu się splaszczyl, chwilowo, bo zaraz potem zaczął puchnąć. – Nie chciałem, przepraszam za wszy...

Nie zdążył dodać, że przeprasza za wszystko.

Tym razem dostał w zęby.

Rozdzielenie walczących przypadło w udziale Adeli.

– Jakie wszy?! Skąd pan wie o wszach?! Nie będzie mnie pan szantażował! To jest napad!

Jak to się mówi, na złodzieju czapka gore, a wszy harczą.

* * *

Pazurkowa wracała do domu piechotą i nie mogła zrozumieć, dlaczego jeszcze nie odznaczono jej medalem.

* * *

W domu Marcin przyłożył do nosa okład z lodu.

– Won mi stąd, gnoju! – warknął do Samuela stojącego jak zbity pies koło biblioteczki. – Wpuściłeś mnie na minę! Pobił mnie! Ten twój autor mnie pobił! Debil, cham, bydlak niemyty, w kółko golony... W sumie nawet pasuje, tyle że nie w kółko.

Marcin w tej chwili Samuela nienawidził i bardzo się tym martwił, bo taka nienawiść do czysto fikcyjnej postaci literackiej nie świadczy dobrze o zdrowiu psychicznym i poczytalności.

Poczytalność zaczęła mu się zresztą trochę mylić się z poczytnością. Im mniej poczytalny autor, tym poczytniejsza książka. Trochę to Marcina martwiło.

Samuel się kajał. Oczywiście nie mógł przewidzieć, co wyniknie z jego prośby, nie znał żadnych autorów, a swojego tym bardziej.

– Nie wiedziałem. Przepraszam. Skąd mogłem wiedzieć, że on tak się zachowa? Przecież to pisarz! Powinien być uduchowiony!

Ten mit o uduchowaniu pisarzy pokutuje od dawna. Niektórzy nawet twierdzą, że autor nie musi jeść, dlatego okradanie go na różnych dziwnych gryzoniowych platformach to forma promocji.

– Ta, jasne! Uduchowiony! Pojebany, nie uduchowiony. Jakieś wszy mi wmawiał i że go szantażuje! Ja! Jego? Rozumiesz? Ja go szantażuje! Nie wiem nawet, czym niby miałbym go szantażować.

– Mówiłeś o wszach? – dziwił się Samuel. – A to ciekawe. Skąd je wziął?

– Jego pytaj – odburknął Marcin i poszedł pod prysznic.

– Ty, słuchaj... – Głowa Samuela przeniknęła przez plastik kabiny prysznicowej. – Wow, ale tu fajnie! – stwierdził bohater z zachwytem. – O, ty też masz penisa! – pisnął jak dziewczyna. – Prawdziwego jeszcze nigdy nie widziałem! W bibliotece nikt się nie obnaża – dodał z pretensją w głosie.

– Aaaaa! – wrzasnął Marcin i złapał się za klejnoty.

Niestety, pośliznął się i padł na ściankę boczną. Padając, złapał za kran. Kran zdecydowanie, a nawet bardzo chciał współpracować. Wyszedł ze ściany i wraz z Marcinem poleciał na podłogę brodzika.

Woda lała się, a chłopak leżał przybity strumieniem do podłoża. Strumień był mocny i gorący, walił go w tyłek tak, że pośladki zrobiły się czerwone. Marcin nie miał możliwości wstać, zresztą w ogóle nie wiedział, co zrobić, bo woda lała się ze ściany.

I może dokonałby tam żywota jako tłuczony kotlet na gorąco, gdyby nie Adela, która miała sporo zdrowego rozsądku.

Zadzwoiła do niego, żeby sprawdzić, co się u niego dzieje.

Nie odebrał, a ona to odebrała jako pewien kłopot. Zmartwiła się, zawróciła.

Znalazła go w brodziku. Wyłączyła główny zawór wody. I dała Marcinowi czas, żeby się pozbierał.

Adela i aspirant Mroczek przez cały dzień przeglądali wszystko, co udało im się ustalić w sprawie śmierci detektywa Filipa Kopydły. Niewiele ustalili.

– No, to tylko upiór. – stwierdziła Adela. – Mamy coś na niego?

– Nie. I wcale nie rozumiem, dlaczego upiór miałby mieć z tym coś wspólnego.

– Bo detektyw został wynajęty przez burmistrza właśnie do znalezienia upiora, a chodziło o jakieś pomówienie. Seks w krzakach chyba i coś z zębami wybitymi przez żonę.

– I ten detektyw coś znalazł?

– Nie wiadomo. Nic nie wskazuje, że tak, ale trzeba powiedzieć, że upiór jest doskonale poinformowany, wie wszystko, więc i to musiał wiedzieć, to znaczy, że ktoś go szuka, śledzi czy tam chce dopaść. Zresztą burmistrz się z tym nie krył.

– Czyli to nie to... – Aspirant nagle zamarł. – Słuchaj, a jeżeli ten upiór wie wszystko, to czy wie, kto jest mordercą?

– No może?

Adela nie była jednak przekonana. Upiór interesował się kolorem majtek, wysypkami na genitaliach i zdradami, a nie morderstwami. Morderstwa były dla niego zbyt poważne. Upiór lubił zamieszanie, ale raczej nie masakrę.

– Kogo jeszcze mamy? – Jej przełożony próbował po swojemu znaleźć sprawcę.

– Nie wiem, pisarkę?

– Pisarka bardzo mi pasuje – powiedział. – Pisarze są nienormalni. U niej to co prawda jakoś motywu brak, chyba brak – westchnął – ale była na miejscu, ślady są, cała była wytaplana w dowodach zbrodni. Jakikolwiek miałyby motyw, to tak czy tak, wiele na nią wskazuje. Jak i na te dwie jej koleżanki.

– A Daniel Adach? Nie mógł zabić?

- A może oni to zorganizowali razem? - ożywił się. - Zrobili jakiś pisarski challenge, że ktoś kogoś zabije i tak dalej?

- Szefie, oni nie mają po dwanaście lat, żeby bawić się w takie internetowe pierdoły! To dorośli ludzie!

Aspirant Mroczek z doświadczenia wiedział jednak, że ludzie w sieci strasznie dziecinnieją. Potrafią mimo czterdziestki czy pięćdziesiątki na karku zachowywać się jak rozkapryszone bachory i niedorobione lolitki, ale z morderstwem w takim układzie chyba się jeszcze nie spotkał, choć z plotkami i obmowami na granicy przyzwoitości - owszem.

* * *

Grażyna Tęczowa nie kochała. Nie, że coś, cieszyła się, że ma dom, a nie klitkę, ale to nie było miejsce dla pisarki. O wiele bardziej nadawało się dla pisarza, ale zdecydowanie nie dla kobiety.

Dlaczego? Bo pisarze potrzebują romantyzmu, a pisarski romantyzm polega na tym, jak jest się widzianym przez czytelników. I jak ją widzieli? Jako małomiasteczkową kobietę w średnim wieku, która nie ma nawet gdzie chodzić w szpilkach, jada byle co i piecze chleb. „I co z tego?” - ktoś pomyśli. Ano nic, tylko tyle, że kobiety w takim entourage'u nie kuszą, kobiety powinny mieć wokół siebie salony, perły i krużganki, powinny jeść kraby i pić szampana. Wtedy są pożądane i wtedy widać, że odniosły sukces. Te, które pieką własny chleb, są jedynie zapobiegliwe, czyli... no cóż, nudne.

Z mężczyznami jest inaczej. Gdyby Grażyna była facetem, to ten sam dom, ten sam chleb własnoręcznie wypiekany i ta sama mała miejscowość wynosiłaby go do grona wielkich tego świata, bo samotnik, uczciwy i jeszcze umie się sobą zająć. Na pewno osiągnął sukces i dlatego wycofał się z nużącego warszawskiego kołowrotu.

Tak, życie nie jest sprawiedliwe, sława też.

Z tego powodu Grażyna tak bardzo liczyła na promocję, a ostatecznie niewiele z tego wyszło. Dlatego nie sypiała po nocach. No i nie sypiała

też dlatego, że jej dwie koleżanki paliły skręty, chlały jak wariatki, a potem rzygały. A z rzyganiem był u niej, czyli u Grażyny, problem. Miała w domu tylko jedną łazienkę, i to taką, która przy spuszczeniu wody spuszczała też łomot ścianie, a to budziło ludzi. I grozę. Budziło też oczywiście Grażynę, która czuła się wtedy wykluczona, broń Boże nie z rzygania, ale z imprezy. Bo Gośka i Marta imprezowały w tajemnicy przed nią.

To były zwykłe suki. Jak można tak się zachowywać?

* * *

– A to coś w jego notesie? – zapytała Adela. – To jest pisane jakimś szyfrem, o, szef patrzy. Na przykład to: *16 lutego, Daniel i Samuel*. Co to za Daniel, wiemy, ale Samuel? I dlaczego 16 lutego? Dalej jest: *Kontakt z Pazurkiem i Pazurem*. Nie jesteśmy w stanie tego ogarnąć. Pazurek to Piotr, syn Pazurkowej. A Pazur? – zastanawiała się na głos. – Jest jeszcze coś o dyrektorze biblioteki i o Marlenie Adach. To najciekawsze. *Ta stara suka znów węszyła*. No i trochę o tej pisarce: *Grażyna Matera łązi jak kołowata, może ją zapytać o Adachów? Stara krowa nic nie powie. Może ona sama to wszystko załatwiła? Może to ona? Nic nie łączy jej ze szkołą. Sprowadziła się po fakcie. Te jej książki to masakra*. Co szef o tym sądzi?

Szef nic o tym nie sądził. Nic, zupełnie. Detektyw wymienił wszystkich, którzy byli w ich kręgu zainteresowania, ale niewiele im to dawało.

– Marlena Adach, jej syn i synowa? Coś w tym może być. Jego jednak, tego pisarza, tu wtedy nie było...

– Mógł być i uciec po fakcie.

– I ogolił się.

– To akurat z powodu wszy łonowych, które złapał od Rudej Kici. Można by ją przepyttać. Kto jeszcze?

– Mariola Kołłątaj. Dyrektorka biblioteki. Coś o niej wspomina, ale nic konkretnego.

– O, szefie...

– I trzy pisarki. To chyba wszyscy podejrzani?

– Nie, jeszcze Pazurek i Pazurkowa.

– Czyli?

– To proste, wszyscy ci ludzie mieli sposobność, ale czy mieli motyw? Nie wiem. Mariola Kółłataj w sumie nie miała. Adachowie? Hm, nie widzę motywu. Chociaż... Daniel?

– Może coś z tą promocją? Detektyw mógł zorientować się, co kombinują, i na przykład chciał Adacha szantażować... Ale to dość marna hipoteza. Zrozumiałbym, gdyby detektyw go wyśmiał, zhejtował, obśmiał w sieci, może doszłoby do rękoczynów, ale nie do morderstwa.

– A gdyby we troje się do tego zabrali, to znaczy we czworo? Agresja się samonakręca.

– Nie, one by chyba uciekły. Poza tym kto zabija dla sławy?

Ludzie zabijają z wielu powodów, a sława ostatnio wysuwa się na dość wysokie pozycje w rankingu, ale ta wiedza jeszcze nie do wszystkich dotarła. Policjanci może najgłupszy nie są, ale też nie należą do specjalnie spostrzegawczych. No i to nie jest tak, że się kogoś zabija, by być sławnym, prędzej żeby ktoś tej sławie nie zaszkodził. Niby to nie to samo, ale wciąż chodzi o sławę.

A co taka sława daje? No przecież jej się nie je... Daje pieniądze, ale w sposób dość pokrętny. Na Instagramie są ludzie, których obserwują inni ludzie. Ci obserwowani mogą na przykład powiedzieć, że to czy tamto jest fajne, a ci obserwujący mogą to fajne coś kupić, bo skoro ich idol poleca... I tu zaczynają się pieniądze.

Przykładowo przeraźliwie chuda modelka chce zarobić. Co może zareklamować? Tak naprawdę wszystko, od suplementów diety po Thermomix, wystarczy, że ktoś jej zapłaci, a jej odbiorcy, którzy patrzą, jak reklamuje majonez, wcale się nie dziwią, choć powinni. Bo jeżeli ona propaguje zdrowe żywienie i jednocześnie je majonez, to coś powinno zrobić intelektualne „ping”, ale nie robi. Ludzie nie widzą sprzeczności, zaczynają wierzyć, że majonez jest zdrowy. Ten jeden, konkretny. I biznes się kręci, i pieniądze przybywa.

Gdyby jednak ktoś na przykład znalazł nagranie z tą samą instagramerką kompromitujące majonez, za którego chwalenie wzięła pieniądze... to wtedy kłopot i możliwe mordobicie. A kiedy w grę wchodzi większe kwoty, mordobicie może się zmienić w morderstwo. Tyle że nie dotyczy to z pewnością takiej drobnicy jak promocja książki, i to własnej. Nie.

– A Pazurek? I Pazurkowa?

Ci dwoje pałętali się dookoła sprawy, a nikt nie wiedział dokładnie, co ich z tą sprawą łączy. Możliwe, że byli całkowicie niewinni, ale to też byłoby dziwne. Wszyscy pisarze wiedzą, że mordercą musi okazać się ten, kto jest najmniej podejrzany, a wszyscy policjanci – że morderca najczęściej ma najlepsze alibi, bo nie liczył na przypadek, ale je sobie zorganizował. Toteż w tym wypadku życie i literatura, co rzadkie, idą w parze.

– Oni? Nie mam zielonego pojęcia.

– Możliwe, że Pazurkowa jest upiorem. – Adela postanowiła podzielić się z przełożonym swoją roboczą hipotezą. – Bo w sumie to najbardziej podejrzany jest upiór.

I to właściwie sklejało całą teorię. Tylko upiór mógł być mordercą. On miał po co, dlaczego i możliwe, że też jak zabić detektywa, który na niego polował. Plus wiadomo, upiory bywają mordercze.

A na dodatek potencjalny motyw upiora wydawał się naprawdę dobry, bo wielu ludzi chciało obić mu (lub jej) ryja, a możliwe, że nawet pozwać. Pozwy niby nie są zabójcze, ale bywają upierdliwie paskudne, kiedy nagle trzeba udowodniać, że się nie jest wielbłądem. Na dodatek ludzi, których upiór wkurzył przez te ostatnie lata, trochę się nazbierało. Niewykluczone, że dołączyłby do tego wstyd – upiór mógł nie chcieć, by go zidentyfikowano, bo przecież niektóre jego teorie były naprawdę głupie.

– Pazurkowa? Może być, ale cała reszta też może. Jeżeli detektyw poznał tożsamość upiora i miał na to jakieś dowody, to rzeczywiście,

mógł zostać przez niego zabity. Niestety dla nas upiór jest całkowicie ulotny, nie wiemy nawet w przybliżeniu, kto to mógłby być.

– A może babulina Matecka? – Adela podeksycytowała się tym pomysłem. Babulina byłaby idealna. Kobięcina bez rodziny, stara jak świat, pewnie i głucha, i głupia. – Ona mogłaby być upiorem.

Policjantka oczywiście wiedziała, że z jednej strony brzmi to jak coś niemożliwego, z drugiej – było kuszące. Babulina świetnie nadawałaby się do roli upiora. Tylko jak miałaby nim być? Pewnie nawet nie wiedziała, co to Facebook. Miała co prawda laptopa, ale na sto procent używała go do krojenia warzyw.

– Wiesz, może... ale nie. Matecka? Toż ona ma ze sto lat. A upiór działa w internecie.

– No, nie tylko.

– Nie tylko, ale też, a Matecka jest na internet za stara.

– Zdziwiłby się szef! – zachnęła się Adela. – W ogóle popełniamy błąd – stwierdziła nagle, bo właśnie przyszło jej do głowy coś zupełnie innego.

– Jaki?

– Podstawowy! Jak patrzę na ludzi jakoś powiązanych z morderstwem, to łączy ich jedno: są stąd, z tej okolicy. A upiór może być nawet nietutejszy, nie rozumie szef?

– Nie, nie rozumiem. Jak może być nietutejszy?

– Zwyczajnie, może tu nie mieszkać.

– Miałby nie mieszkać, a wszystko wiedzieć i wkurzać ludzi? Po co by mu to było?

Mroczek też chyba nie za bardzo znał specyfikę internetu, gdzie aż roi się od ludzi, którzy urządzają życie innym, zupełnie sobie nieznanym osobom tylko po to, żeby zrobić sobie przyjemność.

* * *

– Samuelu, przestań! – wrzasnął Marcin, kiedy już został sam.

– Ale co?

– Przestań tu łazić i mi przeszkadzać. Idź do siebie! Won do książki!
Mam już cię dość!

Marcin czuł się przytłoczony. Lubił samotność swojego mieszkania, a tu nagle poczuł, jakby współdzielił je mieszkanie ze zjawą, która nie potrzebuje nawet snu i wciąż mu truje tyłek. Nie mówiąc już o tym, że jest wkurzająca.

– Ale tam jest nudno i nic się nie dzieje! Mój autor po prostu mnie olewa, wiesz, jak to boli?

– Jesteś postacią literacką! Nic nie powinno cię boleć, bo nie istniejesz, nie naprawdę.

– Kiedy istnieję! Przecież mnie widzisz!

– Wcale tego nie pragnę – westchnął Marcin.

– A wiesz, czego ja pragnę?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – warknął chłopak.

– Pragnę kontynuacji! – krzyknął w zapale Samuel, nie przejmując się tym, że nikt ma ochoty go słuchać. – Czasami myślę, że sam mógłbym siebie napisać.

– Ale jak? – zdziwił się Marcin. – Napisano ci pisanie? Tworzenie? Choćby komputer? Masz tam takie możliwości?

– Nie mam, ale wpadłem na pomysł. Ja dyktuję, ty piszesz!

– A Daniel? Twój autor?

– Na początek byłby to jakiś fanfik, umieściłbyś go w sieci i w ten sposób ktoś by go przeczytał. Trzeba czytelnika, tylko tak to mogłoby zadziałać. I już wymyśliłem. Mógłbym sobie wszystko poprawić. Dopisałbym prysznic, dodałbym sobie włosów i... – Na chwilę zamilkł zawstydzony. – I powiększyłbym sobie penis!

– Przestań natychmiast! Dość! – jęknął Marcin.

– No co?! To poważna sprawa, przecież w końcu zacząłbym uprawiać seks!

– No ale co na to autor?! – Marcin, mając jeszcze świeżo w pamięci pobicie, wołał nie następować Danielowi na odcisk.

– Pieprzyć go!

* * *

Policjanci musieli zacząć przesłuchiwać wszystkich, nawet tych, którzy w ich mniemaniu nie mieli ze sprawą wiele wspólnego, ale może mogli coś wiedzieć.

Najpierw padło na pracownicę pewnej agencji bardzo towarzyskiej, która mimo kłopotów trwała na posterunku od lat, bo mężczyźni są przewidywalni – może im zabraknąć na chusteczki do nosa, ale nie na alkohol i przyjemności cielesne. Ostatnie grosze wysupłają na godzinę z Rudą Kicią, a że na dentystę nie będzie, trudno.

Rozmowa z Rudą Kicią odbyła się w jednym z pomieszczeń agencji, bo kobieta nie chciała się pokazywać z psami w mieście, nawet jeżeli jeden z nich był suką.

Mroczek i jego koleżanka przez chwilę brali pod uwagę opcję obrażenia się na Kicię, ale zrezygnowali. To by niewiele im dało.

Przesłuchanie w pokoju Kici w agencji nie ułatwiło sprawy, ponieważ aspirant Mroczek bał się wszy. Policjanci weszli i usiedli na krzesłach, na nawilżanych chusteczkach higienicznych, dając tym samym do zrozumienia gospodyni tego przybytku, że temat nie jest im obcy. Podejrzliwie zerkali na łóżko. Było rozgrzebane i nieco wczorajsze, ale musieli to jakoś przetrwać.

Ruda Kicia miała na imię Renata i była rzeczywiście rudą kobietą w okolicach pięćdziesiątki, której nieco już zużyte kształty wciąż kusily tutejszych mężczyzn, przypominając im młodzieńcze lata.

– Podobno upiora szukacie? – zagała i roześmiała się, widząc ich zaskoczone miny. – No co?

– Nic, tylko rzeczywiście szukamy upiora – odpowiedział aspirant Mroczek, ciekaw, jak się tego dowiedziała.

Wieści w miasteczku rozchodziły się w dość prosty sposób. Żony dowiadywały się czegoś w kolejce, przekazywały mężom, a mężowie kiciom – rudym, czarnym i popielatym, bo kilka ich pracowało w agencji i wiele miało stałych klientów. Tylko skąd ktoś w kolejce wiedziałby, co robi policja?

Otóż nie było to skomplikowane, przepływ informacji w mieście działał jak krwiobieg, podskórnie. Wystarczyło, że pani Malina, sprzątaczką z posterunku, wejdzie do gabinetu szefa i włączy jego dyktafon (jakoś tak zawsze robiła, przypadkiem, ścierając kurze), a na nagraniu będzie coś na temat zakupu trzydziestu jaj. Jaja skojarzą jej się z tortem bezowym, beza z Pawłową, Pawłowa z Pawłem, dziennikarzem z Tęczów.info, portal z gazetką, ta znowu z rozwolnieniem, od którego już blisko do usmarowanej kałem ściany, a ściana, wiadomo, z upiorem. Na przykład. To znaczy nikt jeszcze nie zdołał tego przesledzić, ale zawsze jakoś wszystko wychodziło z posterunku i rozlewało się po mieście jak fala.

– Każdy szuka upiora. – Kicia wzruszyła ramionami. – Burmistrz, ten detektyw, wszyscy pytają, kto jest upiorem, ale mnie się zdaje, że upiora nie ma – oświadczyła z pewną siebie miną.

– Jak to nie ma? – Mroczek aż zadrżał, bo choć upiór nie był ze złota i nikt go nie kochał, to był idealnym kozłem ofiarnym, który nie tylko nie może się bronić, ale też któremu można przypiąć wszystko.

W tym sensie dla aspiranta był doskonały. Popalone ławki w parku? Upiór! Szalał, palił, zniknął. Rozwalony samochód funkcjonariuszy straży leśnej, którzy dachowali po pijaku w centrum miasta? Upiór. Normalnie im się pokazał i się przestraszyli. Mroczek nie chciałby go stracić. Może upiór nie podwyższał wskaźników wykrywalności, bo nikt go do statystyk nie wpisywał, ale dawał spokój od przełożonych, którzy słysząc wyjaśnienia, kiwali głowami i nie żądali nawet ścigania.

– Przecież to są bajki z mchu i paproci! – wymądrzała się Kicia. – Na oślep pisze, czasami na coś trafi. Bo patrzcie: jak napisze, że fryzjerka Kaśka sypia z żonatymi, to co? Tylko u nas jest fryzjerka

Kaśka? W każdym mieście się znajdzie. Albo Kowalska, co zdradza męża. Bo gdyby tak Adachowa, no, to jeszcze, ale Kowalska?

– A Adachowa zdradza męża?

– Przecież ona męża nie ma.

Kicia wiedziała o tym najlepiej, bo gdyby był jakiś Adach senior, to należałby pewnie do jej klientów. Nie na darmo uważała się za najgorętszą kicię w mieście. Nawet żony się jej nie czepiały – przecież lepsza zawodowa kicia, która robi to za pieniądze, niż gdyby się chłop zakochał w jakiejś amatorce, której też chodziłoby o pieniądze, ale większe. A tak małżeństwa trwały i wszyscy byli zadowoleni. Kicia uważana była za jedyny ratunek w tych sprawach, za prawdziwe lekarstwo na miłość, bo po wizycie u niej przez dłuższy czas trzeba było się leczyć i wszelkie porywy serca jakoś przechodziły.

– A czy jest Daniel? – zapytała Adela.

– No, Adacha.

– To już nic nie rozumiem. Rozwiodła się? Umarł? Uciekł?

– Wymyśliła go. Zmieniła sobie nazwisko i w ten sposób wyglądała na mężatkę. Żeby ludzie nie gadali, ale i tak każdy wiedział.

Młode kobiety nie pamiętają już czasów, kiedy tak zwana panińska ciąża była czymś tak wstydliwym, że lepiej się było powiesić, niż donosić. (Donosić ciążę, nie na policję, bo to drugie do teraz przynosi wstyd w wielu środowiskach).

– To dlaczego nikt mi nie powiedział? – warknął aspirant Mroczek.

– Bo to stare sprawy, nikogo to już nie rajcuje. Teraz to brytyjska rodzina królewska bardziej wszystkich ciekawi, a nie jakaś stara baba z dorosłym gnojem.

– No ale ten dorosły... No, jej dziecko jest pisarzem! – jęknęła Adela, bo teraz, kiedy zaczęła się trochę obracać w tych kręgach, zrozumiała, jakie to wielkie i wspaiałe środowisko.

– Z niego taki pisarz jak z koziej dupy trąba! – Kicia roześmiała się, patrząc na nią z czymś w rodzaju pogardy. Kicia kobiet nie lubiła.

Owszem, zdarzyło jej się z nimi sypiać za pieniądze, ale ich nie lubiła. – Złamas, gamajda pieprzony! Powiedział, że mendy ode mnie złapał! Cham i bydlak. Szmaciak jeden! I do tego... Pisarz, też mi... tfu!

Jej osąd nie został jednak wzięty pod uwagę. Nie to, że oni sami uważali Daniela za wielkiego twórcę, nie miało to znaczenia, ale zdanie Rudej Kici akurat na ten temat? Możliwe, że znała się na seksie i na wszach łonowych, może też na chorobach wenerycznych. Z pewnością miała spore doświadczenie w swoim zawodzie, ale o literaturze raczej nie miała wielkiego pojęcia. Nawet nie powinna. To znaczy też nie... Mogła mieć, ale chyba nie powinna wygłaszać takich opinii. Albo jeszcze inaczej: oni nie musieli brać jej opinii na poważnie. Tym bardziej że nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Czyli uważa pani, że nie ma upiora? A ta sprawa z burmistrzem? – wydusił z siebie Mroczek trochę niepewnym tonem.

Burmistrz był w końcu politykiem, lokalnym, ale wciąż politykiem. Jeśli usuną z tej układanki upiora, będą musieli się babrać w politycznym bagnie pomówień, sprawdzić, kto chciałby mu zaszkodzić, dlaczego by chciał oraz z jakiej był opcji. Paskudna perspektywa.

– Przekręt, to tylko przekręt! Tam nic nie było widać, a podpis to przyszcz. Że burmistrz? A mało to w Polsce burmistrzów?

* * *

Policjanci wyszli pośpiesznie, żeby Kici przestoju nie robić i klientów nie straszyć, ale też dlatego, że aspirant Mroczek wierzył w regułę pięciu sekund. Głosi ona, że na jedzenie, które upadło na ziemię, nie dostaną się żadne bakterie ani zarazki, jeżeli zostanie podniesione przed upływem tego właśnie czasu. Każdy to zna. Mroczek w odniesieniu do wszy łonowych przerobił to na regułę pięciu minut – założył, że jeżeli spędzi z nimi nie więcej niż pięć minut i się nie rozbierze, to go nie tkną. Mimo wszystko trochę się obawiał. Niejasno

zdawał sobie sprawę, że nikt nie produkuje zegarków w rozmiarze odpowiednim dla wszy lonowych.

Postanowili jak najszybciej przesłuchać babulinę Matecką na okoliczność nocnych marszów z laptopem w wypchanym bobrze. Może nie było to najlepsze posunięcie, ale pretekst do wyjścia idealny.

– Babulina Matecka to wariatka – oświadczyła Adela. – Niczego się od niej nie dowiemy! Strata czasu.

Aspirant Mroczek tak nie uważał. On już oczyma duszy widział raport. To znaczy ten, który potem pokaże przełożonym, a który oni uznają za dogłębne zaangażowanie się w śledztwo.

Czyli jakikolwiek raport.

Babulina Matecka mieszkała na tej samej ulicy, co Adachowie i pisarka, niezbyt daleko, bo kilkadziesiąt metrów za domem Pazurkowej. Jej dom był mniej więcej taki sam jak inne, wiejski, ciut odrapany i niezbyt piękny, ale kiedy wpuściła policjantów do środka, bardzo się zdziwili jego wnętrzem.

– Po co pani te wszystkie książki? – zapytał aspirant Mroczek, widząc stosy czegoś, co on uważał za makulaturę w okładkach. – Przecież to zagrożenie pożarowe!

– Mam alarm przeciwpożarowy. – Matecka wzruszyła ramionami. – No i przecież nie gotuję w przedpokoju ani w salonie. I nie palę.

Wszystkie wolne ściany były zapchane półkami, a wszystkie półki były zapchane książkami. Książki leżały wszędzie, w stosach i słupkach.

Na stole w salonie, wcale nie nakrytym dzierganą serwetką – co Mrocza niepomiernie zdziwiło, bo takie serwety są obowiązkowe u osób w podeszłym wieku – stał laptop. Obok nogi stołu leżała dziwna kudłata torba.

– Eeee – wydukał policjant, bo znalazł się w miejscu, w jakim nie spodziewał się znaleźć. Wszystko tu było nie tak. – Co pani robi? – zapytał, nie wiedząc, od czego zacząć rozmowę.

– A co mam robić? – zdziwiła się Matecka, która nagle przestała być babuliną, a stała się pełnoprawną panią Matecką. – Pracuję. Wie pan,

jakie są emerytury pracowników naukowych? – powiedziała z niezadowolaniem w głosie.

– Pracowników naukowych?! – jęknął aspirant, przerażony jeszcze bardziej.

– Marne? – dopowiedziała Adela, widząc koszmarne zmieszanie przełożonego.

– Właśnie! Dlatego jeszcze pracuję. Muszę. Niby z głodu nie zdycham, ale książki są drogie.

Policjanci byli tak skołowani, że aż ich zatkało.

– A po co pani lata nocą po ulicy z laptopem w tym koszmaru? – rzuciła Adela, wskazując bobra, żeby jakoś zamaskować swoje zdziwienie.

– Internet kradnę! – Kobieta (już nie kobiecina) znów wzruszyła ramionami. – Mój wieczorami strasznie muli, a ja mam wtedy różne ważne pliki do wysłania, muszę iść trochę dalej. Adachowie mają słabe hasło, więc wysłałam u nich – wyjaśniła.

Funkcjonariusze zupełnie nie byli na to przygotowani.

– A może jest pani... To znaczy, bo myślałem... to znaczy... – Aspirant nie umiał się odnaleźć w rzeczywistości, w którą wdepnął.

Usiłowali poukładać sobie w głowach dotychczasowy obraz babuliny i ten uzyskany teraz. Nic im z tego nie wychodziło, jakby to były dwie różne kobiety.

Sposoby, na jakie znamy sąsiadów, są przeróżne i bywają mylące. Często ci sympatyczni młodzi ludzie, którzy mówią grzecznie „dzień dobry”, są seryjnymi mordercami, a przemiłe staruszki sprzedają narkotyki. Z wierzchu zazwyczaj wszystko wygląda inaczej.

– Bo my szukamy upiora – powiedziała Adela – myśleliśmy, że to pani.

– Ja? Nie, nie miałabym czasu, ale lubię go czytać. Pisze takie genialne bzdury, że czasami śmieję się godzinami. A śmiech to naprawdę zdrowie.

- Śmieje się pani z tego, że on pomawia ludzi o zdrady? Na przykład? - obruszył się policjant.

- Na przykład! To miasteczko ma takiego upiora, na jakiego zasługuje! Przecież to albo debil, albo idiota, *tertium non datur!* - wypaliła Matecka.

- Nie tykam denaturatu, ale herbaty się chętnie napiję - odburknął obrażony.

Kobieta westchnęła.

- Dobra! Herbaty przyniosę i ciasta.

- Ale nie ma pani przypadkiem mend? - zapytał niewinnie, ale lękliwie Mroczek.

- Nie, przykro mi, ale dodałam rodzynek. Powinny wystarczyć.

Adela miała niejasne wrażenie, że nie rozmawiają o tym samym.

- Dlaczego pani myśli, że to jakiś debil? W sensie nie do końca ogarnięty człowiek? To znaczy, że prawdziwego upiora tak jakby nie ma? - zapytała, żeby zagadać ciszę, która właśnie zapadła i zaczynała się panoszyć.

- Bo to, co on wymyśla, to bezsensowne teorie spiskowe przerabiane na wszystkie strony, a nie zamierzone działanie ukierunkowane na jakiś konkretny cel. Ten cały upiór to nie jest ktoś, kto czegoś chce. Znaczący chce zamieszania, ale niczego poza tym, nie jest ideowcem czy jakimś idealistą, a wiecie państwo, w takich grupach ideowcy też się zdarzają, a tu nie, chodzi tylko o to, żeby namieszać, narobić zamętu, podburzyć ludzi. To musi być ktoś z dostępem do informacji, ale bez skrupułów, ktoś, kto czuje się niedowartościowany. O, pan by pasował! - Matecka wskazała palcem Mroczka.

Mroczkowi nagle zaczęły latać mrocзки przed oczami i nie były to jego dzieci.

- Ale... Dlaczego ja?! - Właśnie przetrwał wiadomość i przez chwilę rozważał nawet areszt za znieważenie funkcjonariusza na służbie, ale to by sprawiło, że niczego więcej by się nie dowiedział. Musiał zrezygnować z podjęcia działań już po raz drugi tego dnia.

– No niech pan popatrzy: wie pan, co się dzieje w mieście, jak nikt! Jest pan niedoceniany w pracy i czuje się pan niedowartościowany. Ponadto takie zamieszania, jak te wywoływane przez upiora, nie są mordercze, a zajmują ludzi, więc to panu na rękę, bo gadają, burzą się, ale się nie zabijają. To dobre ukierunkowanie instynktów.

– A jeżeli już o zabijaniu mowa...

– Chodzi panu o tego detektywa? – zapytała, natychmiast odgadując, o co mu chodzi.

– Właśnie.

– Pazurkowa była wtedy, bo ją widziałam, na łące. U Adachów wybuchła awantura.

– Pijacka? – ucieszyła się Adela, bo skojarzenie było jednoznaczne.

– Nie wiem, nie wahałam ich, ale potężna. Tyle że Daniela nie słyszałam, to raczej Adachowa z synową się biły.

– Biły się?

– No, tak mi to brzmiało.

– Z drogi może słabiej słyhać – stwierdziła Adela – i mogła pani coś pomylić. Znaczy ja przepraszam, ale może nosi pani aparat słuchowy?

– Nie, nie potrzebuję aparatu, ale nawet gdyby, to siedziałam u nich pod oknem, bo mi tam internet śmiga jak oszalały, a chciałam sobie trochę książek z Legimi pościągać.

– Kradła pani? – ucieszył się Mroczek, bo posiadanie haka na podejrzanego zawsze jest dobre albo choć przyjemne.

– Legimi jest legalne, młody człowieku! Czy pan w ogóle czyta jakieś książki?! – warknęła Matecka tonem nauczycielki z podstawówki przy tablicy na lekcji matematyki, z którą często bywa kłopot, szczególnie kiedy trzeba rozwiązać zadanie o pociągach „A” i „B”, które jadą na randkę z różnymi prędkościami i oczywiście w różnych kierunkach, a żaden nie jest seksualny.

Mroczek zamarł. Nie był nieukiem, ale do czytania nigdy go jakoś nie ciągnęło. No dobra, był nieukiem, większość nauczycieli uważała

go za lenia. Z tym że nie był tym uczniem, o którym się mówi: „zdolny, ale leniwy” – o nim mówiono tylko to drugie.

– No, czytam.

– Co ostatnio?

– Pani, co pani? Ostatnio? Czyli w podstawówce? Jak ja mam to pamiętać? Pani lepiej mówi, o co się biły.

– A o co biją się kobiety?

– Chyba mi pani nie powie, że o wałki do włosów czy lakier do paznokci? – zapytał zaszokowany.

– O faceta, panie aspirancie! – odparła z uśmiechem, ale nie był to dobrotliwy uśmiech babuliny, a skrzywiony uśmieszek pani Mateckiej.

– A skąd u nich facet?

– A Daniel? – zapytała znów raczej sarkastycznie.

– Jak to możliwe, żeby matka z synową biły się o kogoś takiego?!

– Też ich nie rozumiem, bo to głupek, ale...

– Pisarz.

– A tam pisarz. Zresztą zostawmy go w spokoju, Filip, ten detektyw, rozmawiał ze starą Adachową. – „Stara Adachowa” zabrzmiała dziwnie w ustach jeszcze starszej Mateckiej.

– Czego od niej chciał?

– Tego nie wiem, ale była naprawdę wściekła. Kobieta wzruszyła ramionami, a zaraz potem dodała: – On w internecie przeglądał jakieś dokumenty, porównywał książki, coś kombinował... Nawet do mnie napisał, żebym mu pomogła, ale się nie podjęłam.

– Bo? – zapytał Mroczek z żalem, bo to mogło być bardzo interesujące.

– Oj, wie pan, jak jest. Ludzie myślą, że zrobisz za nich robotę i do tego jeszcze za darmo. Nie mam czasu na takie pierdoły jak porównywanie książek. A on podobno pracę doktorską chciał pisać. Nie, to mi się nie kalkulowało.

– To on był aż taki wykształcony? Doktorat robił?

– A tam robił, kłamał. Tekst doktoranta z polonistyki od razu bym rozpoznała, to znaczy wiecie, takie zwykłe rzeczy, interpunkcja, dobór słów... A on pisał bardzo niegramatycznie.

– Ma pani te jego listy?

– Maile, ale nie, nie mam, pokasowałam. Wiem tylko, że... Nie był człowiekiem zbyt dobrze wykształconym, pewnie dlatego chciał, żebym mu pomogła. Używał dość specyficznego języka.

– A wie pani chociaż, o co mu chodziło?

– Nie, ale miałam wrażenie, że chciał porównać powieści Daniela Adacha.

– Z kim?

– I o to chodzi, że z nikim.

– Nie rozumiem?

– To proste, książki Adacha, jedne z drugimi. I podobno nawet już się do czegoś dogrzebał.

* * *

Wrócili, nie dowiedziawszy się niczego.

Zaraz potem Mroczek dostał od techników wiadomość o tym, co znaleźli w pokoju denata. Spodziewał się przełomu. Jakichś śladów.

Niestety bardzo się zawiódł.

– Nic? Jak to nic? – zawołał zrozpaczonym głosem.

– No nic, tylko gacie, skarpetki, laptop, ale niewiele tam jest, ze dwie książki i zegar, okropny, taki z plastiku. Wygląda jak jakieś gówno. Chyba żaba.

– Pewnie jest hotelowy – westchnął Mroczek.

– Nie no, pytaliśmy. Jego własny. Pewnie sobie kupił. Musiał gdzieś na targu staroci wygrzebać, bo przecież nie woziliby ze sobą czegoś takiego.

* * *

Grażyna zebrała koleżanki w salonie. Wszystkie czekały na pojawienie się Daniela, który oczywiście obiecał je odwiedzić, kiedy już zapadnie zmrok.

Trochę źle się czuł po kuracji i ponownym ogoleniu, które teraz zaserwowała mu całościowo matka – to znaczy prawie, bo Dorota wygoliła mu okolice intymne. Wywalczyła to pazurami, było to dla niej niezwykle ważne i wygrała tylko dlatego, że zagroziła rozpuszczeniem plotki, że matka i syn mają romans.

Wcale się to Danielowi nie opłaciło, bo wściekła żona poharatowała mu przyrodzenie tak, że wyl przy każdej okazji i bez okazji też. Mendy to jednak paskudztwo, które ma to do siebie, że nie przywiązuje się do nosiciela, a chętnie robi skoki w bok. Wszystko w domu podporządkowano więc wszom Daniela.

I ratowaniu siebie.

I Dorota, i Marlena musiały przejść odkazanie. Obie odmówiły ogolenia się na łyso, czego żądał Daniel, choć nie było to konieczne, ale byłoby mu rażniej.

Grażyna, Marta i Gośka wszy łonowych też się bały, tak zresztą jak każdy powinien, ale one do tego miały wyobraźnię. Zresztą teraz powszechne w internecie i w telewizji jest straszenie ludzi chorobami, bo to się klika. Na okrągło spotykamy artykuły o pani XYZ, która czuła się bardzo dobrze, a zaraz potem zmarła – i nikt nie dodaje, że miała sto sześć lat, a tylko wymienia dziwne objawy. Bo były dziwne. Na przykład kobieta miała apetyt. I to daje podstawy do rozmaitych dziennikarskich dywagacji. Masz apetyt? To może cię zabić, jeżeli masz apetyt, natychmiast do lekarza! Apetyt? Biegnij po pomoc! Co gorsza, nie miała gorączki. Nie masz gorączki? To może cię zabić, jeżeli nie masz gorączki, natychmiast do lekarza! Biegnij po pomoc!

Pisarki przeczytały o wszach wszystko, co się dało. Wpadły w panikę, czego należało się spodziewać. Portale paramedyczne od tego właśnie są, żeby ją wywoływać. Wszystkie trzy, każda w swoim zakątku internetowej rzeczywistości, drżały, pociły się i oczywiście chciały

uciekać. Pocisz się? To może cię zabić, jeżeli się pocisz, natychmiast do lekarza! Zaczęły zachowywać się jak rasowe cyfrochondryczki. Co to takiego? Nic szczególnego, zwykła hipochondria pomnożona przez internet.

Spotkanie z Danielem wydawało im się niebezpieczne, ale jakoś się w końcu zgodziły. Najpierw jednak przedsięwzięły pewne środki ostrożności.

Gośka zeszła do salonu w zakupionym w niedalekim sklepie kombinezonie malarskim za całe pięć złotych pięćdziesiąt sześć groszy. Marta postawiła na kombinezon z włókniny, taki do prac budowlanych, i do tego gogle i maseczkę. Grażyna założyła jedynie maseczkę, rękawiczki nitrylowe i plastikową reklamówkę na głowę, a na ciało dwa plastikowe worki na śmiecie. Ponieważ po spotkaniu z Danielem miały zamiar spalić te stroje, nie chciały w nie za wiele inwestować.

– Czego on chce? – wydudniła spod maski Marta. – Musi tu przychodzić? Po co on tutaj? To wszystko przez niego! Ile tu będziemy, do cholery, siedzieć?!

Ona i Gośka nie planowały aż tak długiego pobytu w Tęczowie, a tu rzeczywistość je do tego niejako przymusiła. Na szczęście pracować teraz można zdalnie, więc to nie był problem, problemem była bliskość Grażyny, która do wylewnych nie należała, a one też jakoś tak nie lubiły zbyt wielu serdeczności, no chyba że chodziło o serduszka i przytulaski na Facebooku.

Grażyna zaszeleściła strojem ochronnym, usiłując wzruszyć ramionami. Jej też to wszystko przeszkadzało, bo nie była przyzwyczajona do takiego otoczenia, które co by nie mówić, wymagało pewnych starań – musiała je karmić i pić. Z tym pierwszym nie było źle, z tym drugim było.

Gośka i Marta należały do osób obficie skrapiających swoją rzeczywistość alkoholem i nie był to alkohol pośledni. To znaczy w domu mogły pić nawet wino z Biedronki, ale w towarzystwie,

szczególnie w towarzystwie innych ludzi z branży, nie schodziły poniżej brandy.

Czekały.

* * *

Samuel przyglądał się światu poprzez literackie wyrwy w Nieliterackim świecie, toteż dom Grażyny zaczął być dla niego dostępny. Jeżeli zwykły czytelnik chłonie atmosferę książek i literackiego świata niejako przez osmozę, odwiedzając bibliotekę, o tyle on jako postać literacka w takich miejscach chłonał realność pozaksiążkowej rzeczywistości. Dom Mateckiej był dla niego nieco mniej przyjazny – Samuel uciekł stamtąd natychmiast, bo czuł się w nim jak w maszynie do mielenia kotletów literackich. Owszem, były tam książki, ale przestrzeni literackiej nie było.

Zajrzał też do biblioteki, gdzie dyrektorka jakoś go nigdy nie dostrzegła. Rozozochocony zwałił kilka tomów z regałów. Dla efektu – właśnie na głowę dyrektorce.

Mariola Kołłątaj podniosła jedną z nich, dostrzegła na okładce tytuł, przewertowała książkę i westchnęła.

– Pieprzony gnój! Pieprzony, pieprzony, pieprzony!

* * *

Gabi siedziała u siebie i czuła się nieco porzucona, a nawet trochę oszukana przez los, bo ostatnio Adela zajęła jej miejsce, może nie w bibliotece, ale u boku Marcina tak jakby.

Niby nic ich nie łączyło, to znaczy Gabi i Marcin nie byli w żadnych szczególnych układach ani tym bardziej w związku, choć pewne rzeczy zaczynały się wykluwać. Gabi trochę na to liczyła, bo fajnie było pogadać z kimś, kto nie myli Mastertona z Mickiewiczem i wie, że Ikar nie popełnił żadnej zbrodni u Dostojewskiego, a pani Bovary nie ma nic wspólnego z browarami. Proces ten został jednak wstrzymany po tym,

jak pojawiła się Adela, która zaanektowała chłopaka, mimo że nie pracowała w bibliotece, co Gabi uważała za nieodpowiedzialne.

Nie chciała zachowywać się małostkowo, w końcu miłość nie jest czymś, co da się zaplanować, dodatkowo sama chyba nawet nie uważała tego za miłość, ale liczyła, że coś się z tego jakoś rozwinie. Marcin był kulturalny, inteligentny, miły i czytany, a takiego trudno znaleźć.

Czuła się podle.

Siedziała w swoim pokoju. Nie miała nic do roboty, ale też nie chciało jej się nic robić, gotować ani sprzątać w kuchni, gdzie siedziałaby dokładnie tak samo jak tutaj, tylko pośród mniejszej liczby książek.

– Co? Porzucił cię?! – zapytał nagle doskonale jej znany na wpół goły facet w żółtym szaliku.

– Co ty tu robisz, Samuel? – zapytała ucieszona, że jest sama, bo nie chciała, by ktoś pomyślał, że zwariowała.

(Zresztą opracowała plan – cały czas, kiedy była pośród ludzi, szczególnie podczas pracy w bibliotece, gdzie mogła zobaczyć Samuela, miała w uchu słuchawkę Bluetooth).

– A co mam robić? Jestem – odpowiedział bohater literacki, który z pewnością nie powinien nic robić, w każdym razie w jej rzeczywistości.

– Ale po co? I to u mnie? Teraz? – zdziwiła się.

– No wiesz, trochę się stęskniłem. Chciałem się pokazać w nowym szaliku, ale znów mi go skasował, to pomyślałem, że zajrzę. Z mojego seksu nici, w ogóle pisanie idzie mu jak krew z nosa. Może kiedyś. Namówiłem Marcina, żeby spróbował mu zasugerować burdel, ale tylko w ryj dostał.

O tym akurat słyszała, ale chłopak wziął kilka dni urlopu na remont łazienki, więc w pracy go nie było. Oczywiście „remont łazienki” musiał być tylko pretekstem, chłopak pewnie był po prostu nieźle posiniaczony.

- Ale po co ci ten pieprzony seks? - jęknęła Gabi, która sama była wyposzczona, ale też zawiedziona.

- Łatwo ci mówić! Ja chcę, potrzebuję, pragnę, żądam seksu! Nie rozumiesz? No? Powiedz! Dlaczego nie rozumiesz? Chcę, żeby mi napisał o seksie. Tyle o tym słyszałem, że uniesienia i w ogóle.

- Ja ci napiszę, może być? - mruknęła złośliwie, ale natychmiast się odgryzł.

- Nie, nie może być! Nie jesteś pisarką. A na dodatek nie jesteś moim autorem! No chyba, że ja ci coś podyktuję, ale jeszcze nad tym pracuję. Zresztą jesteś dziewczyną, nic nie wiesz o męskim seksie! - Już chciała kazać mu się zamknąć, ale zrezygnowała, a on gadał dalej: - Wszystko szło dobrze, a teraz nic. Jestem zdruzgotany. Nawet Herkules Poirot uprawiał seks, a ja? Czy jestem przeklęty? - zawołał teatralnie.

- Jesteś tylko nienormalny! Jak mogę ci pomóc? - dodała wrednie przymilnym tonem.

- Znasz tych jego znajomych, mogłabyś...

Gabi wpadła w panikę.

- Czyś ty zwariował? Przecież wezmą mnie nie tylko za wariatkę, ale też za jakąś nimfomankę! - wrzasnęła przerażona na samą myśl, że mogłaby z kimkolwiek rozmawiać o tej sprawie. Nie, o seksie nie bała się gadać, ale nie tak. - To byłaby ingerencja w wolność twórczą! Nie rozumiesz?

- Tak, zaraz ingerencja... A ten detektyw, co go zabili zamiast mojego autora, to co? On mógł?

- Nie rozumiem?

- No wiem, że miał jakieś papiery i w nich coś kombinował. Coś paskudnego. Wiem też, że się mną interesował, i to bardzo. Sprawdzał nawet, jakie majtki noszę.

- Ty?

- A co? Jasne, że ja!

- I co z tego?

– Nic, podsłuchałem, jak ktoś z nim rozmawiał.

– Przecież on nie żyje! Z duchem gadałeś?

– Nie no, to było, jak jeszcze żył, i nie gadałem z nim, słuchałem. On komuś mówił, że coś sprawdzał i coś wie. A właściwie to nawet krzyczał, że moje majtki są nie takie i że on o tym powie.

– Kolejny świr. Kogo obchodzą majtki, i to jeszcze twoje? Przecież nie są w kropczki? – Samuel chciał zdjąć piżamę, ale Gabi wrzasnęła przerażona: – Ani mi się waż! Nie chcę oglądać majtek! Niczyich, twoich też nie!

Miała potężny dysonans poznawczy. W jej pokoju stał facet, który co prawda był tylko postacią literacką i jako taka był właściwie bezcielesny, ale przecież wciąż mógł stanowić jakieś zagrożenie. Na przykład dla zdrowia psychicznego, o ile nie był sam w sobie objawem czegoś paskudnego. Mógł coś kombinować. Gabi nie wiedziała jak, ale przecież to niewykluczone.

Popatrzyła na niego odrobinę uważniej.

– Czy ty masz na nogach czółenka? – zapytała zaniepokojona.

Samuel dotychczas był bohaterem stuprocentowo męskim, nawet nieco zbyt męskim, w każdym razie w swoich działaniach detektywistycznych jednoznacznie po męskiej stronie płciowości. Nie, żeby to miało jakieś szczególne znaczenie, ale zdążyła się do tego przyzwyczaić i pokochać go takim, jakim był. Nie wyobrażała sobie zmian w jego image'u.

Rzeczywiście jednak, choć dziwnie to wyglądało, Samuel był w butach. Po raz pierwszy nie boso.

Miał na nogach damskie czółenka, a do nich białe skarpetki.

– Koszmar, nie? Może autor chce jakoś uwydatnić we mnie żeński pierwiastek, tylko nie wie jak?

– Nie przesadzaj, żeński pierwiastek? Te buty bardziej kojarzą mi się z drag queen!

– Czyli seks? No to jeżeli to seks, to w porządku! – ucieszył się Samuel.

– Niekoniecznie seks, raczej występy sceniczne i może trochę tańca – roześmiała się Gabi.

Samuelowi zrzęda mina.

– Ale te papiery, co ten detektyw zostawił, to już znaleźliście?

– Jakie papiery?

– Nie wiem jakie, jakies. Zostawił je...

– Nie wiesz jakie i nie wiesz gdzie? No to naprawdę nie pomagasz.

– Gdzie to jakby wiem. – Wzruszył ramionami.

– Jakby?

– W żabie jakiejś, może na listy? Tak słyszałem, że listy w żabie. Czy list. Albo papiery? Nie wiem.

– Jezus, a co to za cholerne ustrojstwo? Wiesz choć, z kim rozmawiał?

– No wiem. Z jakąś babą.

– Też mi wiedza – burknęła Gabi. – A wiesz, co było w tych papierach?

– Goła baba! – wypalił Samuel.

– Zwariowałaś? Jaka goła baba?!

– No mówił, że akt!

Gabi rzuciła w niego książką. Nie chciała mu tłumaczyć, jakie są różne znaczenia słowa „akt”, a on słowników chyba nie posiadał. Poza tym głodnemu chleb na myśli, a on myślał tylko o seksie.

Postanowiła sprawdzić żabę na listy. W internecie. Od razu znalazła kilka reklam dziwacznych skrzynek na listy, które jednak nie przypominały jej niczego, co by już gdziekolwiek widziała.

* * *

– Jezus Maria, już wiem! – krzyknęła Adela, siedząc u siebie w domu po pracy.

Właśnie czytała kolejną rewelację upiora.

Nagle zrozumiała.

Mogła zadzwonić do Marcina, ale to nic by nie dało. Musiała niestety iść z tym do aspiranta Mrocza.

To znaczy nie iść.

Zadzwoniła. Tylko on mógł zrozumieć. Jak pech, to pech.

– Gamajda! – wrzasnęła do telefonu, zanim zaczęła tłumaczyć, tak bardzo rozpierała ją euforia.

– Posterunkowa Knot? Delka? Co to za wyzwiska? Upiłaś się czy jak? – powiedział jej przełożony obrażonym tonem.

– Nie! Wiem, kto jest upiorem!

* * *

Daniel wszedł do Grażyny jak do siebie, tym bardziej że zostawiły mu otwarte drzwi.

Grażyna natychmiast zaczęła świrować, żeby nie siadał, nie dotykał klamek oraz o ile to możliwe, nie oddychał. Kiedy zakasłał, wszystkie trzy skuliły się ze zgrozą, jakby wszy rozprzestrzeniały się drogą kropelkową.

One wyglądały jak kosmitki, on jak lekko odrapany menel.

– Mam problem – stwierdził, jakby one problemu nie miały, ale to one poczuły się dość niezręcznie.

– Ty masz? Ciebie tu nawet nie było! A my taplałyśmy się we krwi.

– I mózgu! – dorzuciła Gośka niemalże z satysfakcją.

– Właśnie! I mózgu! – dodała Marta.

– To kto ma większy problem? – warknęła Grażyna jako nieformalna przywódczyni tej pisarskiej trójcy babskiej. – Zresztą nie znałyśmy tego faceta tak jak ty!

Oczywiście przywódczynią nie była, bo nie mogła być. Pisarze sami są sobie sterem, żeglarzem i okrętem – na Facebooku, ale często i w życiu.

– Nie znałem go za dobrze, choć widywałem, ale od widywania do zabijania daleka droga! Nie zabiłem go i nawet nie miałem po co.

– Bo miał na ciebie haka?

Daniel chyba zbladł, ale po ogoleniu wyglądał tak bardzo inaczej, że nie były pewne, czy nie jest to tylko takie wrażenie.

– Nie, nie miał. To znaczy miał, ale to był durny hak. Nie, to nie to. Ja go nie zabiłem.

– A kto?

– Dorota? – zaproponował. Naprawdę nie wyglądało to ani na stwierdzenie, ani na pytanie, ani nawet na sugestię. To była propozycja.

– Dorota? – Popatrzyły na niego zza okularów i maseczek. – Twoja żona?

– Właśnie. Jak wam to podchodzi? – zapytał, jakby zajmował się tworzeniem fabuły książki, a nie sprawami z realnego życia swojej, bądź co bądź, rodziny.

– Ale co ona mogłaby do niego mieć? – prychnęła pogardliwie Marta.

– Nie wiem, ale mogła. I Pazurkowa też mogła, bo Piotrek Pazurek to nie. I może babulina Matecka? Ona co prawda nie dałaby rady, ale mogła.

Wszechświat Daniela składał się z dwóch stref wpływów: męskiej i żeńskiej. To, co męskie, było w porządku, to, co żeńskie – nie. Dodatkowo Adach wierzył, że baby są wredne, a od tego do wniosku, że tylko kobieta mogła...

– Słuchaj, jaka kobieta byłaby w stanie tak biedaka zakatować? Tak, żeby mu mózg w formie berecika z głowy się wylał? Przecież do tego trzeba siły!

– Dorota jest silna! – Pokiwał głową z przekonaniem.

Daniel Dorotę właściwie mógł poświęcić i ona oczywiście powinna była się na to zgodzić. Nie był pewien, czy to zrobiła, to znaczy czy

faktycznie zamordowała Kopydłę. W tym momencie nie miało to jakiegos̄ istotnego znaczenia. Wystarczyłoby, żeby policja była o tym przekonana. Mógłby dać funkcjonariuszom na pożarcie swoją żonę i wcale by się tym nie przejął. Żył przeświadczenie, że dobra żona umie się poświęcić dla dobra męża, zresztą nie tylko umie, ale też chce, pragnie, pożąda. Zrobi wszystko.

Namawiał ją zresztą delikatnie do tego, żeby się przyznała, ale chyba nie zrozumiała, bo wyzwalała go od idiotów. Gdyby to zrobiła, on mógłby to jakoś wykorzystać, mógłby coś z tego wyciągnąć... Oczywiście gdyby się przyznała, będąc niewinną, bo jeżeli była winna, to sama sobie była winna, kretynka. Istniała szansa, że policja to przyznanie się do winy zweryfikuje i po jakimś czasie ją zwolni, ale istniała też taka możliwość, że śledczy się po prostu ucieszą i zamkną sprawę oraz Dorotę na długie lata.

No cóż.

Obiecał jej nawet, że będzie za nią tęsknił.

Zupełnie nie pojmował, dlaczego się nie zgodziła. Postanowił więc to załatwić bez jej przyznania się do winy.

Niektóre kobiety takie już są, że trzeba za nie podejmować decyzje, bo same tego nie potrafią.

– Ona mogła to zrobić! – powiedział z mocą.

– Ale dlaczego?!

– Bo ona też go znała.

– A twoja matka? – rzuciła Marta złośliwie zza zasłony ochronnej.

– Nie! No coś ty?! Mamusia?! – aż jęknął. – Wiem, że bywa apodyktyczna i w ogóle, ale to jest moja matka! Nie pozwalajcie sobie za dużo.

I to musiało im wystarczyć.

– Ale czego ty od nas chcesz? – To pytanie kłębiło się im w głowach od początku i to nie tylko odkąd przyszedł, ale odkąd tę wizytę zapowiedział, bo była dla nich całkowicie niezrozumiała.

– Ja? Od was? Myślałem, że współpracujemy? Trzeba to skończyć, wykrzyć sprawcę! Jakoś wszystko ogarnąć. Weźcie, pochodźcie po ludziach! Popytajcie, że niby do książek! Pogadajcie z tą policjantką albo tym idiotą z biblioteki, co się na mnie rzucił jak debil. Niczego tu nie wysiedzicie!

Przez chwilę trwało zaskoczone milczenie, bo nie tak to sobie wyobrażały. Nie chciały, żeby je traktował jak niewolnice albo co gorsza sekretarki.

– No, do roboty, panienki! – rzucił i wyszedł.

Nie trzeba dodawać, że się wściekły.

– „Do roboty, panienki”? No kurwa, ja mu dam „do roboty”! Ja mu dam „panienki”! – wrzasnęła Grażyna ostro obrażona, chcąc ściągnąć swoje zabezpieczenie w wannie.

– Nie, daj spokój, nie rób tego! W wannie tego nie spalimy! Rozbierzemy się na trawniku!

To był rozsądny pomysł, choć trochę panikarski.

– Jesteśmy nagie pod spodem! – zaprotestowała Grażyna.

– Trudno, jakoś przeżyjemy. Tam da się to od razu spalić. Tu nie!

Wyszły, rozebrały się, stanęły niedaleko płotu i rozpały ognisko z ciuchów. Dorzuciły trochę słomy i starych desek, papierzyk, które znalazły koło śmietnika, i połamanych gałęzi.

Powinny były wziąć jakieś prześcieradła, żeby się zakryć, ale Grażyna im nie pozwoliła, bo potem i je trzeba by spalić, a pieniądze nie rosną na drzewach, prześcieradła też nie.

Trzy pisarki były więc nagie.

Mogły oczywiście zrobić to wszystko, wraz z rozebraniem się i rozpaleniem ogniska, za domem, ale widoczność czy to za domem, czy przed nim była mniej więcej taka sama. Jeśli ktoś miał je zobaczyć, to i tak zobaczy. Jeśli nie miał, to nie zobaczy.

I nie było to wcale głupie zdawanie się na los, ale pojęcie o prawie nieistniejącym ruchu pieszym i kołowym na tej uliczce.

Los sprawił jednak, że ktoś miał je zobaczyć.

* * *

– Cześć Marcin – powiedziała Gabi do telefonu. – Nie wiem, co tam u ciebie, ale był u mnie Samuel. To znaczy jest... – Zamilkła na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, bo chciała powiedzieć jak najwięcej, zanim chłopak jej przerwie.

Przerwał.

Przerwał jej wrzaskiem.

– O nie!!! Nigdy więcej! – warknęła, jakby zrobiła mu jakąś wielką nieprzyjemność, a może nawet i krzywdę, ona, nie kto inny, a właśnie ona.

Aż musiała odsunąć telefon od ucha, żeby od jego krzyków nie ogluchnąć.

– Nawet mi o nim nie wspominaj! Nie będę rozmawiał z tym zбочeńcem! – darł się przez zatkany nos wielkości sporego melona. (Co prawda Gabi nie mogła tego widzieć, bo nawet jeżeli gadała z kimś przez smartfona, nie robiła z tego wideorozmowy. Było to jednak zwyczajnie słycać, gdyż nos rozrósł się Marcinowi na pół twarzy i był całkowicie niedrożny). – Nawet nie wiesz, co mi zrobił! Śmieć jebany! Tylko o pieprzeniu myśli! No zбок, zwykły zбочek!

Gabi nie rozumiała wściekłości Marcina. Pewnych rzeczy się nie rozumie, dopóki się ich nie doświadczy albo choć nie dostrzeże, a ona go w obecnym stanie jeszcze nie widziała. Liczyła jednak, że Samuel pomoże jej załatwić spotkanie. Właśnie z Marcinem. Prywatne do tego. Bo Samuel dotyczył tylko ich dwojga. Był ich słodko-słoną tajemnicą. A może nawet słodko-gorzka, bo miło było porozmawiać z postacią literacką, ale komiczność ukrywania tego wydawała się dość gorzka. Było to czymś naprawdę zwariowanym, co łączyło tylko ich dwoje i nikogo więcej.

– Wiesz, ale on powiedział, że ten detektyw... – usiłowała jednak coś wtrącić, choć było to bardzo trudne wobec gniewu Marcina.

– Nie chcę tego słuchać! – krzyknął chłopak nosowym głosem. – Nawet mi nie mów! Nic, nic nie mów! Mam tego dość!

Zamierzał nawet rzucić słuchawką, ale przy telefonach komórkowych nie jest to tak spektakularne jak przy stacjonarnych.

– Ale on powiedział, że detektyw zostawił papiery jakieś! Ten zamordowany! Rozumiesz? Papiery. Czy nie kusi cię, żeby je zdobyć? Przeczytać? Nie? – rzuciła wszystko na jedną kartę. Ciekawość to mocny argument.

Chciała w razie czego dodać argument jeszcze mocniejszy, czyli „co z ciebie za mężczyzna”, ale się powstrzymała. Po takim postawieniu sprawy następowały zazwyczaj pożary i zgliszcza, bo męskość to coś tak strasznego, że jeżeli się ją poda w wątpliwość, może nawet zacząć zabijać.

– No... w sumie. – Marcin dał się ponieść umiarkowanemu entuzjazmowi. – Tylko daj spokój z tym bla, bla. O co konkretnie chodzi? – Teraz już chciał się dowiedzieć jak najwięcej.

– O żabę na listy. Wiesz, co to może być?

Gabi miała plan. Polegał on na odnalezieniu żaby z pomocą i w asyście Marcina. Gdyby jednak plan „A” nie wypalił, dysponowała jeszcze planami „B” oraz „C”, to znaczy mogła się rozplakać albo znaleźć papiery sama i zagrać mu na nosie. To ostatnie też było kuszące, ale jej wcale nie zależało na rozwiązaniu sprawy, a na związaniu się z Marcinem, więc rozwiązanie jej z nim mogło ich związać. Tak, belkot, taki trochę babski, ale czasami nawet bardzo inteligentne kobiety się zakochują.

Tyle że chwilę potem Marcin powiedział coś, co ją zmroziło.

– W sumie nie, ale może... może Adela coś kojarzy? Zadzwoń do niej.

Gabi westchnęła podłamana. Adela. Znowu ta pieprzona Adela. Czy on nie umiał inaczej? Czy ona była skazana na towarzystwo tej paskudnej, wrednej policjantki?

Adela nie była niestety paskudna na tyle, żeby można się było jej nie obawiać.

Gabi chętnie by ją zatłukła, ale zdawała sobie sprawę, że dzięki temu aktowi bestialstwa miłości Marcina nie uzyska, a więzienne lesbijskie doświadczenia jej nie kusily.

– Bo jeżeli tam są dowody, to jednak lepiej, żeby ona przy tym była – wyjaśnił i w duchu musiała się z nim zgodzić. – Weźmiemy, pomacamy, zostawimy paluchy, a potem komuś wpadnie do głowy, że to my go zamordowaliśmy. Wolę dmuchać na zimne.

I tu też niestety należało mu przyznać rację, choć temat żaby wcale nie wydawał jej się załatwiony ani nawet obgadany. Ale dowody to dowody – coś, czego woleli nie zniszczyć, nie zanieczyścić ani nie zmarnować.

Niektórym się wydaje, że dowód to rzecz, ale niestety nie tylko. Dowód to całokształt. Liczy się, gdzie został znaleziony, koło czego, nad czym, pod czym, a czasami o wiele więcej.

Znana była sprawa zdjęcia znalezionego w portfelu pewnego podejrzanego. Ktoś niefrasobliwie je wyjął i pokazał za jakiś czas. Na to, że wcześniej było w tym portfelu, mieli tylko jego słowa. Nic niewarte niestety. I tak zdjęcie w portfelu mogło być dowodem, a wyjęte bez obfotografowania – nie mogło.

– No szlag! – westchnął Marcin. – Muszę zadzwonić do Adeli.

– No szlag! – odpowiedziała w zamyśleniu Gabi. – Musisz zadzwonić do Adeli.

* * *

– Zaraz, zaraz, co?

Adela uśmiechnęła się, wyobrażając sobie minę przełożonego.

– Wiem, kto jest upiorem! – oznajmiła dobitnie. – Wiem na milion tysięcy procent – rozentuzjasmowała się jak dziesięciolatka.

– A możesz to udowodnić?

Tu był problem, bo owszem, mogła to udowodnić, ale nie tak, jak by wymagała tego policja, nie w tej chwili. Choć teraz, znając pewne zależności, będą wiedzieli, gdzie szukać, więc bez problemu znajdą.

– Oczywiście, że tak.

– Kto to jest? Mów natychmiast...

– Mowy nie ma! Powiem jutro rano, a ty po prostu przejrzyj jeszcze raz wpisy, może sam dojdiesz do tego, co ja.

Nie mogła powiedzieć, bo do rana, jak znała życie, wszyscy by wiedzieli, że Mroczek wykrył upiora, i to bez niczyjej pomocy.

Odłożyła telefon na stół, ale po chwili musiała znów do niego podejść, bo zadzwonił. Niby taka jest rola telefonu, ale czasami przegina – albo on (co raczej niemożliwe), albo los, albo (co prawdopodobniejsze) jakiś zbieg przeróżnych okoliczności. W każdym razie, kiedy czekasz, milczy, kiedy jesteś zajęty, dzwoni jak nakręcony.

* * *

– Dobra, już dzwonię do Adeli, a potem wpadniemy do ciebie albo nawet po ciebie. Tylko co jej powiemy? – Marcin zaniepokoił się perspektywą rozmowy o Samuelu. – Przecież nie możemy jej przedstawić zboczeńca w pełnej krasie, bo na pewno go nie zobaczy i nas wsadzi do psychiatryka. A jak zobaczy, to jeszcze gorzej. Przestraszy się. Weź, spacyfikuj go jakoś, co? Wygoń, przegoń, wywal przez okno, ja go nie chcę widzieć i wołałbym, żeby ona go przypadkiem nie zobaczyła, bo wpadnie w panikę i nas powystrzela jak kaczki. Albo dostanie świra? Nigdy nic nie wiadomo.

No tak, to też trzeba było wziąć pod uwagę. Nie znali Adeli na tyle, żeby wiedzieć, co, kiedy i czy w ogóle czyta, a jeżeli tak, to mogłaby niechęć zauważyć Samuela. Nawet bardzo niechęć.

Takie ryzyko, choć bardzo nieznaczne, jednak istniało.

* * *

Nieszczęsna Adela i Marcin, zdecydowanie bardziej nieszczęsny, choć trochę inaczej, bo z nosem jak melon, sino-żółtym i trochę krwawym, zjawili się u Gabi, choć było późno.

– To mogłaby być jakaś skrzynka na listy? – zapytał Marcin nosowo.

– W kształcie żaby? – Adela należała do osób w pewien sposób uważnych, to znaczy zauważała rzeczy, które inni pomijali. – Przecież taka jest u tej pisarki! Widziałam, paskudna. Ale, ale... skąd wiesz o tych papierach? I w ogóle co to miałyby być za papiery?

Gabi tego właśnie obawiała się najbardziej. Przecież nie mogła wyjawić, że dowiedziała się o tym od kogoś, kto nie istnieje. Wytłumaczenia pochodzenia tej informacji z Marcinem nie przeciwczyli, dlatego teraz patrzyli na siebie niepewnie. Gabi musiała improwizować.

– Słyszałam – powiedziała niepewnie.

– Ale jak, gdzie? Kiedy? – rzuciła się na nią Adela.

Ona też Gabi nie kochała, to znaczy, no, nie była do niej przyjaźnie nastawiona. Może ta osławiona niechęć jajników (bo skoro istnieje solidarność, to i jej przeciwieństwo na pewno też) w tym wypadku zadziałała jak zwykle, co zdarza się nader często, może chodziło o Marcina, a może po prostu jakoś nie przypadły sobie do gustu w tym obecnym, dorosłym już wydaniu?

Gabi patrzyła na nos Marcina i przypominała sobie internetowe powiedzonko, że wielkość nosa ma znaczenie przy określaniu wielkości innej, bardziej zakrytej części męskiego ciała, czyli im większy nos, tym większe przyrodzenie. Dziewczyna nigdy tego nie weryfikowała, ale teraz zastanawiała się, czy jak puchnie nos, to puchnie i przyrodzenie. To akurat chętnie by sprawdziła.

Najwyraźniej wpływ Samuela na nią był o wiele mocniejszy, niż się wydawało.

W ogóle Gabi miała na Marcina ochotę. Tę niegrzeczną. Wyposzczona od czasu Piotrka i zresztą w czasach Piotrka też leżąca odłogiem sfera jej seksualnych potrzeb właśnie dochodziła do głosu

i zalewała ją falami gorąca... na widok rozkwaszonego nosa?! Musiało być z nią naprawdę źle albo Samuel był zakażny.

– No, w bibliotece ktoś coś takiego mówił, ale nie wiem kto – ciągnęła nieprzekonana, czy da radę rozsądnie nakłamać. – Nie rozpoznałam głosu, a poza tym nie mogłam sprawdzić, bo był tłum ludzi.

– Jak dokładnie to zostało powiedziane? – burknęła Adela.

Ona miała też podobne pomysły co do Marcina, ale nie z powodu nosa – wyciągała go spod prysznic, patrzeć nie patrzyła, ale widzieć widziała, miała szanse marzyć o innych częściach jego ciała.

Gabi postanowiła powtórzyć to, co powiedział jej Samuel. Mniej więcej.

– To było tak jakoś, że ktoś zapytał, czy te papiery, co tamten zostawił w tej żabie, to policja już znalazła.

– Dobra, rozumiem, ale skąd wiadomo, że chodziło o tego detektywa?

– No, bo ktoś powiedział, że chodziło o Kopydłę. Jakoś tak. „A co z tym facetem, co go zabili? Kopydło się nazywał” i takie inne, a potem to o papierach – kłamała jak z nut, eliminując Samuela z całej sprawy.

Wcześniej wyeliminowała go z pokoju, grożąc, że sama zabije Daniela, jeżeli on nie zniknie, a wtedy to już na seks szansy żadnej miał nie będzie.

– No dobra. Bzdury jakieś. To całkowicie nieprawdopodobne, bo skoro ten ktoś wiedział, że Kopydło zostawił papiery w żabie, to dlaczego ich nie wyciągnął? Nierealna podpucha, ale co nam szkodzi sprawdzić? I po co detektyw by cokolwiek zostawiał u kogoś obcego na posesji?

– Przecież tam koczował w kibelku, może dlatego? – Marcin miał ochotę uwierzyć, więc wierzył.

Samuel z irytacją przyglądał się, jak Gabi i Marcin szykują się do wyjazdu, i nie bardzo mógł się z tym pogodzić. Czuł się wyalienowany. Opuszczony, pominięty i niechciany. Takie uczucia nawet dla realnego człowieka są przykre, a co dopiero dla bytu literackiego, który potrafi płakać i rzucać mięsem (w cichości ducha), czytając negatywne recenzje na swój temat.

Dodatkowo jego irytacja wynikała z faktu, że tam, gdzie jechali, nie było dla niego miejsca.

Marcin i Adela zeszli do samochodu. Gabi marudziła jeszcze chwilę. Ona też czuła się nieco odrzucona. Wyczuwając jej nastrój, Samuel postanowił go wykorzystać. Nie zamierzał bynajmniej jej pocieszać, co to, to nie. Jak większość ludzi – realnych, literackich czy internetowych – czerpał niejako satysfakcję ze smutku innych.

– I co? – zapytał ją zgryźliwym tonem. – Znajdziecie to?

– Może znajdziemy, ale wiesz, to nigdy nie jest takie proste... To jest prawdziwe życie, ktoś mógł coś powiedzieć tak od niechcienia, mógł to wymyślić, mogłeś źle usłyszeć. Zresztą po co w ogóle Kopydło miałby tam zostawiać cokolwiek?

– W książkach często tak jest, że... – Tu zamierzał streścić kilka fabuł, ale go powstrzymała.

– W książkach aż roi się od nielogicznych rozwiązań fabularnych. No, bo patrz. Po co on miałby te papiery w ogóle gdzieś chować? Dlaczego nie trzymał ich w pokoju w hotelu, w kibelku u Grażyny albo w samochodzie? Po co ukrywałyby je gdzieś w polu, u kogoś obcego, w skrzynce na listy, do której właściciel może zajrzeć!

– Żeby ktoś mu ich nie ukradł.

– To lepiej je w kieszeni trzymać niż w jakiejś zabie, nie sądzisz? I na dodatek ktoś jeszcze o tym wiedział, skoro słyszałeś tę rozmowę.

– Ale żeby gołą babę w kieszeni gniesić? – Samuel wrócił do swoich nacechowanych seksualnie skojarzeń.

– Akt to nie tylko obrazek z gołą babą! Są jeszcze inne! Może być akt zgonu, akt własności, akt urodzenia, akt małżeństwa... – zawołała

ze złością.

– Ty to wszystko potrafisz zepsuć!

* * *

Kiedy Gabi, Marcin i Adela dotarli na miejsce, gdzie spodziewali się znaleźć żabę na listy, ognisko płonęło w najlepsze, a dym palonego plastiku dusił wszystkich dookoła. Trzy gołe baby były nim tak owiane, że straciły orientację i łaziły trochę jak powalone. Nie najmniejsze znaczenie miał w tym pomysł Gośki, że sobie przy tym ognisku wypiją burbona jak prawdziwe sabatowe czarownice, bo jest noc i będzie zajebiście. Nie było.

Burbon był mocny.

Naprędce zdobyły jakieś zasłonki czy inne gałgany, ale i tak wyglądały dość nago.

– Coś mnie użarło – jęknęła Gośka w zasłonce. – Możliwe, że to te wszy?

– Może nie, to mogą być komary – mruknęła Marta. – Chodźmy do domu, bo mi dupa marznie.

– Trzeba było sabat odwalać? – wtrąciła Grażyna.

– Sama mówiłaś, że tu nikogo nie ma! Miało być zabawnie, ale nie tak na widoku. Przecież tu całe tabuny ludzi łażą.

– Teraz to ci tabuny przeszkadzają, a jeszcze chwilę temu chichotałaś jak wariatka.

Burbon znieczulił je odrobinę i nawet bardzo skasował poczucie wstydu, które teraz wróciło ze zdwojoną siłą. Wyglupy po alkoholu są fajne, ale tylko bezpośrednio po alkoholu, potem jakoś się wypaczają, a świadomość, która potem wybucha w głowie, jest napakowana wstydem, którego poziom zależy głównie od tego, ile osób w tym uczestniczyło. I chodzi nie tyle o to, „co ludzie powiedzą”, ile o „szlag, a jak to się dostanie do internetu?”.

– I co zrobimy?

– Wykapiemy się. Ja idę pierwsza! – zawołała Gośka.

– Nie o to pytałam. Mam na myśli Daniela i tę promocję.

– Nic nie zrobimy! Nie będziemy go promować. To bez sensu, po co nam to? On nawet Dorotę chciał policji podłożyć! Własną żonę! To co? Nas nie poświęci? Jak tylko będzie miał możliwość, natychmiast to zrobi. Chwila moment i policja zacznie nam się dobierać do tyłków, tym bardziej, że same się w to wpakowałyśmy. Dajmy sobie spokój.

Mówi się, że *in vino veritas* i tak dalej. Niby tym razem to nie było wino, a burbon, w każdym razie w tym przypadku alkohol przywrócił im zdolność logicznego myślenia.

* * *

Podjechali trochę z boku. Adela ich wysadziła, a sama ruszyła na nieco oddalony parking, dokładnie do leśnej zatoczki, żeby samochód zostawić odrobinę mniej na widoku.

Gabi i Marcin przygotowali się do akcji bardzo dokładnie. W zbyt wielkich żółtych gumowych rękawicach nasuniętych na trzymane w górze dłonie przypominali chirurgów przed operacją. Mało kto, kto nie nosi takich rękawiczek na co dzień, jest w stanie się do nich szybko przyzwyczaić i nie poddać się obrazom z filmów, na których aktorzy grający lekarzy tak właśnie się zachowują, zwłaszcza kiedy mają na sobie maseczki. Bibliotekarze wyglądali jak dwoje dziwnych szpitalnych stworów, które mają ochotę albo wkręcić kilka żarówek, albo kogoś porwać i pokroić na organy. A w każdym razie taki pomysł miała Pazurkowa, kiedy ich zobaczyła.

Uciekła z wrzaskiem.

– O, moje nerki, nereczki, ratunku...!

I nikt nie wiedział, czy chodzi o jej osobiste nerki, czy o te, które pichciła na przydomowym (a właściwie zadomowym) ognisku.

Maseczki odczłowieczają, a na dodatek zasłaniają pół twarzy, więc naprawdę nie jest łatwo rozpoznać człowieka, który coś takiego założy.

Marcinowi i Gabi było wszystko jedno. Idąc w kierunku czegoś, co było chyba chwiejnym pochodem pisarek, cicho i o wiele od nich

zgrabniej podeszli do płotu i...

– Ja pierdołę! Nie ma! – krzyknęła Gabi. – Przecież to było gdzieś tutaj...

Rzeczywiście, zamiast żaby była dziura, jakby skrzynka została wyrwana wraz z bebechami z ziemi i zniknęła.

– No szlag, gdzie ona, do cholery, jest?! Szukajcie! – powiedziało coś w plecaku Gabi, wywołując u obojga niekontrolowany napad wrzasku.

– Wzięłaś go ze sobą? – zdziwił się Marcin. – Przecież mówił, że nie może się tak przemieszać.

– Nie, nie wzięłam go, coś ty. Pewnie sam jakoś wlaźł. A poza tym on kłamie...

– Oj tam, zaraz kłamię. Nie kłamię! Masz w plecaku książkę o mnie, więc się odrobinę postarałem i jestem.

– U mnie na plecach? – zdziwiła się nieszczerze, udając, że nie zrobiła tego celowo.

– Wiesz, jestem przyzwyczajany do różnych sytuacji. Kiedyś ludzie oddawali się lekturze w eleganckich warunkach, ale teraz? W kiblu też mnie czytali, i to na ciężkim zatwardzeniu. Bo w sumie sraczka się do czytania nie nadaje, ale zatwardzenie jest świetne...

– Natychmiast przestań! – jęknęła Gabi i bardzo się ucieszyła, że obok niej stoi tylko Marcin, bo gdyby nie to, dziwnie by wyglądała, gadając z pustką wokół.

– Nie przestanę! To jest niesprawiedliwe! – jęknął Samuel z głębi plecaka, w którym nawet nie mógłby się zmieścić, ale przecież książka ma o wiele większą pojemność niż niektóre wszechświaty. – Wiecie co ja przeżywam?

– Wynos się stąd! Natychmiast, a poza tym nic nie przeżywasz, bo nie żyjesz!

– Kto nie żyje?! – zaskrzeczała przechodząca obok babulina Matecka.

Nie widząc możliwości dalszej konwersacji, Samuel zniknął. A może inaczej – odrobinę się przemieścił, za to babulina Matecka nadal tkwiła

przed Gabi i wpatrzona w nią czekała na odpowiedź.

– Nikt – odpowiedziała Gabi, nie chcąc wchodzić z nią w jakiegokolwiek interakcje.

– Jasne, jasne, nikt, oczywiście. I tak się dowiem! – Staruszka zrobiła wredną minę. – Myślicie, że tak łatwo jest kogoś zabić i nie trafić do pierdła?

– Nic nie myślimy, żaby szukamy!

– Żaby są nad stawem. – Wskazała ręką jeziorko, w którym żaby mogłyby przetrwać, tylko gdyby były pancerne. Wszystkie inne by padły albo się rozpuściły.

– Nie, chodzi o tę skrzynkę. Taką na listy, co chyba tu stała.

– Widziałam, jak ktoś ją niósł.

– A dokąd? – zapytała Gabi, nie zdając sobie sprawy, jak perfidna bywa Matecka.

– A kto nie żyje?

– Samuel! Samuel Kaszak! – warknął Marcin. – On nie żyje!

– Zamordowała go?

– Nie, nikt go nie mordował!

– A, to o to chodzi? – zawołała babulina z zachwytem w głosie. – Wiedziałam!

– Jezu, co pani pieprzy?! Przecież Kaszak jest tylko postacią w książce... A zresztą. Gdzie ta pieprzona żaba?!

Matecka popatrzyła na nich, skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

– Porąbała ją i spaliła.

– Co? – nie zrozumiała Gabi.

– Głucha jesteś? Spaliła ją, to znaczy spaliły. W tym ognisku. – Staruszka wskazała głową za siebie. – To wariatki.

Gabi popatrzyła na Marcina z taką miną, jakby właśnie straciła ulubionego kota. W oczach zakręciły się jej łzy żalu i wściekłości.

Nie wiedzieli, co właściwie mają teraz zrobić. Jeżeli Grażyna spaliła skrzynkę, mogła nawet do niej wcześniej nie zajrzeć. Mogła też zajrzeć,

ale z drugiej strony, kiedy wrywała kołek z ziemi, to coś, co tam było, mogło wypaść i zakamuflować się w krzakach koło płotu. Tak czy tak, mieli marne szanse na odnalezienie tego czegoś, cokolwiek to było.

Z dała dostrzegli Adelę. Szła w ich kierunku, wcale się nie spiesząc.

– Heeej! – usłyszeli poprzez zarośla. – Chodźcie no tu! Pani Adelo, no, daje pani tu do mnie!

Babulina Matecka stała w krzakach i wołała ich, machając ręką. Co ciekawe, Matecka w domu była zupełnie kimś innym niż poza domem, bo teraz znów zdecydowanie przypominała babulinę.

Przed chwilą poszła do domu, a teraz nie wiadomo skąd znów tu była. Ta kobieta miała żelazne zdrowie i przerażające pomysły. Zresztą obie, i ona, i Pazurkowa, żyły bardziej na ulicy niż w swoich domach.

Adela westchnęła i poszła w jej kierunku.

– Pani patrzy, co ona robi! – Matecka wskazała nieco w dal, gdzie stał nie kto inny, jak Pazurkowa.

Wyglądała, jakby ćwiczyła jogę. Była na wpół zgięta, ale miała zadartą głowę, ręce wyciągnięte przed siebie – jedną w przód, drugą jakby w górę – i stała tak jak skamieniała.

Pazurkowa w tym miejscu w formie posągu bardzo ich zaszokowała. Popatrzyli przez chwilę i nie widzieli, co zrobić.

Mieli zamiar podpytać Grażynę o losy skrzynki, ale w tym momencie wydawało im się to trochę pochopne. Jeżeli spaliła wszystko, to odzyskać papierów się nie da, jeżeli jednak przez spaleniem je znalazła, trzeba podejść do tego delikatnie. Jak trochę się ogarnie i wytrzeźwieje.

Tak więc, chcąc nie chcąc, teraz skierowali się do Pazurkowej.

– Jak jakiś sabat czarownic – jęknęła, widząc ich, ale się nie poruszyła. – A to?

Babulina Matecka posapywała z ciekawości chyba i przejęcia. Rozglądała się ciekawie, niewiele jednak dostrzegając.

Pazurkowa nadal stała jak skamieniała.

– Co pani robi? – zapytała Adela policyjnym tonem, który sam czasami się u niej pojawiał.

– Ja? Co ja robię? Pani się nie interesuje, lepiej pani patrzy tam! – Matka Piotrka wskazała głową przed siebie.

I wtedy to zobaczyli.

* * *

– Rzucam to! – jęknęła Grażyna, siadając na sofie w salonie. – Rzucam to w diabły!

Obie jej koleżanki doskonale wiedziały, co ma na myśli, ale kultura wymagała, żeby nie wiedziały. Nie mogły nawet pomyśleć, że wiedzą czy że biorą pod uwagę, bo przecież było to coś w rodzaju tańca godowego, tyle że bez godów i zalotów, ale też bez konsekwencji, zapowiadanych czy nie.

– Ale co rzucasz? Chodzi ci o to durne miasteczko? – Gośka wymyśliła cokolwiek, żeby pasowało.

Grażyna takie sceny odgrywała często, więc każdy zdążył się do tego przyzwyczaić.

– Nie! Rzucam pisanie! – wrzasnęła Grażyna i zaniósła się szlochem. Mniej więcej, bo szloch jej średnio wyszedł, nie mówiąc nawet o łzach.

– Ale co ty, nie wydurniaj się! Nie wolno ci! – zawołała Gośka.

– Kurwa, chyba lepiej wiem, co mi wolno, a co nie!

– A czytelnicy? – Gośka reagowała, jak należało.

– Co znowu czytelnicy? Mają mnie głęboko w dupie! Głęboko! Nie rozumiecie? Oni traktują mnie jak maszynkę, jak robota, a ja już tak nie umiem. Tu serduszka, tam lajki, a gdzie w tym wszystkim serce? Toż to zwykła pieprzona hipokryzja! Nikt mnie nie kocha!

– No ale wiesz, ludzie cię czytają – powiedziała nieśmiało Marta, która nie lubiła takich momentów.

– Weź! Obchodzę ich jak zeszlóroczne psie gównno, nawet nie jak śnieg. Nie mam zamiaru się w to bawić, sram na to! Na topki, recenzje,

okładki, redakcje i wszystko inne! Mam dość!

– Ale nie możesz przestać pisać! Co będziesz robić? Nie dasz rady! Uważasz, że istnieje życie poza pisaniem? No nie żartuj!

– Poważnie, nie żartuję. Jestem załamana, spalę wszystkie notatki.

– O nie, co to, to nie! Nie wolno ci tego zrobić! – wrzasnął Samuel przerażony taką perspektywą, bo jednak dla niego pisarz był twórcą, a może nawet i stwórcą literackich wszechświatów oraz żyjących w nich postaci.

Aby dodać sobie powagi, wydusił z siebie sporo wizualności, toteż trzy pisarki nie tylko go usłyszały, ale i przez mgnienie oka zobaczyły.

– O ja pierdołę! O ja pierdołę! Gaz, tu jest gaz! – wrzasnęły mniej więcej razem i z krzykiem rzuciły się do ucieczki.

Zbyt wąskie drzwi salonu powaliły je na podłogę, a ich spanikowane ciała całkiem się skotłowały.

* * *

Adela, Gabi i Marcin, dokładnie tak samo jak Pazurkowa w formie posągu, patrzyli w stronę drzewa, które ta ostatnia im wskazała. Pod nim, niedokładnie zabita albo raczej nie całkiem zamordowana, leżała Ruda Kicia.

O tym, że jest niedokładnie zamordowana, przekonali się dzięki jękowi.

– O Boże, jeszcze tylko jej tu brakowało! – mruknęła Pazurkowa. – Przecież ona normalnie zainfekuje wszystko dookoła.

– Jest ranna – karcącym tonem stwierdziła Adela. – Muszę wezwać pogotowie.

– To im pani powie, żeby sobie takie ubranka od zakaźnych chorób włożyli, bo ona mendy rozsiewa.

– A gdzie tam, jakie mendy – jęknęła Ruda Kicia. – Ktoś mi przywalił.

– I miał rację! Takie to trzeba przez łeb i do piachu! – warknęła Pazurkowa aż skąpana w miłości bliźniego, która chyba jednak nie obejmowała Rudej Kici, a może i w ogóle pań z agencji, a może i w ogóle kobiet.

Trudno było się w tym połapać, ale gdyby ktoś stwierdził, że miłość bliźniego u Pazurkowej ograniczała się do jej własnego syna, wcale by się nie pomylił.

– Ale co pani! – Adela i Gabi, tym razem ramię w ramię jak dobre samarytanki, podeszły do poturbowanej Kici, która w tym momencie nie była ruda, a krwawa.

– Widziała pani, kto to był? – zapytała policjantka.

– A gdzie tam. Nic nie widziałam. Umówiłam się z klientem, to znaczy z klientką, ale zanim się z nią spotkałam, ktoś mnie walnął.

– Jak z klientką?

– Oj, zwyczajnie. Z klientką. Jak się umawiam, to zawsze z klientem albo klientką, przecież nie są moimi przyjaciółmi. A ta to nawet za bardzo nie jest znajoma.

– Ale... kto to był?

– Nie powiem – burknęła Kicia – przecież to dane wrażliwe.

– Srane wrażliwe, nie dane! Jasne, a pani głowa wrażliwa nie jest, tylko że dane to gówno, a głowa bywa krucha. Już, niech pani mówi! Natychmiast, zresztą...

– Co zresztą? – Kicia broniła się niezbyt zajadle. – Przecież nic mi nie jest.

– Ale mogło być!

– A tam, mogło, nie mogło!

– Z tym?

Adela podniosła spory drewniany kij, który biorąc pod uwagę obecne na nim ślady, mógł być narzędziem może nie zbrodni, ale na pewno ataku. Był gruby, z jednej strony wyglądał, jakby jeszcze niedawno był zakopany w ziemi, z drugiej miał kilka dziur na śruby.

– No ale... Bo... Tam były takie piski i wrzaski u tej pisarki, że chyba go spłoszyły.

– Jak to „go”? Mówiła pani, że umówiła się z kobietą?

– No ale to przecież nie ona mnie zaatakowała! – odpowiedziała, dysząc, tym razem bardzo zdziwiona Krwawo-Ruda Kicia.

Syreny znów wzbudziły zainteresowanie w okolicy, a dzielnica niedługo zyska sobie sławę Siedliska Morderców, co z pewnością przełoży się na ceny nieruchomości (i wcale nie znaczy to, że spadną).

– Niech pani mówi! – warknęła Adela, która wyczuła, że może zacząć nie tylko marzyć o awansie, ale nawet leciutko go sobie wizualizować.

– No, z Mariolą się umówiłam. Z tą Kołłątaj.

Wszyscy zamarli w niemym zaskoczeniu. Część dlatego, że Mariola była dyrektorką biblioteki, część dlatego, że mogła być całkiem wygodną morderczynią.

– Czyli jednak... No, no... - burknęła Pazurkowa z zadowoleniem.

– Co? No, no? – Adela chciała uzyskać jak najwięcej, bo ratownicy właśnie bardzo utrudnili jej dostęp do Kici.

– I ona jest lesbijką? Czyli o to chodzi! Armagedon! Wszystko by się zgadzało! Nadchodzi zagłada – oświadczyła Pazurkowa. – One wszystkie są nienormalne! I niemoralne! Umówiła się z tą prostytutką na seksy...

Zadziwiające, jak w umysłach niektórych ludzi seks wpływa na świat, wszechświat i ogólnie dobrostan ludzkości. Owszem, wpływa na świat i ludzkość, natomiast ze wszechświatem to lekka przesada. Nie chodzi zresztą o seks jako taki, ale jednostkowy. Taki, który w najmniejszym stopniu nie powinien i nie może nawet mieć znaczenia.

– O, ja przepraszam – odezwała się Ruda Kicia z noszy. – Nie jestem prostytutką, jestem seksworkerką! A na seksy nie umawiam się w lesie!

– To po co się pani umówiła z tą babą?

– To ona się umówiła ze mną, chciała mnie zapytać o coś tam. W sumie nic ważnego... No dobra, może i dla niej to było ważne, skąd mam wiedzieć? Nie powiedziała.

– Aleee...! – krzyknęła Adela, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej, ale nie dała rady.

Rudą Kicię zapakowano do karetki. Niczego już nie dało się od niej wyciągnąć, przynajmniej chwilowo.

Adela złapała Mrocza za rękaw. Aspirant przyjechał właśnie z ekipą techników wezwanych na miejsce ataku. Mógł odpuścić, bo wiedział, że Adela już tam jest. I dlatego właśnie nie mógł odpuścić. Od jej ostatniego telefonu czuł, że ta jego podwładna trochę się za bardzo wybija, postanowił więc po prostu jej przypilnować, przynajmniej do momentu zakończenia śledztwa. Przypilnować i wydusić z niej wieści o upiorze.

– Jedziemy za nią! – zawołała do przełożonego.

* * *

Samuel profilaktycznie postanowił zniknąć, nie ze względu na siebie, ale ze względu na te skotłowane baby.

Za każdym razem, gdy słyszał, że ktoś przestaje pisać, rzuca to w diabły, rezygnuje z literatury, krajało mu się jego papierowe serce. Po jego stronie rzeczywistości – bo w końcu była to rzeczywistość, literacka, ale zawsze – pisarzy szanowano, kochano, ceniono, a nawet ubóstwiano. Bohaterowie usiłowali nawet swoim autorom podpowiadać dialogi i podrzucać pomysły na akcję, niestety najczęściej bez skutku. Taka postawa jak ta Grażyny była dla niego potworną zbrodnią.

Trzy pisarki kotłowały się w progu salonu.

– Kurwa, masakra... Co to było? – zapytała po cichu Grażyna, by w razie czego jakoś się z tego wykaraskać.

Nie była bowiem całkowicie pewna, czy to, co widziała i słyszała... no, czy było też udziałem jej koleżanek. I czy w ogóle było.

Zobaczenie faceta w salonie, nawet jeżeli był dziwaczny, wcale ich nie przestraszyło. Niejeden raz w tym miejscu widziały faceta, niejednokrotnie kilku, a dziwacznych na tony. To nie to.

Najgorsze było to, jak go zobaczyły, jak go widziały. Jak, czyli w jaki sposób. Po pierwsze, jego pojawienie się było nagłe – w salonie, na środku, bez pośrednictwa drzwi. W dodatku nie pojawił się na zasadzie kopiuj-wklej, nie było ciach! i jest, nie, on się materializował stopniowo, i to dość długo. Najpierw lekki zarys, potem kolor, potem odrobina wypełnienia, potem więcej i jeszcze więcej. No, tak jakoś dziwnie. Nierealnie.

I to właśnie uzmysłowiło im, że ten facet nie jest czymś fizycznym i naturalnym. Zwyczajnie się przestraszyły. Morderca z tasakiem przeraziłby je mniej, bo byłby czymś normalnym, realnym, choć groźnym. Samuel natomiast był wykwittem... czegoś tam. Stresu? Choroby? Paniki? W każdym razie wydawał im się o wiele bardziej niepokojący. Morderca najwyżej zabije, a takie coś przylepi ci etykietkę wariata i koniec z życiem!

– No, jakiś facet, niezbyt wyraźny. Chyba mi się coś ze wzrokiem porobiło... Czy ten burbon nie był na denaturacie? – Gośka już wszystko sobie poukładała. – Bo nie ślepnę chyba?

– No i jakoś tak... Możliwe, że to niestrawność – dodała Marta.

– A tam, gównu! To przez te wszy! Musiały być zakażone jakąś neurotoksyną. O. Ale ja wam powiem, że jakiś znajomy mi się wydał...

– A, czyli okej, jesteście pierdolnięte! – podsumowała Grażyna uspokojona.

– Właśnie.

– Dobrze choć, że wszystkie.

No tak, takie doświadczenia w pojedynkę przerażają o wiele bardziej.

– Przedstawiam ci upiora w moherze. – Adela wskazała leżącą w sali z obandażowaną głową Rudą Kicię.

Niby nic jej nie było, ale postanowiono ją zatrzymać na jedną noc. Coś tam chcieli sprawdzić, coś tam zobaczyć, o czymś się przekonać, choć sama Kicia najchętniej by ze szpitala uciekła.

– Ruda Kicia? Upiorem? Oszalałaś? – zawołał zniesmaczony. Wcale mu to nie pasowało. – Skąd taki pomysł?!

– Gamajda! Pamiętasz?

– Ty znowu? – zaczął z bardzo obrażonym wyrazem twarzy, ale nie dała mu dokończyć.

– Nie ja, ona! Tylko Kicia używa tego specyficznego słowa, a ono pojawia się prawie we wszystkich tekstach upiora, więc coś w tym może być. Coś w tym musi być! – podkreśliła.

Mroczek rozejrzał się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ruda Kicia? To pani?

– Co ja? Co ja? – burknęła kobieta zbolalym głosem. – Jasne, że Ruda Kicia to ja... Ślepy pan czy co?!

Mroczek westchnął, bo znał ten typ rozmówcy, który potrafi wszystko przekreślić.

– Niech pani nie kombinuje. Czy jest pani upiorem? – zapytał zdecydowanym głosem, żeby się przestraszyła.

Niestety Ruda Kicia do strachliwych nie należała.

– W tym ubranku? Na sto procent – prychnęła.

Rzeczywiście opatrunek i szpitalna piżamka były niezbyt sexy, a bycie sexy to coś, co Kicię – Rudą czy nie, w sumie każdą inną też – bardzo obchodziło.

– Niech pani nie odwraca kota ogonem! Wystarczy przeszukanie i na pewno coś znajdziemy! Jest pani upiorem w moherze! – warknął Mroczek, bardziej jej to oświadczając, niż pytając.

Kobieta się rozśmiała. Był to śmiech bolesny, bo jednak nic tak nie boli jak śmiech przez bandaż.

– Oszaleliście? Ja? Czy ja jestem idiotką? To nie ja, może któryś z moich klientów, ale nie ja. – W ten sposób zabiła ich nadzieje na dowody z przeszukania. – Co wy?! Co, może to słowo jakieś opatentowane jest?!

O klientach Adela naprawdę nie chciała słuchać, no i niestety, Kicia miała rację, słowo „gamajda” opatentowane nie było.

– Jestem pewna, że to pani – przerwała oburzonym głosem, żeby nie pokazać, jaka jest zawiedziona. – A tego detektywa też pani zamordowała?!

– A idźcie wy się paść! – Kicia aż podskoczyła na łóżku, po czym złapała się za głowę. Albo ją zabolęła, albo był to gest teatralno-obronny. – To nie ja! Nie zabiłam go! Może to ta Mariola?

I to rzeczywiście mogła być ona, ale było to rozwiązanie bardzo niewygodne, bo coś się nie zgadzało. Ostatnio ta Mariola była wszędzie, a równocześnie nigdzie jej nie było. No i co ona mogła mieć wspólnego z całą sprawą?

– Przyszła na spotkanie z panią? Ta bibliotekarka?

Ruda Kicia westchnęła afektownie, ale raczej szczerze.

– Nie wiem, bo dostałam w łeb, trochę odpłynęłam, ale możliwe, że tak. W każdym razie to miała być ona, ale czy była?

– A czego chciała?

– Tak powiem szczerze: nic nie powiem. To nie są wasze sprawy. Nic z tego nie jest wam potrzebne, nic nie jest karalne, nic nie wymaga płacenia podatków, więc tyle. Ale w sumie podejrzewam, że to mogła nie być ona.

– Chodzi o ten atak? – Mroczek choć to chciał uściślić.

– Chodzi o wszystko. To mogła nie być ta osoba, bo nie wiem, po co by się miała ze mną umawiać. Powiedziała, że nazywa się Mariola Kołłątaj, ale czy to była ona? Każdy mógł się tak przedstawić.

– Nie poznała pani po głosie?

– A jak niby miałabym poznać? Nie wiem, czy kiedykolwiek z nią rozmawiałam, a przez telefon i tak trudno mieć pewność.

No tak, Ruda Kicia nie była namiętną czytelniczką, do biblioteki raczej nie chodziła. Nie dlatego zresztą, że była głupia czy nedorobiona, była zarobiona, klientów przyjmowała na okrągło. Po prostu nie miała czasu na przyjemności.

Doskonale nadawała się na klasyczną żonę. Seksu nie uważała za przyjemność, gdyby mogła, unikałaby go jak ognia, no ale cóż, praca to praca. Z czegoś musiała żyć. Choć wołałaby z kogoś.

* * *

Grażyna i jej koleżanki zmaltretowane wyszły jednak na dwór, bo było tam jakoś głośno. Chciały się przekonać, o co właściwie chodzi. Dotarły już do nich pierwsze relacje podane przez okno, ale wołały na własne oczy się przekonać, co się dzieje.

Najpierw wpadły na Gabi i Marcina.

Pozbawieni opiekuńczych skrzydeł Adeli, która pojechała z przełożonym do szpitala, nie wiedzieli, co mają zrobić. Wiedzieli za to, co chcieliby zrobić, ale jakoś nie byli pewni.

– Ta skrzynka na listy...

– Co z nią? – zapytała Grażyna nawet dość zaczepnie.

– Spaliłyście ją?

– Chyba? Zaraz zapytam. – Odwróciła się do idących za nią Gośki i Marty. – Koszmarka spaliłyśmy?

– No jasne. Jeżeli chodzi o tę skrzynkę w kształcie żaby, to tak, spaliłyśmy też trochę innych, ale...

– Nie, nie, mówię właśnie o tej skrzynce – przerwała Gabi.

– No, to tak.

– A zanim ją spaliłyście, zajrzałyście do środka?

Grażyna popatrzyła na koleżanki i zrobiła minę wyrażającą całkowitą niewiedzę połączoną z całkowitą obojętnością.

– Nie, a po co?

– Czyli nie wiecie, czy coś tam było?

– Nie, nie wiemy, ale nie było – oznajmiła zmęczonym głosem – nigdy nic w niej nie było! Listonosz się jej bał, bo raz mu rękę przytrzasnęła. Twierdził, że go ugryzła.

– No, ale gdyby ktoś inny coś tam... no, powiedzmy, schował... – ciągnęła Gabi ostrożnie, żeby za dużo nie powiedzieć.

– Nikt nigdy niczego tam nie zostawiał, ale gdyby, to mu to istotnie szlag płomienny trafił.

Bibliotekarze jęknęli z zawodu i ze zniechęcenia.

Odeszli w stronę drogi i zdjęli z siebie maseczki oraz rękawice, które nie były potrzebne, ale jakby o nich w ferworze zapomnieli.

Marcin zadzwonił do Adeli.

* * *

– Mam jeszcze jedno pytanie – westchnął ciężko Mroczek, który nie chciał wyjść ze szpitala zupełnie bez informacji. – Jak pani sądzi, pominiawszy wiedzę czy cokolwiek, kto i dlaczego chciał panią zabić?

– A chciał?

– No, raczej trudno to nazwać inaczej.

– A bo ja wiem? Jakiś chłop, klient? Niby zawsze się staram, bo szanuję swoją pracę, ale różnie to bywa. Wychodzi zadowolony, a chwilę potem ma żal o wszystko, nawet o wysypkę, więc różnie może być. No i tyle bab w miasteczku ma do mnie pretensje...

Ludzie prostytutek nie lubią, ale co ciekawe, te wcale na brak pracy nie narzekają. Wygląda to trochę jak społeczne rozdwojenie jaźni, wszyscy narzekają i wszyscy korzystają. Narzekają, żeby nie było widać, że korzystają, a korzystają, żeby nie narzekać na pieskie życie.

– Coś pani wie, to jest pewne, ale nie chce pani powiedzieć. Niech pani...

– Pan się po prostu odczepi. To nie miało nic wspólnego z nikim i niczym! To było całkowicie prywatne, z mojego życia. I może ktoś mnie walnął, ale na pewno nie z tego powodu, który was interesuje. Przypadkiem? Poza tym ona nie mogła nic wiedzieć. To musiało być coś innego.

– Ale co to za tajemnice? – zapytał Mroczek.

Interlokutorka zmroziła go wzrokiem.

No tak, Ruda Kicia wykonywała zawód, który poniekąd skłaniał do zwierzeń, i gdyby zaczęła mówić, tsunami plotek, które zalałyby miasto, byłoby ledwie jedną setną rzeczywistych kłopotów. Ludzie lubią niekiedy opowiadać o sobie i nie tylko o sobie innym ludziom. Rudym, białym i łaciatym Kiciom w szczególności.

Aspirant nie liczył już, że czegoś się dowie. W tym momencie zadzwonił telefon Adeli, co jeszcze bardziej zakłóciło komunikację.

– Naprawdę? – odezwała się jego podwładna. – Pisarki spaliły tę żabę! O, szlag!

– Żywcem? – zapytał Mroczek zaciekawiony konwersacją słyszaną tylko z jednej strony. Był człowiekiem wrażliwym na dobro zwierząt, nawet tych najmniej nadających się do głaskania.

– No, to mamy przechlapane – dodała.

– Żywcem? – powtórzył ostrym tonem Mroczek. – Spaliły zwierzaka żywcem? Pisarki?

– Nie, to była taka żaba na listy, drewniana.

– A, całe szczęście. Teraz to chyba modne, Kopydło miał u siebie taką drewnianą żabę w kształcie zegara. To znaczy odwrotnie: zegar w kształcie żaby.

– Miał? – zapytała zaintrygowana Adela.

– No miał, teraz żaba leży w dowodach.

– Szefie! Musimy natychmiast wracać na posterunek! Tam może coś być!

– Mam nadzieję, że tam coś jest. Chyba nas nie okradli. – Skrzywił się, bo ton Adeli wcale mu się nie spodobał.

* * *

Nazajutrz rano Adela, Gabi i Marcin spotkali się we troje, co stało się jakby tradycją. Nietradycyjny był natomiast fakt, że spotkali się pod posterunkiem, bo bardzo chcieli się dowiedzieć, co policjantka znalazła.

Wyszła do nich zupełnie załamana.

– Znalazłaś?

– O co pytasz?

– No, o coś w żabie.

– A, to tak, jasne. Znalazłam! – odpowiedziała bez entuzjazmu.

Wcale ich to nie ucieszyło.

– I co to było?

– Nie uwierzycie. Paragon! Stary, pieprzony paragon.

– I tylko tyle?

– Tak, niestety.

– Ale na co to był paragon?

– Skąd mogę wiedzieć? – warknęła. – One blakną!

No tak. Każdy wie, że po jakimś czasie paragony złośliwie blakną. Gdy są niepotrzebne, zajmuje im to nawet kilka lat, a jeśli są potrzebne, na przykład do reklamacji, potrafią zblaknąć w tydzień.

Karteluszek był pusty.

Znalezisko zawiodło Adelę do tego stopnia, że o mało się nie popłakała. Mroczek za to wydawał się zadowolony. Nic tak nie cieszy wrednego przełożonego jak możliwość utarcia nosa zbyt ambitnej podwładnej.

Nie, Mroczek nie był wredny, ale jak każdy bał się o swoją posadę, a poza tym chciał sam rozwiązać sprawę tego morderstwa. Może

dlatego, że było takie dziwne, takie wręcz książkowe, takie inne? Nie było tym, z czym spotykał się zawsze.

To nie była ani pijacka awantura ze skutkiem śmiertelnym, ani domowa bijatyka z nożem w brzuchu, ani szarpanina bab na bazarze. To było coś elegantszego, o ile istnieją eleganckie zbrodnie – a podobno istnieją, takie w koronkach, pośród stosów kawioru, srebrnych łyżeczek i wytwornych trunków.

Tu nie było koronek ani kawioru, ale i tak to było coś.

No i Kicia w tym wszystkim, upiór i burmistrz – śledztwo zataczało bardzo szerokie kręgi. Kicia miała we władaniu całe miasto, burmistrz politykę, pisarze kulturę wyższą. Upiór trochę nie pasował, ale upiór to upiór, trzeba go było znosić.

Nagle Mroczek zdał sobie sprawę, że ich internetowy dręczyciel jakby ostatnio zamilkł.

Policjant zaczął grzebać w internecie.

– Szefie – wpadł do niego posterunkowy z jakąś kopertą w folii – bo szef się tym interesował, ale to wypadło i ja to odłożyłem. Może szef to weźmie teraz?

– Nie przeszkadzaj! – warknął Mroczek. – Ja pracuję.

– To co mam z tym zrobić?

– Odłóż tam, skąd wzięłeś – burknął, ale po chwili jego twarz się rozjaśniła. Wpadł na pomysł, jak odrobinę dowalić podwładnej, która dosłownie za chwilę kończyła pracę i już chyba nawet wyszła z budynku. – Albo nie, daj to Adeli, niech się tym zajmie. Niezwłocznie.

Posterunkowy wyjrzał przez okno.

– Adela, zaczekaj! – zawołał, czym wzbudził wściekłość koleżanki. No ale dopadł ją, nie mogła nie zareagować ani się wymigać.

Po chwili wybiegł przed budynek i wręczył jej złożoną na cztery, dużą kopertę.

– O Jezu... – jęknęła Adela, spodziewając się dodatkowej pracy. – Co to jest? – zapytała niechętnie.

– No, więc słuchaj, to było w tej sowie, co wiesz, znaleźliśmy ją w pokoju hotelowym u tego denata, ale wypadło, jak nieśliśmy, a wyście czegoś szukali w tym zegarze... Zrobiłem ksero i Mroczek kazał ci to dać.

W Adelę wstąpiła wielka nadzieja.

– A to, to. No, nie wiem, to musi być jakiś śmieć – westchnęła, wkładając kopertę w folii do kieszeni, jakby naprawdę była śmieciem, a nie czymś szalenie ważnym.

Przez chwilę patrzyła, jak kolega wraca do komendy i zamyka za sobą drzwi wejściowe. Kiedy trzasnęły, zawołała podekscytowanym szeptem:

– Znikamy! Marcin, idziemy do ciebie, bo jak znam życie, Mroczek w końcu się połapie, co mi dał.

* * *

Daniel, już nieco obrośnięty i trochę zdrowszy, siedział w fotelu i pozwalał się obsługiwać.

– Nie no, mam, nie zjem gołąbków, są wstrętne! I nie, jajecznica też odpada.

– Kanapeczki?

– Ale z czym? – zapytał z nadzieją w głosie.

Kanapeczki to bowiem coś zupełnie innego niż zwyczajne kanapki, kanapeczki są wieloskładnikowe, kiedyś, kiedy jeszcze to nie było zakazane, nauczyciele pilnujący uczniów na maturach takie właśnie dostawali. Czegóż na nich nie było! Pasty serowe i jajeczne, ogóreczki, wówczas prawie nieosiągalne rzodkiewkowe nowalijki, szyneczki, sery żółte, białe, a nawet w kropki... W każdym razie były to kanapkowe minicadillaki w kulinarnym świecie luksusu.

Matka jednak po prostu użyła nielegalnego zdrobnienia na określenie zwykłych kanapek.

– No, mam dobry salceson, taki jak lubisz! Ozorkowy.

Marlena nieświadomiona, jakie były jego ostatnie przeżycia z salcesonem, bo syn przecież jej się nie pochwalił, że został zaatakowany tym frykasem, zdziwiła się, kiedy Daniel wrzasnął i złapał się za głowę.

* * *

Zanim jeszcze dotarli do domu Marcina, postanowili zajrzeć do pisarek, choć papier w kieszeni spodni Adeli palił i ją, i ich do żywego szaloną ciekawością. Niestety stanowił dowód w sprawie, a więc nie mogli go oglądać byle jak, w byle jakim miejscu, ot tak, na drodze. Potrzebowali choć stołu, a wyprawa do pisarek była tylko aktem poświęcenia. Adela stwierdziła, że po poprzedniej nocy i wszystkich tych wariactwach powinna po prostu zajrzeć i zobaczyć, co się u nich dzieje.

Kiedy więc znaleźli się u Grażyny, ze zdziwieniem stwierdzili, że wszystkie trzy, w sumie dość ekstrawaganckie kobiety siedzą przy stole i piją koktajl z jarmużu.

Pisarki były bladozielone, koktajl brunatny. Należał do tych mniej medialnych, wyglądał jak skisłe błoto, pachniał jak bagno i co wyraźnie było widać, wywoływał odruchy wymiotne.

A jednak piły go z przerażającym samozaparciem.

Nie każdy lubi takie napoje, a nawet ci najwytrwalsi potrzebują odrobiny wprawy i czasu, żeby przygotować się na smak i zapach tego specyfiku.

– O, widzę, że odtruwacie się bardzo intensywnie – zagadnęła Adela.

– Ja bardzo. Już trzeci piję – jęknęła Marta. – Nie wiem, ile mi z niego w środku zostało, ale piję, rzygam i znów piję. Może to coś da.

– Ale skąd takie samozaparcie? – zapytała policjantka zdziwiona, bo nie należała do kobiet, które uważają, że uroda wymaga poświęceń. Sądziła, że albo się ją ma, albo nie. Nie tolerowała żadnych krzaków na powiekach, żadnych wkładek w cyckach, no i bagna w jelitach. – Nie dałabym rady – dodała, kręcąc głową.

- A myślisz, że my dajemy? Rzygamy jak koty! – burknęła Grażyna.
- To po co?
- No musimy się odtruć, takie coś nam się porobiło, że musimy.

W tym momencie przed oczami wszystkich, choć niejednakowo intensywnie czy też niejednakowo dosłownie pojawił się Samuel.

Adela nie widziała go wcale – jej umysł, ścisły i zdecydowanie przyziemnie nastawiony do rzeczywistości, po prostu go nie rejestrował. Gabi i Marcin byli przyzwyczajeni do tego dziwnego widoku, więc wpatrywali się w zjawę bez mrugnięcia okiem, choć jego stopniowe, nieco „duchowate” pojawienie się robiło spore wrażenie.

Pisarki wrzasnęły. Wszystkie trzy naraz wrzasnęły i pobiegły do kuchni pakować do blendera kolejne wiązki jarmużu.

Adela ruszyła za nimi. Instykt policjantki zadziałał jak należy – jeżeli ktoś biegnie i krzyczy, to znaczy, że ucieka, a jak ucieka, to musiał zrobić coś nielegalnego albo groźnego. A poza tym czy to był jarmuż, czy może marihuana?

- Co ty wyprawiasz, debilu? – sapnęła Gabi do Samuela, udając, gdyby ktoś usłyszał, że mówi do Marcina.

- Straszę te wariatki – powiedział bohater literacki z zadowoleniem.
- Dlaczego?

- A dlaczego nie? – przekomarzał się. – No dobra, nie o to mi chodzi. Chodzi mi o mordobicie. Chcę, żeby coś się stało.

- Zwariowałaś?

- Nie. Mam plan! Daniel mieszka obok, jak je dobrze przestraszę, to zwariują i może zrobią mu awanturę, on im przywali i trafi do więzienia. Choć tyle mogę dla siebie zrobić.

- To tak nie działa. Powoła się na obronę konieczną i to one trafią do więzienia, a nie on. Powinieneś jemu się ukazać.

- Nie wiem jak, jemu nie daję rady. To trochę taki kmiot, nie widzi mnie. – Wzruszył ramionami. – Czekajcie, idę do kuchni – powiedział i zniknął.

Kuchnie nie są specjalnie literackie, ale rozedrgane i przerażone umysły trzech pisarek, kobiet ze wszech miar uduchowionych i wczorajszych (kac tu bardzo pomagał), dawały Samuelowi wspianałe pole do popisu.

Zmaterializował się w kącie. Mógł oczywiście zwyczajnie przejść, ale wolał być bardziej spektakularny. Następnie włożył rękę do włączonego blendera.

Grażyna zemdląła.

Na ścianach nie pojawiła się krew, ale wrzask był potworny.

Potem Samuel włączył do piekarnika. Ten nie był włączony, więc nie byłoby w tym w sumie nic strasznego, gdyby nie to, że wystawił głowę przez uchylone drzwiczki. Wyglądała jak na półmisku. Zrobił zęza i wywalił język. Teraz zemdląła Marta. Gośka wydała z siebie taki pisk, że Adela aż walnęła ją w łeb.

– Co wy wyprawiacie? Zwariowałyście? – zapytała nie bez zaciekawienia.

– Tak! – wrzasnęły wszystkie trzy i rzuciły się do ucieczki do salonu.

– Ale co „tak”? – nie zrozumiała.

– Zwariowałyśmy! – odkrzyknęła Gośka jeszcze z kuchni.

Po chwili fala krzyku przeleciała przez przedpokój i dotarła do salonu, a wraz z nią, a może i za nią dotarły tam spanikowane pisarki.

W salonie też niestety czekała na nie zjawą.

Adela nie rozumiała, o co chodzi.

Samuel stał koło okna.

– Teraz to ja mogę robić nawet za ducha pasterskiego. Poważnie. Patrzcie!

Gabi i Marcin nie odpowiedzieli, choć bardzo chcieli. Niestety była tam Adela.

W jej oczach wszystko to wyglądało dość paskudnie. Pisarki zbite w spanikowaną kupkę, jak nie przymierzając albo właśnie

przymierzając owce, najpierw z wrzaskiem pobiegły do kąta, potem z tym samym, choć wielokrotnie powtórzonym wrzaskiem wybiegły z kąta i uciekły na korytarz, potem do kuchni i z kuchni, w końcu, wciąż z wrzaskiem, wypadły na dwór.

Tu było nieco spokojniej, bo Samuel nie mógł im towarzyszyć.

- Co się dzieje? - zapytała Adela.

- Nic! - krzyknęły wszystkie i poprawiając ubrania, usiadły na tarasie.

- Ale powiedzcie, o co chodzi! Dlaczego zachowujecie się jak jakieś wariatki?

- O nic nie chodzi. Przedawkowałyśmy alkohol, stres, wszystko! Po prostu nam odbiło! Teraz musimy wrócić do normy i napić się tego gówna z jarmużu. W sieci pisali, że to pomaga.

- I będziemy musiały żyć bardzo, bardzo spokojnie - powiedziała Grażyna. - Żadnych promocji, żadnych morderstw... Zero wszystkiego. Ja to chyba śluby czystości złożę.

- A co do tego ma seks? - zdziwiła się Adela.

- Przecież nie mówię o seksie.

- No a śluby czystości?

- One nie dotyczą seksu!

- Tylko czego?

- Oj tam. Intencji.

- Jakich znowu intencji, na litość boską?

- No, bo gadasz z koleżanką, co ona tam teraz pisze, ona odpowiada, że ma scenę kulinarną z piekarnikiem i seks na cmentarzu, a ty myk, podpieprzasz jej concept i masz scenę kulinarną na cmentarzu oraz seks w piekarniku, ona nie może się awanturować, bo to nie to samo, ale to jest to samo. No i tak...

- To znaczy że co? Pisarze kradną sobie pomysły?

- No, a jak?! A co to, pisarz nie człowiek? Wszyscy kradną, czasami scenę, czasami dialog, czasami pomysł. Są i tacy, co całe książki sobie

przywłaszczają. Ktoś napisze, ktoś podpieprzy, wyda pod własnym nazwiskiem i nic już się nie da zrobić, poważnie.

– No ale... – Adela naraz skamieniała. – Matecka!

– Co Matecka? Znowu przyłazła czy kradnie?! – wkurzyła się Grażyna. – Gdzie ona znowu lezie? Nie mam już do niej siły.

Adela pomyślała, że Matecka też w sumie kradnie... internet. Co się z tym światem porobiło! Nawet takie babuleńki nie stronią od przestępczości. Kiedyś człowiek miał jasność, patrzył, podpuchnięty, wytatuowany – wyraźnie element przestępczy. A teraz? Spuchnięte usta, wytatuowana... Celebrytka! I jak tu się do tego odnieść?

– Nie, to my musimy tam iść! Do niej. Było coś, co mnie zaciękało, kiedy z nią ostatnio rozmawiałam, ale nie byłam pewna, o co chodzi. Gabi, Marcin. Spadamy! – rozkazała.

Znów nie było możliwości powrotu do Marcina i obejrzenia papieru z zegara.

* * *

– To tak jakby miało sens – oświadczyła Matecka. – Coś sprawdzał, jak mówił, porównywał dwa pierwsze tomy serii o jakimś Samuelu Kaszaku z innymi książkami Daniela i wychodziło mu, że się nie zgadza.

– Ale co dokładnie mu się nie zgadzało?

– Tego to nie wiem, bo mnie to akurat nie interesowało. Coś mówił, że... Nie pamiętam, ale chodziło o tego faceta, co go w piecu znaleźli.

Taki rozrzut tematyczny bardzo się Adeli nie spodobał.

– A co on miał do tego?

– Nic, umarł. W piecu, ale samodzielnie. Znaczy nie został zabity, ale było dużo spekulacji swego czasu. – Matecka wzruszyła ramionami.

– Ale jakich? – zapytała Adela.

– Jak to jakich? – tym razem odezwała się Gabi. – Nie pamiętam dokładnie, ale to był mój wujek. Wiem, że trochę to wszystkich

zaskoczyło. Wujek był w rodzinie kimś ważnym, dzięki niemu poszłam na polonistykę, dużo czytał.

– I pisał – powiedziała Matecka.

– No, chyba rzeczywiście coś pisał – dopowiedziała Gabi.

– Wiem, bo mi przynosił fragmenty do oceny, ale ja nie miałam czasu, więc odesłałam go do jakiejś polonistki. Niestety zaraz potem zmarł.

– I on był palaczem? U nas? – upewniła się Adela.

– Nie był palaczem, durne pismaki to wymyśliły – odparła Gabi. – Pytałam mamy, bo sama to niewiele wiedziałam. Był inżynierem, naprawiał stary piec, taki trochę zabytkowy.

– W szkole?

– W szkole, bo go narzeczona prosiła.

– Adachowa była jego narzeczoną?

– Nie, no coś ty?! Zwariowałaś? Nie ona, jej siostra! Mariola Kollątaj, nasza dyrektorka. A ty myślisz, że jakim cudem dostałam ten etat w bibliotece tak od ręki? Ona mi go załatwiła, po starej... a może dawnej znajomości. Choć może nie, może po sentymencie...

– Zaraz! – wrzasnęła Adela. – Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?!

– A czego?

– Przecież cała ta sprawa łączy się z zabójstwem!

– Gównno się łączy i gównem pogania, a nie z zabójstwem. Wujek nie żyje, nie mógł zabić Kopydły.

– Ty mogłaś.

– Bo?

– Z zemsty?

– Nawet za bardzo go nie znałam, gadałam z nim kilka razy, tyle. Nie, nie mogłam, ale...

– Ale jego narzeczona mogła!

– Zaraz, o co nam teraz chodzi, bo błądzimy od tematu do tematu jak jakieś świry. Co wiemy? Może byśmy... – Marcin nie wiedział, co powiedzieć, ale wcale nie dyskretnie pokazał ręką kieszeń Adeli.

Matecka była zdecydowanie inteligentna.

– Nie tutaj! – warknęła policjantka.

– A co wam szkodzi? – burknęła kobieta. – Widzę, że macie jakieś papiery. Wiem, że są cenne, ale wiem też, że sami sobie nie poradzicie.

– Umieemy czytać! – nastroszyła się Adela.

– Jasne, składanie liter wcale nie jest takie trudne, ale to nie zawsze wystarczy, a ja, o ile zauważyliście, mam nad wami sporą przewagę wieku!

– Przewagę? – zdziwiła się Adela.

Dotychczas uważała, że młode jest lepsze, jak zresztą sądzi też cały obecny świat, który ludzi w pewnym wieku wypędza na margines życia i udaje, że albo ich nie ma, albo są do niczego niepotrzebni. Reklamy tylko dla młodych, kultura tylko dla młodych, muzyka tylko dla młodych, a dla starych tylko suplementy diety, choć ostatnio środki na przeczyszczenie zaczęli reklamować młodzi aktorzy. Ich przyszłość zawodowa zawisała na włosku, bo nikt nie pozwolił, żeby Hamlet miał minę faceta z zatwardzeniem, a jeszcze gorzej – tuż po nim.

Żegnaj, wspaniały świecie.

– Oczywiście, że przewagę. Wiem o wiele więcej, pamiętam o wiele więcej, a i rozumiem wiele z tego, co dla was jest czarną magią.

– Ta, jasne. Chryzantemy złociste i te rzeczy? – Adela się wściekła. Zazwyczaj była grzeczna, teraz miotała się między pokusą pokazania papierów Mateckiej a chęcią, by wyjść i obejrzeć je bez udziału tej baby.

Matecka poczuła się dotknięta do żywego.

– Chryzantemy to ty sobie w dupę wsadź! – warknęła. – I dawaj to, przecież wiem, że chcesz.

O mało nie zepsuła wszystkiego, ale wiedziała, jak zadziałać. Postawiła na stole nalewkę i ciasto bezowe własnej roboty.

Adela też mogła napić się nalewki, bo już była po służbie, ale ciasto i tak kusilo ją najbardziej. Była po prostu głodna, a należała do osób, które mogą zjeść tonę słodczy, a i tak nie będą syte, swój głód zaspokajała na słono, ale przecież nie mogła poprosić o kanapki.

Zrezygnowana wyciągnęła papier. Było to ksero ksera ksera, więc nie obawiała się, że zniszczy dowód, ale i tak...

Popatrzyli na wygładzony dłonią karteluszek w formacie A4, ale zapisany nieco tylko w środku.

– To oficjalny dokument?

– Nie, prywatny odpis, ktoś po prostu spisał czyjeś dane.

– Tylko czyje?

Problem polegał na tym, że nie było widać.

– Co to za imię?

Popatrzyli na rozmazaną smugę jakiegoś zamaszystego maziaja.

– Wygląda jak Beata.

– Nie, to jest Renata.

– Znamy jakąś Renatę?

Podejrzewali, że kiedyś było to czytelne, ale teraz nie bardzo. Czyli że Kopydło dostał to albo sam spisał od kogoś, a nie z urzędu. Logiczne – urzędy nie wydają dokumentów komu popadnie. Czyli na coś trafił. Problem w tym, że był detektywem, nie wiadomo, jakiej sprawy to dotyczyło, czy Renata z odpisu była tutejszą Renatą czy jakąś warszawianką z zupełnie innego śledztwa... Można by powiedzieć, że zegar był tutaj, papier też, więc sugerowało to jednak tutejsze tajemnice, ale zegar Kopydło mógł zabierać wszędzie, a papier mógł tam tkwić od lat albo przynajmniej od miesiący.

– Ja znam – burknęła Matecka.

– Nie ma chyba na świecie osoby, która nie zna żadnej Renaty, no chyba że jakaś Chinka, Koreanka albo Japończyk, choć i tu trudno mieć pewność. Renaty są częste, znane i nawet lubiane, choć już się tego imienia nie nadaje tak często jak kiedyś.

– Ruda Kicia ma na imię Renata – dodała po chwili Matecka.

– I co ona ma do tego?

– A bo ja wiem? – Matecka nie wyglądała na osobę, która ma gotową odpowiedź na wszystko, gorzej, wyglądała na taką, co nawet gdyby miała, to i tak nikomu by jej nie udzieliła od razu.

Wszyscy wczytywali się w plamy. To musiało być ważne, skoro Kopydło trzymał ten papier w skrytce w zegarze.

– Akt urodzenia? – zapytała Gabi pomna rozmowy z Samuelem.

– Rudej Kici?

– Nie, ona tu jest chyba w miejscu... Jakby matka? Czy Ruda Kicia ma dzieci?

– I co to ma wspólnego z Danielem, książką, facetem z pieca? No? Ma coś?

– A cholera wie, choć czy ja wiem...

– No...

– Tu właśnie dochodzimy do pewnej przewagi, jaką daje starszy wiek – odezwała się znowu Matecka.

– Niech pani nie świruje!

– Nie świruję, ale pamiętam, że był taki czas...

– *Był taki czas, kiedy oczom zabrakło łez...* – zaintonował Marcin, po czym dostał kapiem w twarz.

– No, co?! – zdenerwowała się Adela.

– No nic, chodzi o to, że... Ruda Kicia kiedyś prawie przez pół roku nie pracowała i chodziły ploty, że jest w ciąży.

– A była?

– Jej pytaj! Tyle że nie odpowie. Jak ktoś chce utrzymać coś w tajemnicy... Ale dziecko mogło istnieć. O kurczę! Jeżeli o to chodzi, to ona mogła zabić!

– Bo?

– Bo coś było nie tak z tym dzieckiem?

– Zabiła je? – Adela natychmiast podeszła do sprawy policyjnie.

– A tam, zaraz zabiła, nie musiała, mogła je sprzedać, oddać, czy ja wiem... do adopcji?

– I co to za problem?

– Niby żaden, ale jeżeli dziecko nie wiedziało, że jest adoptowane, to już spory wstrząs, a jeśli nagle pozna prawdę o swoim pochodzeniu, a do tego nie było przygotowane na zawód matki... ogromny szok. Mało kto ucieszyłby się z wiadomości, że jego matka to prostytutka, a ojciec nieznan.

– Bo nieznan?

– A znany? Tu zawsze jest możliwość, że nawet matka nie wie, kto i kiedy zostawił jej taką niespodziankę, choć może też wiedzieć – westchnęła Matecka. – W końcu prostytutki nie żyją samą pracą, życie prywatne też miewają, nawet jeśli bywa podobne do zawodowego.

– Tyle że niejednemu psu Burek, może istnieją jeszcze inne Renaty.

Nawet w Tęczowie istniały, to prawda – imię może było nie najmodniejsze i nie najmłodsze, ale dość jeszcze popularne.

– I po co on to trzymał, skoro z tego gówna da się wyczytać?

– Bo on nie musiał tego czytać. On wiedział! – odpowiedziała Matecka.

Byli zawiedzeni. Straszliwie. Im dłużej czeka się na niespodziankę, tym więcej się od niej oczekuje, bo nadzieja miota raz w tę, raz w inną stronę. Najwyraźniej ta za długo przebywała w kieszeni Adeli.

– Może to kwestia kserokopiarki? – zapytała Gabi.

– Nie, no coś ty, mamy dobry sprzęt. Poprosiłam już szefa, żeby sprawdził.

– Dobra, nawet jeżeli – Gabi zastanowiła się przez chwilę – mamy matkę, to nic nie daje. Sam fakt, że była w ciąży, gdyby to była, powiedzmy, ona, nikogo nie powinien aż tak ciekawić, gdyby nie była, tym bardziej. Moim zdaniem ważniejsze jest dziecko. Tyle że zamiast imienia mamy kleks. No, może nie kleks, a smugę. Zresztą imię można

zmienić po adopcji, wszystko można zmienić, ale nie datę i miejsce urodzenia.

– Datę mamy tylko częściową, szesnasty lutego...

– Zaraz! – Adela aż jęknęła. – W jego papierach coś było, coś o Samuelu i Danielu. – Po chwili już wiedziała, bo wygrzebała z pamięci telefonu. – Patrzcie! *16 lutego, Daniel i Samuel.*

– Ale co to jest?

– Data? – Policjantka nie wiedziała nic więcej.

– To imieniny! – odburknęła Gabi.

– No, ale jest też coś o Danielu. Czy to dziecko to może być Daniel? – zainteresował się Marcin.

– Ojoj – westchnęła Adela. – Kicia coś mówiła o Adachowej, że ona nie miała męża i go sobie wymyśliła. e?

* * *

– Porozmawiamy? – rzuciła z westchnieniem. – Musisz mi wyjaśnić pewne sprawy – dodała.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby tego dnia zdarzył się tylko jeden taki telefon, ale nie, chwilę potem inna osoba, dzwoniąca z innego numeru, innym głosem powiedziała dokładnie to samo.

– Porozmawiamy? – rzuciła z westchnieniem. – Musisz mi wyjaśnić pewne sprawy – dodała.

Jak można uznać to za przypadek? Nie można, a jednak to nie mogło być nic innego.

No, ale to jeszcze dałoby się zrozumieć, gdyby nie kolejny telefon. Ten nie był już idealnie taki sam, ale podobny.

– Musimy porozmawiać – rzuciła trzecia osoba z westchnieniem. – Musisz mi wyjaśnić pewne sprawy! – dodała ostro.

Czyli co najmniej trzy osoby zażądają wyjaśnień. Hmmmm. Ciekawe, co uzyskają.

Osoba, która odbierała te telefony, nie była jedyną, która je słyszała.

Telefony innych ludzi da się podsłuchiwać i wcale nie trzeba mieć do tego specjalistycznych sprzętów. Ludzie sami to ułatwiają, przede wszystkim wrzeszcząc do telefonu, jakby nie wierzyli w możliwości zasięgu komórkowego.

Nie ma oczywiście sposobu na podsłuchanie drugiej strony, chociaż...?

– Słucham? Co? Musimy co? A, porozmawiać! Tak, musimy porozmawiać – rzuciła z westchnieniem. – Musisz mi wyjaśnić pewne sprawy? A jakie znów sprawy będziesz mi wyjaśniać? A, nie ty? Ja... No tak. Ja?! Ja mam ci wyjaśnić, ale jakie sprawy? O czym ty gadasz?!

Przy tak przeprowadzonej rozmowie podsłuchy nie są konieczne.

* * *

Był już wieczór, kiedy otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Nie czuła się zbyt dobrze, nie tyle fizycznie, co psychicznie, ale tak czy tak, porozmawiać z kimś musiała.

W końcu się zdecydowała i zadzwoniła.

Miała się spotkać z kimś, kto kiedyś ją okłamał, a teraz postanowił zabić, ale ona tego nie wiedziała. Zresztą o kłamstwie też nic nie wiedziała. Choć tak jakby trochę to do niej ostatnio dotarło.

Kłamstwa prędzej czy później wychodzą na jaw, może nie całkowicie, ale wychodzą.

Oczywiście, że się tego nie spodziewała. Układ był logiczny i trwał od lat.

Nikt nie musiał jej zabijać, bo to nie miało sensu. Po co? Jak, dlaczego? A nawet gdyby ją ostrzeżono, toby po prostu nie uwierzyła.

– Porozmawiamy? – rzuciła z westchnieniem. – Musisz mi wyjaśnić pewne sprawy – dodała.

Pewne rzeczy ludziom po prostu nie przychodzą do głowy. Owszem, kiedyś coś było, ale przecież to dawne dzieje.

Nie wierzyła, że zabijanie kogokolwiek może coś dać. Przecież taka śmierć nie zamyka tematu, nawet naturalna, a co dopiero taka raczej

gwałtowna.

Zresztą większość ludzi nie nadaje się na morderców. Istnieje pogląd, że nawet najspokojniejszego człowieka da się sprowokować i doprowadzić do tego, że kogoś zabije. Możliwe, ale to taki w sumie amok, a prawdziwy morderca wie co, jak, gdzie i dlaczego. Oraz w jakiej kolejności.

Plany to ważna rzecz, a jeżeli ktoś notorycznie gubi klucze i biustonosze, zapodziewa karty kredytowe, a zapamiętanie numeru buta to dla niego kłopot, nawet jeżeli to jego własny but, na skutecznego mordercę się nie nadaje. Przy założeniu, że skuteczny to nie taki, który zabija skutecznie (co jest raczej proste), ale taki, który potem nie trafia do więzienia.

Ten się nadawał i nawet miał plan, o którym kobieta nic nie wiedziała. Skąd mogła wiedzieć? Mordercy, nawet jeżeli planują, to tego nie ogłaszają. Zresztą wszystko było naprawdę nie tak.

Nie czuła się zagrożona.

* * *

Nalewka była naprawdę dobra. Była też mocna i moczopędna.

* * *

Adela czuła się dziwnie. Nalewka była naprawdę mocna i moczopędna, ale co gorsza, Matecka w łazience trzymała książki.

To było masakryczne.

Pewnie dlatego Marcin i Gabi, choć każde oddzielnie, spędzali tam sporo czasu.

* * *

– Wynocha! – wrzasnęła Gabi do Samuela, który z zadowoleniem usadowił się na bidecie i czekał na kogoś, z kim mógłby porozmawiać.

– Ale weź... – Samuel zmarkotniał. – Powiedz, o co chodzi.

– O co z czym chodzi?

- Z tymi tekstami, wiesz, co były do sprawdzenia. Takie sprawy interesują mnie najbardziej! Przecież to moje życie, jak by nie było!

- Nie wiem, dopytam, ale teraz won mi stąd, sikam! Nie lubię robić tego w towarzystwie!

* * *

Upiór był ostatnio nieaktywny. Całościowo jakoś. Nie mącił, nie mieszał, nie pluł jadem i to go martwiło. Jego samego martwiło, bo jad go zatruwał, musiał więc coś z nim zrobić.

Z drugiej strony nic istotnego do niego nie dotarło, więc nie wiedział, w jaki ton uderzyć.

Aasakra, zobaczycie, odbędzie się masakra! – napisał na portalu miejskim, potem zmienił Aasakrę na Masakrę. I dopisał coś, co wszystkich zmroziło.

Masakra, zobaczycie, odbędzie się masakra, burmistrz morderca uderzy jeszcze raz. Nigdy nie będzie spokoju! Nigdy, krwawe szczątki będą walać się po trawie. Bebechy i wątroby! Spadną na dach spalonej szopy i wychodka, krew burmistrza popłami ściany i sufity.

Nigdy już nie będzie taki sam, a morderczyni zarazi wszystko i wszystkich! Zabiją burmistrza! Oni! One! Zabije!

Ratujcie życie ludzkie!

To wasz obowiązek!

* * *

Następnym odwiedzającym w kibelkowo-bibliotecznym zakątku był Marcin, który ostrzeżony przez Gabi był na Samuela przygotowany.

- Wynocha! – wrzasnął, widząc Samuela, znienawidzoną w tym momencie postać literacką, która z uśmiechem usadowiła się na bidecie i czekała na kolejnych gości.

- No co ty! Jesteś wybrańcem, nie możesz zaprzepaścić tego daru! Jako jedyny prawie na tej ziemi jesteś w stanie widzieć takie rzeczy, a je odrzucasz? Przecież to moc, talent, wspaniałość!

- Co ty pieprzysz? - zapytał Marcin zniechęcony tyradą.
- To z podręcznika do samorozwoju, ale autor ma rację. Nie
powinieneś mnie odrzucać, jestem wartościowy.
- Upierdliwy to tak, ale nie wartościowy! Czego chcesz?
- Wiedzy!
- Jakiej, na litość boską? Weź sobie ją wygrzeb z encyklopedii, masz
dostęp.

- Nie o taką wiedzę mi chodzi.
- A o jaką?
- No, bo patrz: jeżeli Kopydło porównywał moje książki...
- Nie twoje, Daniela!
- No właśnie, książki Daniela z książkami Daniela...
- Podśluchiwałeś?!
- Jasne! Więc mogło chodzić o to, że...
- Adach bardzo się rozwinął literacko?
- Nie! Że ich nie napisał...

Marcin aż jęknął, ale pomysł wydał mu się intrygujący.

- Czyli że te...
- Czyli że Daniel nie jest moim autorem! Mój autor nie żyje! -
krzyknął Samuel z taką radością, jakby to była świetna wiadomość.

Marcin zastanawiał się, czy takie podejście nie zainspiruje innych
bohaterów literackich, by życzyć śmierci swoim autorom. No i żeby
tylko życzyć...

- Czego się cieszysz, debilu? - burknął, bo Samuel go wkurzał.
Zresztą nie był prawdziwy, do kogoś takiego wolno zwracać się per
„debilu”. - Masz przerąbane, z seksu nici!

Samuel się roześmiał. Tak jak dotąd nigdy.

- Nie rozumiesz? Teraz ktoś inny będzie mnie pisał! Sam widziałeś,
Daniel próbował, dopisywał mi różne rzeczy... Śmierć autora nie jest
końcem egzystencji, w każdym razie nie musi! Ktoś inny mnie
pociągnie!

– A kto?

– No chyba spadkobierca tamtego pisarza. Jeżeli moja teoria ma sens, to chyba Gabi, a z nią sobie poradzę na pewno.

Co do tego ostatniego, Samuel bardzo się mylił, ale marzyć mogą nawet bohaterowie literaccy.

– Ale dlaczego nie Daniel? – Marcin zdziwił się.

– Bo to nieudacznik. A do tego chyba złodziej. I oszust!

– Gabi! – Marcin wypadł z łazienki, zapinając spodnie. – Już wiem! Wszystko wiem! Kopydło odkrył szwindel! To było to! Rozumiecie? Zdobył dowody, że autorem tych genialnych książek o detektywie Samuelu Kaszaku nie jest Daniel! Rozumiecie? Facet sobie je przywłaszczył.

– Ale jak?

– Zwyczajnie, prawdziwy autor dał je Adachowej do sprawdzenia, potem zmarł, a ona zamiast przekazać rodzinie, podsunęła synowi i ten je opublikował pod własnym nazwiskiem!

– Czyli to były książki wujka? – Gabi aż jęknęła.

– Trzeba to jeszcze udowodnić, ale raczej tak.

– I dlatego Adachowa go zabiła! Teraz już wszystko rozumiem – oznajmiła Adela, która pozbawiona wieści z zaświatów (tych literackich) nie wszystko rozumiała, ale umiała łączyć informacje, nawet mimo dziur.

Przez chwilę grzebała w telefonie, a potem podsunęła go obecnym. Nie Mateckiej, bo ta akurat poszła do łazienki.

Masakra, zobaczycie, odbędzie się masakra, burmistrz morderca uderzy jeszcze raz. Nigdy nie będzie spokoju! Nigdy, krwawe szczątki będą walać się po trawie. Bebechy i wątroby! Spadną na dach spalonej szopy i wychodka, krew burmistrza popłami ściany i sufity.

Nigdy już nie będzie taki sam, a morderczyni zarazi wszystko i wszystkich! Zabiją burmistrza! Oni! One! Zabije!

Ratujcie życie ludzkie!

To wasz obowiązek!

Przeczytali z przerażeniem.

– To ona. Pewnie chce zabić Grażynę!

– Pisze o burmistrzu.

– Dla niepoznaki.

– Ale skąd Grażyna?

– Wychodek i spalona szopa. To znaki szczególne.

– Ale dlaczego chce ją zabić?

– To wariatka!

– No, ale pisze o burmistrzu.

– Chce, żeby ludzie poszli pod jego dom, a wtedy ona cichaczem zabije, kogo zechce... Kogoś, zaraz! Chwilunia! Ile człowiek ma wątrób?

– Po jednej, a co? Nie wiesz?

– Wiem, ale tu jest w liczbie mnogiej, więc albo jest niedouczona, albo zabije więcej osób.

– Tak! Zabije wszystkie pisarki! O to chodzi! Ona dla Daniela zrobi wszystko!

– No tak, zabiła Kopydlę, teraz pisarki, żeby konkurencję spod stóp mu wymieść.

– A burmistrz?

– Nie, to zmyłka.

* * *

Kiedy człowiek jest szczęśliwy, to aż tym szczęściem promienieje. Samuel przesadzał – wyglądał jak zdecydowanie radosny i radioaktywny żółty duch.

* * *

Matecka pobiegła do łazienki truchcikiem. Wróciła galopem. Z wrzaskiem, który jednak zaraz po przekroczeniu progu salonu się urwał.

– Co się pani stało? – zapytała Adela, bo kobieta miała spódnicę w majtkach, szminek na czole, włosy w nieładzie i trzymała w ręku przetykaczkę.

– Nic – odparła zdecydowanym głosem.

– Ale pani...

– Nic! – krzyknęła. – Nic mi nie jest, nikogo nie widziałam! Nie mam wizji w łazience i nikt nie gada o seksie! Nic a nic! Muszę się położyć, przepraszam. Czy macie może rumianek? I szalwią?

– Zaparzyć pani rumianku? Z szalwią?

– Nie! Okadzić kibel. Muszę okadzić łazienkę! Nikogo tam nie ma, ale to przecież nie zaszkodzi. Okadzić. Przegonić radioaktywne duchy napastujące seksualnie samotne staruszki. Chociaż w sumie...? – Zamilkła na chwilę. – A może macie granat?! Pani to powinna mieć. – Popatrzyła z nadzieją na Adelę.

* * *

Grażyna wyjrzała przez okno i nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

Na jej terenie gromadzili się ludzie w pelerynach przeciwdeszczowych, choć nie padało.

Owszem, przeczytała to, co napisał upiór, ale nie wyobrażała sobie aż takich opadów posoki.

Miała alert Google na upiora, jak prawie cały Tęczów. Wszyscy z radością odnotowywali, co on pisze, dla niektórych wieszczyl, dla niektórych bredził, ale ogólnie miał całkiem spore zasięgi, tak że nazywano go nawet upiorem celebrytą albo instapiorem. Dzięki niemu to małe, nijakie – trzeba sobie powiedzieć – miasteczko zyskało na kolorycie. Fakt, w tym kolorycie przeważała czerwień, ale i tak było to lepsze niż nic.

– I burmistrz przyszedł – stwierdziła z zadowoleniem Grażyna, zwróciwszy się do koleżanek, bo jednak to było jakieś wydarzenie.

– Mają go zabić. – Marta zatarła ręce.

– Tylko po co?

– Pewnie tak sobie. Jakiś happening? Akcja polityczna? O, i idzie Adachowa, przemyka pod ścianami. Ta Ruda Kicia też.

– I dyrektorkę biblioteki widzę. Wicie, że ona jest siostrą Adachowej?

– Srał je pies, jakie to ma za znaczenie?

Nikt tego oczywiście nie wiedział, ale mogło mieć.

Wszystkie trzy stały w oknie i patrzyły z zachwytem na zbiegowisko. Potem nawet przeszły do drzwi i obserwowały wszystko z większego przybliżenia. Jakby co, były gotowe się przyłączyć.

– Miałyście już dziś naszą przypadłość? – zapytała Grażyna, delikatnie sondując, czy tak jak się obawiała, może zdarzyć im się to ponownie.

Bo jak coś się zdarzyło raz, to nie ma przeciwwskazań, żeby znów się powtórzyło. To znaczy nie, przeciwwskazań jest całe mnóstwo, ale to niestety niczego nie zmienia.

– Nie. I nawet tak pomyślałam, że to mogła być niestrawność – pocieszająco oświadczyła Goška.

– No! – z uśmiechem powiedziała Marta. – To musiała być ta niestrawność.

Radioaktywna niestrawność pojawiła się w rogu korytarza, powodując wrzask pisarek.

– Nie trzeba było o tym wspominać! Patrz, co zrobiłaś, debilko! – Grażyna rzuciła się z pięściami na koleżankę, jakby to ona była wszystkiemu winna.

– Szlag – westchnęła Marta i profilaktycznie uciekła do salonu, ale niewiele to dało.

Przede wszystkim była tam sama, oddzielona radioaktywną niestrawnością od koleżanek. Ponieważ przybrała ona, ta niestrawność, postać męską i na wpół nagą (bo gatki były kuse, a kamizelka niewiele zasłaniała), Marta przestraszyła się możliwego ataku.

Wiadomo, faceci to świnię.

Szybko dołączyła do koleżanek, żeby nie być sama. Po chwili wszystkie wybiegły w tłum przed dom.

* * *

– Co tu się, do cholery, dzieje?! – zawołała Adela.

Kiedy przeszli ten kawałek od Mateckiej do domu Grażyny, stanęli jak wryci. Do Grażyny nie szli, byli pewni, że coś się stanie u Adachów, choć nie byli pewni co.

Tłumy koło domu pisarki trochę Adelę zaskoczyły i zmusiły do pewnych przemyśleń. Owszem, wiedziała, że będzie jakaś masakra, ale jaka? Przecież zabijanie burmistrza nie miało sensu.

Adela, Gabi i Marcin wiedzieli, że ten, kto morduje, jest upiorem. Czyli ten, kto jest upiorem, jest też mordercą. A więc to, co napisał upiór, było jakby zapowiedzą. Czuli, że upiorem musi być Adachowa, ale nie wiedzieli, jak to ogarnąć, jak to wszystko zrozumieć. Kto, jak, gdzie i kogo będzie mordował?

– Wezwałam jakieś posiłki – stęknęła Adela. – Ktoś tam jest jeszcze o tej porze na posterunku, może nam się uda coś załatwić.

Przez nalewkę Mateckiej i jej ciasto – nie ma nawet co mówić, że dobre, było pyszne – przesiedzieli u babuliny pół dnia. A nawet cały.

Trochę się już ściemniało, kiedy wyszli.

Niczego nie wykombinowali, poza pomysłem, że to nie Daniel był autorem dwóch zdecydowanie poczytnych książek, po których już zupełnie mu nie szło. Coś tam wydawał, ale nie było to tak dobre jak pierwsze tomy opowieści o detektywie Samuelu Kaszaku. Choć pisał o tym samym detektywie, kolejne książki były po prostu do niczego. Tak jakby jego talent się wyczerpał. Fakt, z talentem bywa różnie, ale to nie było to.

Biorąc pod uwagę tę myśl, pomyśl, że Adachowa zabiła detektywa Filipa Kopydłę, zresztą swojego dawnego ucznia, wydawał się możliwy. Dziwny, ale możliwy. W ten sposób uniknęłaby demaskacji i zwrotu

tekstu prawowitym spadkobiercom autora. A dwa pierwsze tomy sprzedawały się wręcz cudnie.

Jako motyw było to niejednoznaczne, choć matki bywają dziwaczne, a dla dobra swoich ukochanych dzieci potrafią bić, palić i rabować.

Czyli że mogła zabić.

Mogła też napaść na swoją synową w domu Marcina. Nie wiadomo po co, ale mogła. Dziewczyna pewnie nie dość czołobitnie traktowała męża. A może teściowa obawiała się jakiejś spowiedzi, czegoś, co synowa mogłaby nieopatrznie zdradzić, bo wiadomo, nie była wtajemniczona, ale ludzie czasami wiedzą o wiele więcej, niż się wydaje.

Mogła zaatakować Rudą Kicię, z powodu wszy łonowych na przykład. Lub żeby pomścić cierpienia syna. Te wszowe i te haratalne, znaczy to, co sobie zrobił maszynką do golenia, kiedy usiłował się ogolić.

Takie kobiety jak Adachowa są niebezpieczne. To jest ten typ, który woli zabić, niż poczekać na wyjaśnienia. A myśl, że Ruda Kicia wcale Danielowi nie podesłała wszy celowo, tylko on sam do niej polazł, nie była w jej pojęciu żadną okolicznością łagodzącą.

Gdyby w Tęczowie istniała inkwizycja, Marlena Adach byłaby *capo di tutti capi* i oczywiście głównym katem. Licencjonowanym.

Policjantka wraz z bibliotekarzami szli niespiesznie, zastanawiając się wciąż, kto kogo i kiedy zacznie mordować. Temat był ważny, ponieważ zamierzali do tego nie dopuścić, to znaczy do zamordowania, a nie do zaczęcia, bo nie mieli pojęcia, kto będzie mordercą, kto ofiarą i czyje wątroby mają zaścielić trawnik przed domem Grażyny. Narzędzie zbrodni też było im nieznanne, ale uważali, że nikt nie będzie nikogo dusił, bo wtedy owszem, oczy mogą komuś wyjść na trawnik, ale nie wątroba. Szukali więc potencjalnej broni w rękach potencjalnych morderców, a teraz po prostu gapiów. W skrócie: szukali czegoś, co mogłoby ułatwić przemieszczenie się narządów z wnętrza człowieka na trawnik.

Ze względu na zapowiedzianą liczbę wątrób i innych ludzkich wnętrzności wypatrywali bronie nieco bardziej masowego rażenia, a tasaki i inna kulinarna broń biała masowo nie rażą. Nie ma tak, że jeden nóż ugodzi szesnaście osób. Może jakaś dzida dałaby radę trzem, ale dzid nikt nie przyniósł.

Po chwili znaleźli coś, czego nawet nie szukali.

To znaczy nikt nie miał ani tasaka, ani noża, ale żona burmistrza wzięła ze sobą maszynkę do mięsa, tę żeliwną numer osiem, za pomocą której można jednym ciosem pozbawić życia średniego byka albo dodać do mielonych wszystkie cztery palce prawej ręki wraz z kosteczkami. Kobieta twierdziła, że niesie ją do ostrzenia, a sitka się tak zaklinowały, że musi całą.

Nie mieli powodu jej nie wierzyć, choć kiedy na nią nie patrzyli, przymierzała się do miotania.

* * *

Adachowa nie wiedziała, co się dzieje. Miała, co prawda, kilka spraw do załatwienia w ten wieczór, ale taka liczba osób ją zaskoczyła.

* * *

Ludzie mają moc sprawczą, bo jednak plastikowe peleryny się przydały. Zaczęło padać.

A nawet grzmieć.

To było to, co upiór kochał najbardziej. Zamieszanie.

Takie prawdziwe, jak z horroru. Czarne niebo przecinane złowrogim blaskiem błyskawic, wiatr wyjący w szeleście peleryn, trawnik oświetlony światłem z okien, Daniel w oknie na piętrze, a może na stryszku, doskonale widoczny, ale niedoskonale oskubany, który wyglądał, jak wyglądał i jakby wyglądał na zewnątrz, choć niektórzy sądzili, że będzie skakał, ludzie usiłujący się ukryć, bo co prawda peleryny wzięli, ale nie mieli parasoli (co było logiczne, nie chcieli

zmoknąć, ale zobaczyć chcieli wszystko, a spod parasoli widać niewiele).

Daniel siedział w swoim sanktuarium i przeżywał katusze, jakie przeżywają osoby przesądne, a do takich często należą pisarze. Wystarczy nie taka klawiatura, brak ulubionego kubka, nie do końca idealny smak kawy, a już wena, ta mroczna przyjaciółka, a czasami kochanka ludzi słowa ucieka gdzie pieprz rośnie. Albo nawet się nie pojawia i człowiek siedzi przed durną pustą kartką, wymyślając coś, co mogłoby być początkiem, ale nie jest.

Kult pierwszego zdania wszedł niektórym ostatnio za mocno i usiłują zacząć książkę taką frazą, że klękajcie narody, że każdy potem pochwali, że tych kilka słów będzie świeciło przykładem, że będzie nośne, złotonośne, a może i naznaczone geniuszem.

I że to zdanie pociągnie całą książkę.

Już, już Danielowi wydawało się, że coś mu świta, ale nie. Błysnęło i zniknęło w mrocznej poświacie pomieszczenia.

I to go zmartwiło. Nie powinno błyskać w mrocznej poświacie pomieszczenia, ale w jego głowie. A to błysnęło jakby w kącie.

To nie był dobry znak.

Zwłaszcza że zachichotało.

A potem rzuciło w niego książką. Walnęła go boleśnie, bo trafiła w łuk brwiowy. Była to książka Jerzego Wittlina zatytułowana *Vademecum grafomana*.

Samuel potrafił się mścić za lata upokorzeń.

Z tyłu głowy miał oczywiście całą niepewność związaną z tym, że teoria na temat Daniela oraz autorstwa jego najlepszych książek nie jest na sto procent sprawdzona ani udowodniona, ale po pierwsze, wierzył w to i chciał wierzyć, bo to wyjaśniało mu wszystkie udręki jego literackiej egzystencji, po drugie – chciał skorzystać. Ucieszyć się, zanim stanie się to w jakikolwiek sposób niemożliwe.

Po chwili grad książek o całkowicie zwyczajnych i wcale nie sugestywnych tytułach zapędził Daniela do okna.

* * *

A potem coś straszliwie łupnęło w ogrodzie.

Początkowo wszyscy sądzili, że to piorun uziemił się w spapranej i spalonej poniekąd szopie Grażyny, ale pioruny nie wyzywają i nie krzyczą. A to krzyczało.

– Ty suko! Zabiję cię, ty suko! Nie popuszczę!

* * *

Gabi, Adela i Marcin trzymali się razem. Na miejsce przyjechało kilku funkcjonariuszy wraz z Mroczkiem, który straszliwie się wściekał na podwładną, bo uważał, że policja ma zajmować się skutkami działań, a nie pomysłami upiora, więc ich obecność jest bezsensowna.

Adela aż prosiła niebiosa o jakiś błysk noża czy sztachety, żeby się przełożony od niej odczepił, bo miał zamiar już zabierać ludzi i wracać na posterunek.

– Nic tu po nas – stwierdził – nic nie zapowiada rozruchów.

– Upiór zapowiada – przypomniała Adela.

– Upiora to ty w dupę sobie wsadź – odburknął.

Gabi wołała się nie wtrącać, ale chciała pomóc koleżance, a poza tym czuła, że pomagając jej, może zapobiec jakiejś pomniejszej albo nieco większej masakrze.

– Tłum się zebrał, to może coś... znaczyć? – powiedziała niepewnie.

– Gówno – odparł Mroczek, po chwili jednak się zreflektował. Gabi nie była jego podwładną, głupio mu było tak się do niej odzywać. – Nie zna się pani. Nie może!

I wtedy właśnie szopa huknęła i wrzasnęła na cały głos:

– Ty suko! Zabiję cię, ty suko! Nie popuszczę!

Mało kto wierzy w gadające szopy, ale ludzie, którzy uznają istnienie upiora, szczególnie tego w moherze, mają już niezły podkład z wiary w rzeczy niemożliwe, więc nic ich nie szokuje.

– Szopaaaa! Szopa gadaaaa! – wrzasnął tłum z wielkim mrocznym zachwytem na wszystkich twarzach, bo coś wreszcie zaczęło się dziać.

Ludzie potrzebują rozrywki. Najlepiej tej wstrząsającej, poruszającej do głębi. Pragną mocnych wrażeń. Zazwyczaj w sumie wystarcza im Zenek, ale z braku laku mogą być gadające szopy.

Nie wszyscy jednak podeszli do tematu tak samo.

– Adachowa? – zapytała Adela.

– Adaszyna? – zapytała Matecka, która mimo intelektualnych zmagani z radioaktywną zjawą nie mogła przecież sobie odpuścić takich atrakcji, zwłaszcza że widziała przez okno pielgrzymki ciągnące w kierunku domu Grażyny.

– Adaszka? – zapytała Gabi.

– Zaraz, o czym wy mówicie? – zapytał Mroczek, zupełnie niemający pojęcia, do czego im te dziwne nazwiska, przydomki czy co to takiego, bo jeżeli nie znało się tego właściwego nazwiska, wszystko wyglądało dość nieciekawie.

– Chodzi o to, czy to wrzeszczy Adachowa, znaczy Marlena, ale ona nie ma nazwiska po mężu, więc może Adaszka, a Adachowa to jej synowa, bo ona ma po mężu.

– Sra! to pies! – jęknął w grzmot, licząc, że nikt nie usłyszy.

– Aaaaaaa! – wrzasnęło coś zza budynku i wybiegła stamtąd Mariola Kołłątaj z reklamówką na głowie. – Ratunku! Tam ktoś kogoś morduje!

Adela odetchnęła z ulgą. Mroczek poweselał.

Wszyscy ruszyli za róg budynku.

Daniel wyleciał przez okno.

Samuel czuł w sobie nieokiełznaną siłę, żywotność wykraczającą poza dotychczasowe doświadczenia, moc, jaką dawała mu ta sytuacja, której bał się tak bardzo, a która od dawna była jego bezwiednym udziałem. Otóż nie miał autora. Nie miał, ale wszystkie nedorobione próby Daniela pokazywały mu, że autor nie jest konieczny, to znaczy jest, oczywiście, że jest, ale nie jest. To znaczy bohater musi mieć kogoś, kto będzie go pisał, ale nie musi to być ten jeden pisarz, który go powołał do życia. Jeżeli Danielowi udawały się kapelusze i swędzące genitalia, to komuś, kto się postara, wyjdzie na pewno seks, a może i jeszcze kilka innych rzeczy.

Gabi była dobrym wyborem, ale gdyby nie chciała, Samuel sam może zacząć na przykład dyktować jej teksty o sobie. To by było fascynujące.

Przez chwilę zastanawiał się, jak daleko sięga teraz jego wolność. Czy może na przykład sam dowolnie zmienić sobie ubranie na takie, które jeszcze nigdy nie zostało mu napisane. Na przykład na spódnicę.

Nie mógł.

Przez chwilę stał goły na trawniku.

Obok kłębili się ludzie.

– O, wreszcie pójde na randkę – powiedział na głos, jakby chcąc dodać sobie nadziei albo choć usprawiedliwić przed wszechświatem fakt, że właściwie myśli tylko o jednym.

Stał nieco z dala od tłumu koło jakiegoś umundurowanego faceta. Nie sądził, że ten mu odpowie, bo mówił tylko do siebie.

– Na randkę? – odpowiedział mu facet. – Ale chyba nie w takim stroju! Czy pan wie, że obnażanie się w miejscu publicznym jest karalne i podlega pod artykuł sto czterdziesty oraz sto czterdziesty pierwszy Kodeksu wykroczeń?

Samuel zmartwił. Dotychczas nie mógł nawiązywać kontaktów w miejscach pozbawionych książek, a nawet jeżeli, to ludzie woleli go nie widzieć.

– Yyyyyy – wydukał i zaczął uciekać w kierunku szopy.

Wszyscy tam biegli, więc wydało mu się to idealnym rozwiązaniem.
Mundurowy biegł za nim.

– Stać! Policja! – wrzeszczał Mroczek jak rasowy glina w akcji goniący przestępcę.

Ponieważ jednak Samuela nikt nie widział, a policjant biegł mniej więcej za wszystkimi, oglądali się i naprawdę nie wiedzieli, co robić.

Mroczek miał ochotę postraszyć uciekiniera bronią, ale byłoby mu trudno tłumaczyć się potem z jej użycia. Nie mógł nawet twierdzić, że uciekinier był uzbrojony, zwłaszcza że był prawie nagi.

I może skończyłoby się to mniejszą lub większą awanturą, gdyby Samuel nie wpadł w ścianę i nie zniknął.

To Mroczka wręcz powaliło na ziemię.

Nie tylko miał przywidzenia i to męskie, nagie, to jeszcze je gonił i z nimi gadał.

To, że były nagie i męskie, było w tym wszystkim najgorsze. No i przywidzenie coś mówiło o randce. To mogło znaczyć tylko jedno. Mroczek miał problemy.

A problemy, których nie da się zastrzelić, trzeba choć zapić.

Gdyby to chociaż była zjawą rodzaju żeńskiego, niechby nawet gołą, ale facet?!

Był to ten rodzaj kłopotów ze zdrowiem psychicznym, z którym aspirant nie mógł pójść do psychologa.

Zastanawiając się, czy nagle nie zaraził się czymś niebezpiecznym, dobiegł do ściany, w której zniknęła zjawą, a wtedy zza tej ściany, ale nieco jakby z boku znów usłyszał wrzaski.

– Ty suko! Zabiję cię, ty suko! Nie popuszczę!

Wszyscy już tu byli i czekali na krwawe ochłapy.

Tylko Adela i ledwie żywy Mroczek zdecydowali się ruszyć na pomoc.

– To Adachowa! O Jezu! Tłucze! Tasakiem! O Boże, tasakiem! – sypały się wieści od osób nieco oddalonych od miejsca akcji, ale

blizszych niz tylne kręgi, przez które Gabi i Marcin się nie przedarli.

Matecka, wzięwszy swoją babulinkowość w karby, dostała się na sam przód. Wolalała to niż radioaktywne zjawy, a ludzie przepuszczali ją z ochotą, bo ktoś powinien sprawdzić, co się tam wyprawia, a jej jakby już i tak niewiele zostało życia.

– Ło kurwa! – wrzasnęła z daleka. – Co tu się dzieje?! Ratujcie ją! Łeb ma cały zmasakrowany!

– Ale kto? – chciał wiedzieć tłum, jakby to było najważniejsze.

– A kurwa wie. Ktoś na pewno!

Mroczek dopadł walczących i rzeczywiście były to dwie kobiety.

– Adachowa bije Adachową – zamruczał tłum.

– Młoda starą! O chłopa!

– A gdzie tam. Stara młodą! Też o chłopa, ale inaczej.

– Ale że ja? – zdziwiła się Marlena Adach z jednego z dalszych miejsc przy płocie.

– Aaaaa!

Łup! Łup! Łup! – dało się słyszeć poprzez krzyki.

Mroczek złapał jedną z kobiet i wytaszczył przed szopę.

– Karetkę wezwać. Tamta jest ranna, dostała tasakiem w głowę! Nie wiadomo, czy przeżyje. To już drugi raz.

– Ale...

– Ruda Kicia!

– Znowu ona? Ktoś naprawdę bardzo chce ją zabić! Musi wiedzieć coś ważnego!

– Gówno prawda! Nic, kurwa, nie wie – odpowiedziała kobieta w kajdankach.

– Pazurkowa?! – krzyknęła Gabi zaszokowana.

– Dla ciebie pani Pazurkowa, głupia cipo!

– Ale dlaczego?! Co się stało? Po co, dlaczego? Jest wredna, ale zabijanie? Ona chciała zabić Rudą Kicię?

– Nie tylko... Filipa Kopydło też, ale tam jej się udało o wiele lepiej.

– Ale dlaczego?!

– Mamo?! – zawołał Piotrek. Zawiadomiony przez Daniela, pojawił się razem z nim pośród gapiów.

– Syneczku, przestań się tym interesować! – odrzyknęła Pazurkowa. – To nie są sprawy, które powinny cię obchodzić! Ja to zrobiłam dla niego! Dla niego! Tak bardzo się poświęciłam!

– Źe co? – Adachowa aż jęknęła. – Dla Piotrka to zrobiłaś?

– Dla Daniela, ty głupia suko! – Pazurkowa wyraźnie nie miała ochoty gryźć się w język. Nienawidziła teraz chyba już wszystkich. – Bo ja go kocham! – jęknęła.

– Kogo? Daniela?!

– Tak, jego! – pisnęła.

– Jezu, niemożliwe! Matka, zwariowałaś?!

Piotrek nie był w stanie tego zrozumieć. Miłość, owszem, tolerował, ale w pewnych granicach i jednak nie u własnej matki! No i wiek, jednak wiek... Nie no. To szaleństwo!

– Jako pisarza go kocham, idioto! Tfu, syneczku! – wrzasnęła, bo samo podejrzenie o to, że mogłaby kogokolwiek pokochać po ludzku, jak mężczyznę, to znaczy jak kobieta mężczyznę, a nie jak... no... była dla niej nie do pomyślenia. Dla Piotrka zresztą raczej też.

– Ale co to ma wspólnego...?

– Oj ma! Ma – burknęła. – Ten detektyw chciał go zniszczyć, a ja go powstrzymałam.

– Więc się pani przyznaje? – Mroczek aż zaświecił w ciemnościach.

– Gówno się przyznaję. Siekiera mi się omskła, to był tylko przypadek.

– A teraz?

– No co? Też przypadek, tasak się omskł! Nie możecie mnie wsadzić do więzienia! Niiieeee! Jestem niewinna! On nie dał mi wyboru! Nie dał mi wyboru, słyszycie?! Chciał wszystko zniszczyć!

– To ja już niczego nie rozumiem – jęknęła Adela.

– Nie rozumiesz? A co tu jest do zrozumienia? Przecież ona kłamie! Wcale nie chciała pomóc Danielowi, tylko nie zamierzała dopuścić do tego, żeby prawa autorskie wróciły do Gabi. Przecież dziewczyna odrzuciła najlepszego faceta na świecie.

– Jej syna... – westchnął Marcin.

– To znaczy co? Zabiła z nienawiści do mnie?

Gabi aż zadrżała, bo jednak nie podejrzewała Pazurkowej o takie straszne uczucia wobec byłej dziewczyny własnego syna, zważywszy, że nie była ani jedyną, ani najpiękniejszą kobietą na świecie i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– I tak, i nie – powiedział Mroczek, pławiąc się w blasku wiedzy, bo kilka chwil wcześniej dostał jakieś wieści od techników i chciał je wykorzystać na swoją korzyść.

Matecka przedarła się przez tłum. W tę stronę szło jej to o wiele oporniej.

– No tak. Samuel Maciąg, wuj pani Gabrieli, ten, który zmarł w szkolnym piecu na serce, dał Marlenie Adach, polonistce z liceum, swoje dwie powieści do sprawdzenia, a ona po jego śmierci przekazała je synowi.

– I to wszystko?! – wrzasnęła Grażyna oburzona. – Pisarze... to znaczy ludzie nie powinni się mordować z takich powodów!

– No tak. Książki to tylko książki! – westchnął Mroczek.

– O, co to, to nie, jakie tylko? Jakie tylko?! Książki są ważne! – pisnęła Gośka. – Trzeba dbać, trzeba chronić, trzeba... Czy on pójdzie siedzieć? – rzuciła po chwili z zachwytem.

– Nie wiem, to chyba już sprawa drugorzędna.

– No, ale mieć taką wielbicielek, która dla ciebie zamorduje? – westchnęła Marta. – Daniel, mimo wszystko, no, no... – mruknęła z zazdrością, śniąc sen wszystkich pisarzy, którzy chcieliby tak poruszać serca czytelników, że ci aż traciliby zmysły i zdrowy rozsądek.

– Ależ źle to pani rozumiała! Ona nie zabiła dla niego!

- A dla kogo?

- Dla siebie!

- Z powodu praw do książek?

- Nie, nie miały tu nic do rzeczy. Nie chciała dopuścić do tego, żeby Kopydło wyjawiał jej tajemnicę.

- Niech pan mordę zamknie! Dość, nikt nie będzie tego słuchał! Nie wolno, żeby jego śmierć poszła na marne! - Pazurkowa walczyła jak pazurzasta lwica.

Ten ostatni tekst wszystkich zbulwersował, bo rzadko wypowiadali go mordercy.

- Że co?

- Że nic. Pazurkowa nie mogła mieć dzieci.

- Zaraz... Niemożliwe...

- Możliwe. Za to Ruda Kicia zaszła w ciążę.

- Jestem synem... - Piotrek aż się zakrztusił ta nową wiedzą - prostytutki? Matko jedyna! Czyli nie nazywam się Pazurek?

- Nazywasz się Pazurek - warknęła Pazurkowa. - Zaszła z twoim ojcem. Dlatego go wyrzuciłam na zbity pysk, a ciebie postanowiłam wychować. I dobrze cię wychowałam. Nie chciałam, żeby ten idiota to ujawnił.

- Ale to znaczy, że... że nie jestem twoim synem? Że już nie muszę... Że nie... że...

- Nie płacz, syneczku. Nie ta, co urodziła, ale ta, co wychowała!

Piotrek popatrzył na matkę czy, jak kto woli, zastępczą matkę z trwogą w oczach. Są rzeczy, które przerażają bardziej niż inne.

- Ale ja omal nie spałem z własną matką! - wrzasnął Piotrek i zemdlał.

- I widzi pan, co pan zrobił? Zabił go pan! - wrzasnęła Pazurkowa do Mrocza.

W tym momencie obok zaszokowanej Gabi zmaterializował się świetliście Samuel.

- Witaj, moja autorko - powiedział z uśmiechem szaleńca - czy mogłabyś mi napisać trochę seksu? Może być zboczony. Nawet sadomasochistycznie. Chcę spróbować wszystkiego. Jakby co, to czekam.

Gabi popatrzyła na Samuela z nienawiścią.

- Jak się nie zamkniesz, to odeślę cię w literackie zaświaty!

- A upiór? - zapytała Adela, bo trochę stawiała na Pazurkową.

- No cóż, Pazurkowa chciała, żeby Ruda Kicia wyniosła się z Tęczowa. Dlatego podchwyciła jedno z jej powiedzonek, takie, którego nikt inny nie używał, i dopisywała do swoich proroczych wystąpień, żeby ludzie, którzy korzystali z jej usług, skojarzyli ją z upiorem. Tyle że Ruda Kicia była bardzo miłą osobą. Ludzie ją kochali. No, powiedzmy: mężczyźni ją kochali. Cóż, niejedna szanowana matrona ma więcej na sumieniu niż ta czy inna prostytutka, bo jak to się mówi, kurwa to nie zawód, a charakter.

* * *

- Ale dlaczego? - rzuciła Gabi do Adeli, kiedy już siedzieli wszyscy czworo, bo i Samuela nie mogło zabraknąć.

Niestety właśnie tak - nie mogło. Odkąd tajemnica autorstwa książek o Samuelu Kaszaku wyszła na jaw, nachodził Gabi dniem i nocą. Nie było to proste i czekała ich jeszcze sprawa sądowa, ale on nie odpuszczał.

Daniel zresztą też nie. Wiadomo, teraz jego książki, choć ich sprzedaż (tych dwóch najlepszych) zablokowano, wzbudzały szalone emocje. Pozostałe tytuły też na tym skorzystały.

- To proste. Burmistrz chciał złapać upiора, dokopać mu za pomówienia i zdjęcia oraz za wybite przez żonę zęby. Zatrudnił Kopydłę. Ten zaczął grzebać, a że małe miasteczka są małe, to są bardzo skondensowane, na jednej ulicy może mieszkać trzech morderców i dwie bibliotekarki. To nie to, co w Warszawie. Ale i tajemnice

są skondensowane oraz wiedza, jaką ludzie posiadają. Jeśli ktoś umie pytać i słuchać, wiele może się dowiedzieć, a Kopydło umiał.

– I dopadł upiora?

– Dopadł, ale Pazurkowa roześmiała mu się w twarz. Nie mógł jej nic zrobić. Więc postanowił, że upiór pożałuje, zaczął grzebać głębiej, no i tak dogrzebał się do sprawy Daniela i sekretu Rudej Kici. Chciał na obu skorzystać, zważywszy, że nie były powiązane. Poszedł do matki Daniela i pokazał jej, co ma. A miał wiele, na przykład listy, które Maciąg do niej pisał.

– Jeszcze przed śmiercią – westchnął Marcin.

– Zdurniałaś? A jak miałby pisać po śmierci?

* * *

Samuel był wściekły, bo i jego autorka go ignorowała.

Nic nie mógł zrobić.

Ona właściwie też nie. Nie zamierzała nawet pisać książek, a to, co na nią spadło, było tylko niedogodnością, która bardzo ją wkurzała, ale... No cóż, nie odrzucała możliwości, że kiedyś...

Samuel poszedł do biblioteki. Właściwie przemiescił się.

Zakosztował już interakcji z czytelnikami i wcale mu się nie podobało to, że teraz nikt go nie widział, no, poza Gabi i Marcinem, ale oni się nie liczyli.

Zauważył, że trzeba więcej mocy psychicznych, żeby ludzie zaczęli go dostrzegać – nie jego mocy psychicznych, ale tego, co wydziela się w sytuacjach chaosu, zagrożenia i makabry.

Tak, owszem, miał zamiar spowodować makabrę, ale nie wiedział, jak to zrobić.

Wpadł do jednej filii (bo biblioteka w Tęczowie miała filie), do drugiej, a w końcu do wiejskiej biblioteki znajdującej się w miejscowości tuż obok, której nazwy nie znał, w końcu nie przemieszczał się drogami, żeby zobaczyć znaki.

Wszedł i usłyszał wrzaski, krzyki, wołanie o ratunek.

W pokoju, zamkniętym zresztą na klucz, siedziała kobieta.

To znaczy nie siedziała. Leżała.

Tak, leżała na stole.

Obok niej stał kubek po jogurcie.

Nie żyła.

Wszystko to, co Samuel wiedział z książek o morderstwach, sprawiło, że od razu się zorientował, co się stało.

To musiał być cyjanek.

Wrócił.

* * *

– Nie chciała zapłacić. To logiczne, zanim te sprawy się załatwi w sądach, minie sto lat. Nie było sensu się poddawać. Potem postanowił zaszantażować Pazurkową, a wiedział, że to akurat jej dopiecie.

– No, ale dopieкло jemu.

– Umówiła się z nim, zabiła... Masz, Gabi, szczęście, że nie zostałaś jej synową – mruknął Marcin.

– A kto walnął Dorotę?

– Dorota walnęła się sama. Bała się, że ktoś ją posadzi, więc postanowiła zrobić pokaz.

– I Pazurkowa postanowiła zabić Kicię.

– Tak, i dopadła ją dwa razy.

– Bo?

– Bo Kicia się nie wtrącała, stała z boku, nie mówiła nikomu dosłownie nic. No i Piotrek dostał tej wysypki.

– Od niej się zaraził?

– A od kogo? No i Pazurkowa postanowiła ją ukarać. Na dodatek Kicia zaczęła kojarzyć fakty, to, o co pytał Kopydło, i stare sprawy. Mogła jej zagrozić.

– Przepraszam – powiedział Samuel tak, że i Gabi, i Marcin spojrzeli na niego zaszokowanym wzrokiem.

Ponieważ stał obok półki, Adela też spojrzała.

– Teraz oboje będziecie się bić z półką na książki?

Nie odpowiedzieli.

– W bibliotece, to znaczy tej wiejskiej, tej, w której jest zielono... Ktoś zabił jakąś kobietę. To cyjanek, na milion procent. Wszyscy wrzeszczą, zaraz zatrą wszystkie ślady. Musimy tam jechać.

– Co byś powiedziała na wyprawę? – rzucił Marcin do Adeli. – W nieznane?

– To znaczy?

– Nie powiem ci, co się dzieje, ale ktoś został zamordowany.

Policjantka się poddała.

– Czy to ma coś wspólnego z tą sraczkowatą poświatą w kształcie gołego faceta, która gada jak pokręcona?! – Wskazała na Samuela.

– Tak. Dzięki Bogu! Widzisz go? Wreszcie go widzisz! – ucieszyli się oboje.

– Wreszcie? Widzę go prawie od początku, tylko myślałam, że mam omamy. Byłam nawet u takiego jednego pokątnego terapeuty. Do normalnego nie mogłam, bo jeszcze by się w pracy dowiedzieli.

– I co powiedział?

– A co miał powiedzieć? Powiedział, że mam świra, tak to już jest, nic z tym nie zrobi, ale powinnam być z siebie dumna.

– Pomogło?

– Nie.

– No to co? Jedziemy? – zapytała Gabi.

W tym momencie zadzwonił telefon Adeli.

– O, to szef, ciekawe, czego ode mnie chce?

KONIEC

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Upiór w moherze